tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 36 (1339)
1-7.09.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

MANOWSKA – PRODUKT SĘDZIOPODOBNY

PiS NIE ODBIŁO ZABRZA

ZABRAĆ SMARTFONY ZE SZKÓŁ

NADGORLIWOŚĆ LIZUSA

NA PRAWO OD ROZUMU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
36 >
9 771509 311508

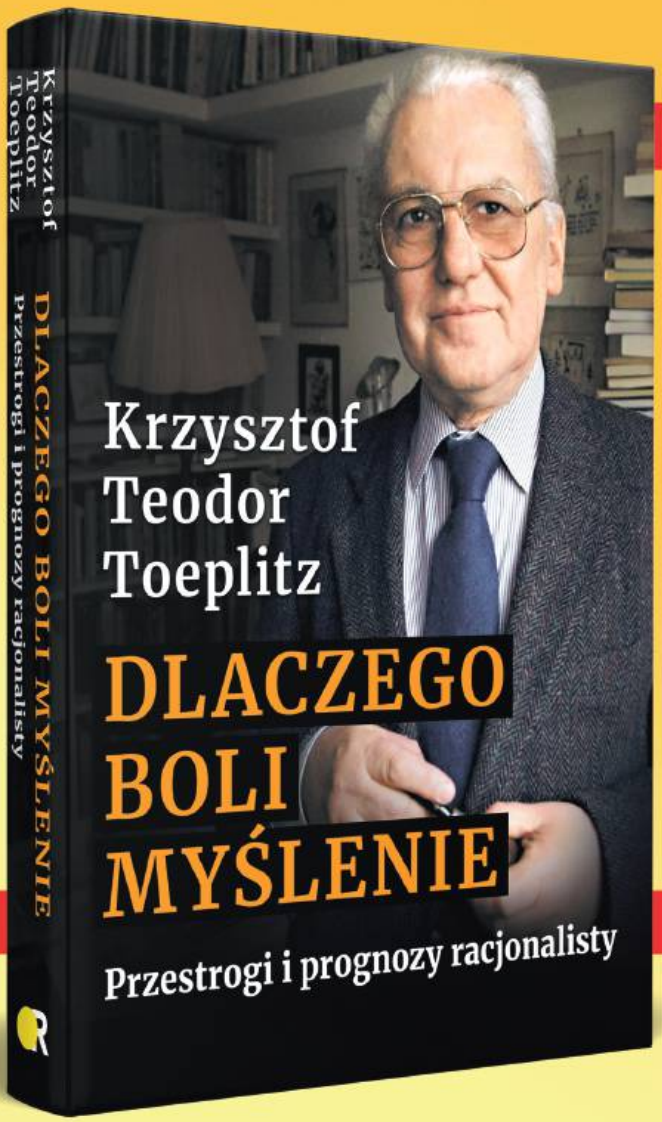

PREMIERA

NOWA KSIĄŻKA „PRZEGLĄDU"

59 zł

Inteligencja milczy w Polsce, bo zapomniała o swoim obowiązku nie tylko protestu, ale i twórczości opartej na wiedzy, tolerancji, tradycji rozumu i oświecenia.

KTT

Pokazał, że ironia stać się może najwyższą formą odwagi i źródłem siły pozwalającej przewracać świat do góry nogami.

Prof. Stanisław Filipowicz

KTT to fenomen. Byt odrębny. Człowiek kultury najwyższej próby. Modelowy wręcz inteligent.

Jerzy Domański

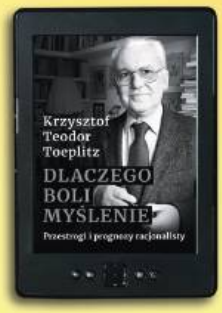

E-BOOK **29,90 zł**

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Obłuda megalomana

Bociany odleciały i są już w Afryce. Uczniowie wrócili z wakacji do szkół. Jest więc normalne życie. Choć można o tym zapomnieć za sprawą Karola Nawrockiego. Domniemany – bo jednak nikt w Polsce nie wie, ile dostał głosów – prezydent zasypał swoich wyborców projektami ustaw. Mają wspólny mianownik. Wszystkie zwiększają wydatki budżetu. I obniżają dochody państwa. Obiecał przecież Mentzenowi, że nie podpisze niczego, co wpłynie na podniesienie podatków. Psując finanse państwa, szybko zwołał Radę Gabinetową, by rozpaczać nad stanem finansów kraju. Obłuda tak czytelna, że nawet do słuchających tylko stacji o. Rydzyka zaczyna docierać, że brakuje logicznego związku między tym, co Nawrocki mówi, a tym, co robi.

Gdyby nie czekał na posiedzenie rady i wykłady ministrów, mógłby poprosić o korepetycje premiera Morawieckiego. I popytać, jak mu się udało ukrywać prawdziwy dług państwa. Jak manipulował danymi? Jak i gdzie chował wydatki? I wreszcie: jak się zaciąga zobowiązania bez pokrycia w dochodach? Gdyby na dodatek Nawrocki wykazał się elementarną bystrością, mógłby powiązać koszmarną inflację za rządów PiS z przerzucaniem części długów na Polaków posiadających oszczędności. Sam przecież wtedy co miesiąc na tym tracił.

Ludzie o tym pamiętają. Podobnie jak o niebywałym złodziejstwie ekipy, która postawiła w wyborach na obywatela Nawrockiego. Teraz tenże obywatel będzie musiał codziennie dokopywać rządowi. A szczególnie Donaldowi Tuskowi. Wojna z nim to główny punkt programu Kaczyńskiego. Prezes PiS wie, że bez wyeliminowania Tuska jego powrót do władzy będzie mocno niepewny. A czas nie jest sprzymierzeńcem prezesa. Otoczony szczelnym kordonem polityków PiS delegowanych przez Kaczyńskiego, Nawrocki bardzo się stara. Musi przecież jakoś zadowolić ojca chrzestnego swojej kariery.

Wie też, że zaufanie prezesa to coś, co w przyrodzie nie występuje. Kaczyński delegował do kancelarii swoich zauszników, by w porę reagować na niepożądane zachowania prezydenta. Da mu trochę pohasać. Na razie ma sporo radości, słuchając megalomańskich deklaracji Nawrockiego i jego planów wprowadzenia systemu prezydenckiego. Naiwne to i nierealne. Polska prawica ma już nadprezydenta, Jarosława Kaczyńskiego. Albo Nawrocki to zrozumie, albo zacznie tyle znaczyć co Andrzej Duda.

PROF. BRONISŁAW ŁAGOWSKI:

„Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?" – takiej, jaką kultywuje Muzeum Powstania Warszawskiego.

Ankieta Fundacji im. Zygmunta Starego, Kraków 2021

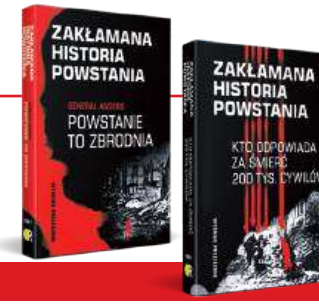

sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 6f0099b9cf

W NUMERZE

KRAJ

8 **Dlaczego polska prawica tak kocha Trumpa?**
Ślepe i kosztowne zauroczenie

11 **Trump może Polsce jedynie szkodzić**
– rozmowa z prof. Romanem Kuźniarem

14 **Produkt sędziopodobny**
Polityką podszyta kariera Manowskiej

17 **Zabrze a sprawa polska**
Więcej niż walka o władzę w mieście

20 **Zakażmy telefonów w szkołach**
Dzieciom wyjdzie to na zdrowie

24 **Diabelska alternatywa**
Niech rząd sam się obali zadłużeniem?

26 **Brudów nie pierze się w domu**
Przemoc domowa to nie prywatna sprawa

46 **Z biskupem w siódmym niebie**
Lata Waldemara Pytla w Kościele Pokoju

50 **Siekiery, kapliczki, rowery**
Nietypowe muzea zrodzone z pasji

KSIĄŻKI

30 **Nasi kresowi**
Alojzy Sroga, bard żołnierzy plebejuszy

POLEMIKI I OPINIE

34 **Jan Widacki**
Witoldowi Beresiowi w odpowiedzi

36 **Dariusz Łukasiewicz**
Między głupotą a realizmem historycznym

SPORT

38 **Kluby dały radę**
Teraz czas na reprezentację!

ZAGRANICA

40 **Belìce – ziemia, która pamięta**
Korespondencja z Sycylii

44 **Kuskus – batalia o dziedzictwo**
Kto i co komu zawłaszczył

KULTURA

54 **Życie bez perspektyw**
– rozmowa z Muriel i Delphine Coulin

56 **Uwięzieni w wolności?**
Młodzi polscy malarze o sobie i o nas

58 **Qulturalia**

66 **Pod skórą**
Obrazy Tomasza Poznysza

ZWIERZĘTA

60 **Suchary z karasiami**
Co łowiono i łowi się w Wigrach

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Obłuda megalomana

29 **Jan Widacki**
Polska dla Polaków!
A lektury tylko polskich autorów!

35 **Andrzej Romanowski**
Tatry moich czasów

43 **Roman Kurkiewicz**
Gabinetowizny

49 **Tomasz Jastrun**
Ser szwajcarski

59 **Wojciech Kuczok**
Gry wojenne

44
ZAGRANICA

KUSKUS – BATALIA O DZIEDZICTWO
Kto i co komu zawłaszczył

50
KRAJ

SIEKIERY, KAPLICZKI, ROWERY
Nietypowe muzea zrodzone z pasji

60
ZWIERZĘTA

SUCHARY Z KARASIAMI
Co łowiono i łowi się w Wigrach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

W jakich sprawach Polacy najczęściej oszukują?

Najprostszą odpowiedzią na to pytanie jest: w każdej dowolnie wskazanej – wystarczy włączyć telewizję. To szczęśliwie pozostawia mi wybór. Ponieważ z wykształcenia jestem filozofką, specjalizującą się w polityce, wybieram: Gaza i Ukraina. Co do Gazy, wszyscy wiedzą, co i jak. Dla niewtajemniczonych: najpewniej dochodzi do ludobójstwa na naszych oczach. Coś możemy zrobić? Nic, żenująca ulga, że wprost w tym nie uczestniczymy. Niemniej jednak to nie jest przestrzeń do zaprzeczania czy samooszukiwania. Wojna w Ukrainie z pewnością jest takim tematem. Straszą nas wojną nuklearną. Bzdura. Gorsze zagrożenie wynika z możliwości przejęcia przez Rosję potencjału Ukrainy – ludzkiego i militarnego. No ale wiadomo, najważniejsza jest wojna kulturowa – zderzenie cywilizacji itp.

PYTANIE TYGODNIA | W jakich sprawach Polacy najczęściej oszukują?

Dr Magdalena Gawin, filozofka UW

Banany na Olimpie

BANANY NA OLIMPIE
NIE MA TAKICH UNIJNYCH DOTACJI, KTÓRYCH NIE DAŁOBY SIĘ PRZEWALIĆ
Dotacje unijne – sposób na życie

Wygląda na to, że wszelkiego rodzaju unijne i państwowe dotacje powoli, ale nieubłaganie stają się ogólnoeuropejskim sposobem przedsiębiorców na życie. Bo niby skąd mają oni wziąć klientów w stale ubożejących społeczeństwach? Kto kupi ich produkty i usługi, gdy sam walczy o przetrwanie? Wśród ludzi, z których większość żyje na granicy wypłacalności, najlepsze, co przedsiębiorcy mogą osiągnąć, robiąc to, co robią, jest działalność na granicy opłacalności, kalkulowanie cen jak najniżej, aby w ogóle cokolwiek sprzedać. A rynek produktów i usług superluksusowych dla superbogatych był zawsze i nadal jest zbyt szczupły, żeby wszyscy przedsiębiorcy mogli z niego żyć dostatnio.

Krzysztof Guderski

IPN idzie po władzę

Tu już nawet nie chodzi o lustrację. IPN poległ w starciu z ukraińskim odpowiednikiem. Narracja historyczna znad Dniepru i Dniestru zagłuszyła naszą, mówiąc delikatnie. Doszło do tego, że nawet Parlament Europejski odmówił polskim ofiarom Wołynia minuty ciszy. Berlingowcy w odstawce, by nie powiedzieć, że w historycznym niebycie, za to „wyklęci" w rozkwicie! Szkoda państwowych pieniędzy na taką instytucję.

Damian Paweł Strączyk

•

Nigdzie na świecie nie ma tak kuriozalnego tworu jak ten nasz historyczno-prokuratorski IPN. Skrzywienie ideologiczne bije po oczach. Likwidacja, biorąc pod uwagę oszczędności budżetowe, jest konieczna. Historycy przecież mogą pracować na uczelniach i w instytutach, archiwiści w archiwach państwowych, a śledczy w prokuraturze. Dziś ten instytut manipulacji i nienawiści przynosi więcej szkody niż pożytku. Teraz jest to po prostu archiwum haków, które w razie potrzeby wykorzystuje aktualna władza polityczna. Niestety, ale Polacy uwielbiają się babrać we własnej przeszłości, zwłaszcza w tej niby-patriotycznej.

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Pilot mjr Maciej „Slab" Krakowian, który zginął w katastrofie F-16 podczas prób do Air Show Radom 2025, był jednym z bohaterów kampanii MON z okazji Święta Wojska Polskiego.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Szybko spada liczba ludności Polski. W 2024 r. **ubyło mieszkańców w prawie 80% gmin i 92% miast** na prawach powiatu. Najwięcej, bo 29 tys. osób, ubyło na Śląsku, 16,6 tys. w Łódzkiem i 14,6 tys. w Lubelskiem (**„Rzeczpospolita”**).

•

200 mld zł (4,8% PKB) mamy wydać w przyszłym roku na obronność, **247,8 mld** na ochronę zdrowia. To połowa wszystkich wydatków publicznych planowanych w 2026 r.

•

Pogarsza się sytuacja polskiego górnictwa węglowego. W 2024 r. odnotowało **stratę w wysokości 11 mld zł (netto)**. W 2025 r. miesięczna sprzedaż skurczyła się do 3-4,3 mln ton, a w kwietniu i maju po raz pierwszy w historii spadła poniżej 3 mln ton.

•

747 mln międzynarodowych turystów przyjęła Europa w 2024 r. W Paryżu na 1 km kw. przypada 418 280 noclegów. Barcelonę odwiedziło 26,1 mln ludzi, Majorkę 18 mln, archipelag Balearów 3,7 mln, a Hiszpanię łącznie 93,8 mln turystów.

•

We Włoszech został zatrzymany na podstawie europejskiego nakazu aresztowania Ukrainiec Serhij K. Jest oskarżony o zorganizowanie ataku na gazociąg Nord Stream w 2022 r. Jego ekstradycji domagają się Niemcy. A polska prokuratura skłania się ku tezie, że rurociąg wysadzili Rosjanie. Warto się tak ośmieszać?

•

Zmiany w „Tygodniku Powszechnym”. Na emeryturę przeszedł **redaktor naczelny Piotr Mucharski**, który kierował tygodnikiem od 2011 r. Z redakcją był związany od 1988 r. Współtworzył pismo z renomą, należące do najlepszych w Polsce.

•

Tylko 2964 szkoły na ponad 20 tys. **organizowały lekcje etyki.**

•

Mamy kolejny smutny rekord. **Poziom wody w Wiśle spadł do 6 cm** (stacja Warszawa-Bulwary). To najniższe wskazania w historii pomiarów.

•

Jakub Wojewódzki i Janusz Palikot zostali prawomocnie skazani za reklamowanie alkoholu w internecie. Muszą zapłacić wysokie kary – 495 tys. i 440 tys. zł.

•

Zakopane nie ma podstaw do pobierania opłaty miejscowej od odwiedzających je turystów. Taki wyrok, i to po raz trzeci, wydał Naczelny Sąd Administracyjny.

•

Z TikToka korzysta przeszło 2 mln dzieci w wieku 7-13 lat.

•

W pierwszej połowie roku załatwiono prawie 47 tys. spraw frankowych. To o 31% więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku.

•

W 15% gmin wiejskich jest ten sam wójt od 2006 r.

•

W 2024 r. w Unii Europejskiej były **202 mln gospodarstw domowych**, z czego **75 mln prowadzonych przez bezdzietne, samotne osoby (Eurostat)**.

•

Od 1 października ma ruszyć system kaucyjny. Ma do niego trafić ok. 16 mld sztuk butelek i puszek po napojach.

PRZEBŁYSKI

Niebo wujka Waldka (Nawrockiego)

Wujek prezydenta Nawrockiego, Waldemar, też Nawrocki, jest nie tylko odkrywcą. Pisaliśmy tydzień temu, że odkrył królewskie geny u Kasi, córki Marty Smoleń i Karola, wynalazku prezesa PiS.

Wujek Waldek, choć bokser i pierwszy trener ojca Kasi, jest człowiekiem ogromnie wrażliwym. Bardzo się wzruszył w czasie uroczystości obejmowania prezydentury. Jak mówił, miał ciarki i łzy wzruszenia napływały mu do oczu. (Znamy wyborców Trzaskowskiego, którzy przeżywali wówczas jeszcze większe emocje).

Wujek Waldek w rozmowie z redaktorem Ofiarą („Super Express”) zdradził, że „nie wie, jak wygląda niebo, ale dla mnie to było jeszcze lepsze niż niebo. Człowiek niby chodzi do kościoła, ale to było coś więcej. Po prostu szaleństwo”.

Z tym akurat trudno się nie zgodzić.

Kawaler Manasterski i prokuratura

Był prymusem w telewizyjnej szczujni Jacka Kurskiego. Meldował się na każdy gwizdek. Miłosz Manasterski wspierał dojną zmianę przez całą dobę. Skromne nawet jak na PiS umiejętności Manasterskiego szły w parze z nienachalną inteligencją, ale od czego jest pracowitość. I gorliwość.

Trudna służba w zaprzęgu aferzystów i złodziei została nagrodzona przez Andrzeja Dudę. Eksprezydent do końca ośmieszał swój urząd. Manasterskiego odznaczył Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Kawaler tego orderu ma teraz przed sobą kontakty z prokuraturą. Założona przez niego Fundacja Rozwoju Centrum Macierz Polonii, zabiegając o dotacje, podszywała się pod polonijną organizację Centrum Macierz Polonii. W czasie służby PiS fundacja Manasterskiego dostała kilka milionów złotych m.in. z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. Kasy nie zwrócono, a prokuratura sprawdza, co się z nią stało.

Jak proboszcz z Bródna skubał fiskusa

Taki pomysł na skubanie fiskusa był popularny dwie dekady temu. Wtedy ludzie mający duże dochody, by nie płacić podatku, zgłaszali darowiznę na cele kultu religijnego. Oczywiście fikcyjną. Duchowni, głównie katoliccy, ale też prawosławni, brali swoją działkę, zwykle 10%, a resztę im oddawali. Ten stary numer powtórzył ks. Ryszard L., proboszcz parafii św. Faustyny na warszawskim Bródnie. Przez wiele lat wystawiał fikcyjne faktury – na ponad 18,4 mln zł. Prokuratura wyceniła straty skarbu państwa na ok. 6 mln zł. A zarobek proboszcza na 2 mln zł. Ksiądz odsiedział trzy miesiące w areszcie i został przez biskupa odwołany. Akt oskarżenia trafił do Sądu Okręgowego Warszawa-Praga. Zarzuty usłyszały już 43 osoby.

FOT. YOU TUBE, ARCHIWUM PARAFII

eprasa.pl 6f0099b9cf

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

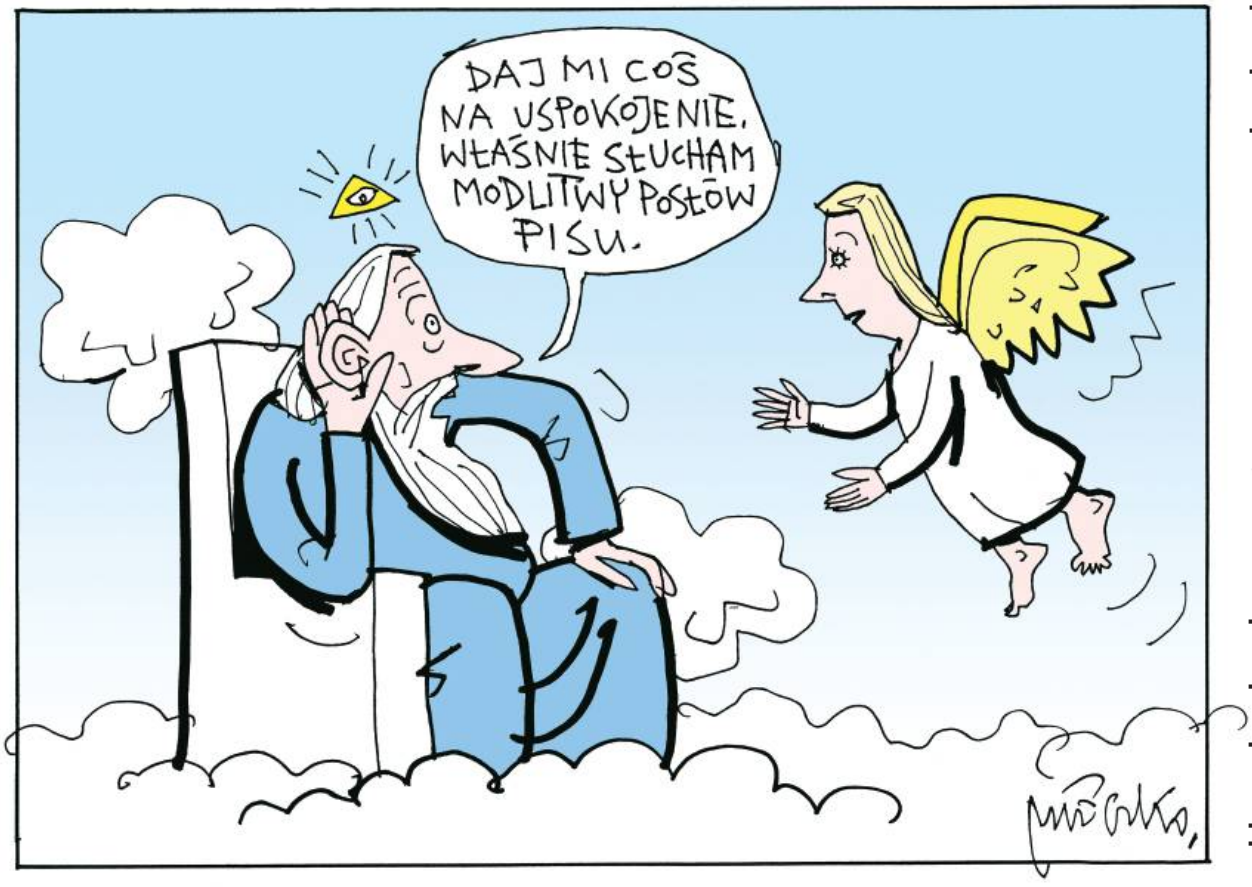

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto to jest dziś człowiek wpływowy?

BOGUSŁAW CHRABOTA,
publicysta, „Rzeczpospolita"

Niestety, mamy w Polsce wciąż ten sam model. Człowiek wpływowy to osoba łącząca nitki biznesu i polityki. Czyli jest to albo aktywny w sferze biznesu polityk, albo biznesmen szukający relacji w polityce. Mimo że w Polsce ustrzegliśmy się wschodniej oligarchii, nie udało się nam dopracować skandynawskich standardów rozdzielenia tych dwóch sfer. Ale nie tylko my mamy ten problem. Wystarczy spojrzeć na osobę prezydenta USA i łańcuszek amerykańskich liderów IT, którzy stawili się na jego inauguracji. Są równie wpływowi jak niegdyś Morganowie czy Rockefellerowie. W Polsce mamy ten problem w sensie karykaturalnym – mali „wpływowi ludzie" robią „małe" interesy.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk

Osoba wpływowa to osoba związana z Kościołem udająca osobę świecką, z którą wszyscy załatwiają interesy tak jak z osobą świecką, wiedząc, że zostanie to zaakceptowane przez Kościół.

DR KATERYNA NOVIKOVA,
socjolożka, USWPS

W znalezieniu współczesnego znaczenia wyrażenia człowiek wpływowy przyda się społeczno-psychologiczne spojrzenie na pojęcie wpływu. To proces, w którym ludzie oddziałują na siebie, a w rezultacie czują, myślą czy nawet postępują inaczej niż przedtem. Wpływ może istnieć nie tylko w rzeczywistej obecności innego człowieka, może to być wyobrażone. Przy czym ludzie uczestniczą w tym nawet nieświadomie. Moim zdaniem dotyczy to zarówno tych, których możemy określić jako osoby wpływowe, jak i tych, którzy uznaliby te osoby za wpływowe. Nie wyklucza to świadomego dążenia do oddziaływania. Najczęściej w celu uzyskania korzyści. Możliwości technologiczne zdemokratyzowały szerzenie swojego wpływu i obecnie możemy na bieżąco obserwować mechanizmy np. zaraźliwości społecznej czy wiralowych mikrotrendów. Obecnie człowiek wpływowy to jednak niekoniecznie człowiek sprawczy, a jego działania mogą przynieść skutki odwrotne do zamierzonych ze względu na złożoność świata i efemeryczność aktualnie wpływowych idei.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
doradca polityczny i wizerunkowy

W polityce to osoba, która ma duże możliwości wywierania nacisku na podejmowanie decyzji przez określone osoby. Te wpływy wynikają jednak z sugestii w stylu „Ojca chrzestnego". Trudno byłoby wskazać dzisiaj jedną najbardziej wpływową osobę na naszym podwórku politycznym. Zaliczyłbym do nich Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Osobą wpływową próbuje też zostać prezydent Nawrocki. Jeśli Nawrocki urośnie, to paradoksalnie osłabi przy tym PiS i być może wzmocni Konfederację.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 6f0099b9cf

Dlaczego polska prawica tak kocha Trumpa?

Miłość tylko w jedną stronę

Robert Walenciak

Jesteśmy świadkami filmowych scen. Chaplinowskich. Oto na posiedzeniu gabinetu w Białym Domu głos zabrał Steve Witkoff, specjalny wysłannik prezydenta ds. misji pokojowych. I powiedział, że Donald Trump powinien otrzymać Nagrodę Nobla. Wywołało to burzę oklasków członków gabinetu. „Jest jedna rzecz, o której marzę: że komitet noblowski w końcu zda sobie sprawę, że jest pan najlepszym kandydatem do tej nagrody od początku jej istnienia", zwrócił się Witkoff do prezydenta.

Jeżeli takie sceny dzieją się w gronie najbardziej zaufanych, to nie dziwmy się zachowaniu polityków, którzy przyjeżdżają do Waszyngtonu i prześcigają się w podkreślaniu mądrości, szlachetności i skuteczności Donalda Trumpa.

Owszem, to żenujące, zwłaszcza dla obywateli państw europejskich, gdy widzą, jak ich przywódcy odgrywają sceny uniżoności, obce naszej kulturze. Pewnie jest to żenujące również dla obywateli Stanów Zjednoczonych, przynajmniej tych bystrzejszych. Przecież wiedzą i widzą, że te komplementy, którymi Trump jest zalewany, są nieszczere. Ani Starmer, ani Rutte, ani Zełenski nie uważają, że Trump to Król Słońce naszych czasów. Schlebiają mu, chcąc tymi prymitywnymi metodami osiągnąć swoje. To przykre mieć prezydenta, którego inni traktują w ten sposób.

•

Ale jest wyjątek – Polska i politycy polskiej prawicy. Oni kochają i podziwiają Donalda Trumpa naprawdę.

Andrzej Duda! Ten nigdy nie ukrywał podziwu dla niego i gotów był znosić największe upokorzenia, byle tylko uścisnąć Trumpową dłoń. Tak jak podczas ostatniego spotkania Trump-Duda w lutym br. Miało ono trwać godzinę. Zaplanowano je podczas partyjnej konwencji CPAC (Conservative Political Action Conference), Duda czekał więc w małym pokoiku na Trumpa 55 minut, by porozmawiać z nim przez 10 minut. Potem, już podczas konwencji, Trump nazwał Dudę „fantastycznym człowiekiem", dodając, że skoro 84% wyborców polskiego pochodzenia w USA poparło go w wyborach, to znaczy, że „musi coś robić dobrze".

W komunikacie Białego Domu po rozmowach prezydentów wyczytaliśmy jeszcze inny komplement: „Prezydent Trump pochwalił również prezydenta Dudę za zaangażowanie Polski w zwiększenie wydatków na obronę". Od tego czasu niewiele się zmieniło.

Jeszcze przed wizytą Karola Nawrockiego w USA jego rzecznik Rafał Leśkiewicz mówił, że prezydenci będą rozmawiali o bezpieczeństwie i możliwości zawarcia pokoju w Ukrainie. Jako ewentualny temat rozmowy w Białym Domu wskazał też kwestię zakupu amerykańskiego sprzętu.

Czy naprawdę Polska musi utrzymywać amerykańską zbrojeniówkę?

Swoją lekcję odrobił też Tom Rose, od wielu miesięcy kandydat na ambasadora w Polsce. „Prezydent Trump jest za dobry na Pokojową Nagrodę Nobla", napisał na platformie X. I zaraz dodał: „Oczywiście, gdyby prezydent Trump kiedykolwiek ją otrzymał, utracony blask Pokojowej Nagrody Nobla szybko zostałby przywrócony".

A poza tym co tam Nobel! Rose poszedł dalej i rzucił myśl: Donald Trump „zasługuje na nagrodę ustanowioną specjalnie dla niego, na jego cześć, za osiągnięcia tak przełomowe, tak odważne i tak trwałe, że Nagroda Trumpa, przyznawana za prawdziwie skuteczne kierowanie państwem, autentyczną odwagę i przywództwo zmieniające świat, szybko stałaby się najbardziej prestiżowym i pożądanym wyróżnieniem ze wszystkich".

Z kolei szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki informował, że rozmowy w Stanach Zjednoczonych będą dotyczyły przede wszystkim bezpieczeństwa militarnego i energetycznego Polski. Można się domyślać, że chodziło mu o zakup broni, zakup gazu LNG i kontrakty na budowę elektrowni atomowych. Nawrocki ma więc wyznaczoną rolę lobbysty amerykańskich firm. Lobbysty – bo zakupy robią rząd i spółki skarbu państwa, a nie Kancelaria Prezydenta.

Mamy oto zdecydowanie niesymetryczny układ. Z jednej strony, wiarę polskiej prawicy w Trumpa. W to, że uściśnięcie jego dłoni jest jak zetknięcie z pomazańcem bożym. A z drugiej – zeszyt z zapisanymi kontraktami i żądanie kolejnych zakupów.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Prezydent Donald Trump pierwszy raz spotkał się z Karolem Nawrockim, gdy ten kandydował na prezydenta. Gabinet Owalny, 1 maja 2025 r.

•

To jasne, wielkie kontrakty są częścią polityki. Ale można odnieść wrażenie, że Polska wobec Ameryki taką politykę stosuje w nadmiarze. I bezrozumnie. Przykładem jest szaleństwo zakupowe, jeśli chodzi o amerykańskie uzbrojenie. Fachowcy mówią wyraźnie: kupujemy dużo, drogo i nie zastanawiając się, czy warto. Zachowujemy się jak dziecko w sklepie z cukierkami.

W zamian nas chwalą. Przebywający z wizytą w Polsce sekretarz obrony Pete Hegseth nazywał nas „modelowym sojusznikiem", którego nie trzeba przekonywać ani zachęcać do wydawania 5% PKB na obronę. Mówił, że polski rząd „stosuje zdrowy rozsądek", prezentując gotowość do obrony kraju i jego granic.

Ten „zdrowy rozsądek" ma konkretną cenę – jest to, jak podał wicepremier Kosiniak-Kamysz, 128 kontraktów z amerykańskim przemysłem zbrojeniowym na sumę 60 mld dol. Niewyobrażalne pieniądze. I w dużym stopniu utopione w rzeczy niepotrzebne. Taką przesadą był kontrakt, który podpisał jeszcze pisowski minister obrony Mariusz Błaszczak. 250 czołgów Abrams M1A2 SEPv3 kupił za 4,75 mld dol. netto, czyli za ponad 20 mld zł. Wojna w Ukrainie zweryfikowała wartość abramsów. Potężne i ciężkie, stały się łatwym łupem rojów dronów. Do tego turbinowy układ napędowy zżera potężne ilości paliwa, wręcz na cysterny. Niezbędne są też setki doświadczonych mechaników. Skąd to wszystko weźmiemy?

Polska prawica uwierzyła, że wszystko, co służy Ameryce, służy Polsce. I jest w tej wierze zabetonowana.

Mariusz Błaszczak cieszył się także z kontraktu na 96 śmigłowców Apache. Spójrzmy więc na wojnę w Ukrainie. Śmigłowce już w niej nie uczestniczą. Z banalnego powodu – ich przeżywalność na polu walki została zredukowana do kilkunastu minut. Czy warto zatem pakować miliardy w sprzęt, który nadawał się do poprzednich wojen, ale do przyszłych już nie będzie?

To pytania retoryczne. Dla Błaszczaka i jego partyjnych kolegów wydawanie pieniędzy na amerykański złom to sama radość. Zapytajmy inaczej: czy naprawdę Polska musi utrzymywać amerykańską zbrojeniówkę?

Podtrzymujemy również koncern Westinghouse, w którym zamawiana będzie elektrownia jądrowa. Nie wyjdzie to tanio. Pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Maciej Bando mówił niedawno w Sejmie, że koszt techniczny budowy elektrowni jądrowej szacowany jest na 115 mld zł. Do tego trzeba dodać koszty towarzyszące, czyli 35 mld zł. A dochodzą kolejne wydatki, więc przewidywany koszt budowy ma sięgać 192 mld zł. I już dziś wiadomo, że będzie to jedna z najdroższych elektrowni jądrowych na świecie. Owszem, Polska musi

FOT. JOYCE N. BOGHOSIAN/WHITE HOUSE

eprasa.pl 6f0099b9cf

rozwijać energetykę jądrową. Ale czy wybór firm amerykańskich do tej inwestycji jest biznesowo najlepszy?

Te pytania same cisną się na usta, gdy obserwujemy reakcję USA na projekty podatku cyfrowego. Dotyczyłby on big techów zarabiających w Polsce, nie tylko amerykańskich – wszystkich. I przyniósłby szacunkowo ok. 1,7 mld zł. Co na to Donald Trump?

„Powiadamiam wszystkie kraje posiadające cyfrowe podatki, przepisy, zasady, regulacje, że dopóki będą w nich obowiązywać te dyskryminacyjne środki, ja, jako prezydent USA, nałożę znaczące dodatkowe cła na eksport z tych krajów do USA i wprowadzę ograniczenia eksportowe na naszą bardzo chronioną technologię i na chipy. Okaż szacunek Ameryce i naszym niesamowitym firmom technologicznym albo zmierz się z konsekwencjami!", napisał na portalu Truth Social.

Dodajmy, że Polska ma ujemny bilans handlowy z USA. I że Donald Trump już zdążył na podobny podatek zareagować – gdy wprowadziła go Francja, odpowiedział nałożeniem ceł na francuskie wina. Wielkiego strachu zatem nie ma, bo Trump rzeczywiście może nałożyć cła na polską wódkę. Tylko że liderem na naszym rynku wódki jest CEDC International, czyli firma… amerykańska. To zresztą trzecia pod względem przychodów firma amerykańska w Polsce. W ich dziesiątce z największymi przychodami są jeszcze: Bank Handlowy, Canpack (opakowania), Cargill (pasze), Havi Logistics, Dell, Opony Dębica, Tenneco Silesia (części samochodowe), TVN i Pepsi-Cola. Szału nie ma.

•

Szał za to jest na polskiej prawicy, która uwierzyła, że wszystko, co służy Ameryce, służy Polsce. I jest w tej wierze zabetonowana.

Skąd ta miłość do Ameryki? To stara wiara, jeszcze sprzed I wojny światowej. Skutecznie krzewiły ją miliony emigrantów, a impulsami wzmacniającymi ją były przełom 1989 r., III RP i akcesja do NATO. Ameryka jawiła się w Polsce jako lider wolnego świata i promotor takich wartości jak demokracja czy prawa człowieka. NATO miało być gwarancją polskiej niezależności. Stawianie na Amerykę było też sposobem na zbudowanie silniejszej pozycji w Unii Europejskiej, w której początkowo wyznaczono nam rolę państwa mającego siedzieć cicho.

Prawica opowiada o suwerenności Polski, a przy tym ciągle żebrze o amerykańską przychylność. O co chodzi? O niepodległość pod amerykańskim butem?

Kłopot w tym, że nad wyraz szybko Polska ześlizgnęła się do roli usłużnego potakiwacza. Ameryka zaś nad wyraz łatwo zaakceptowała tę rolę. Prawica zbudowała do tego teorię, że siłą Polski będzie rola najbardziej proamerykańskiego państwa w regionie. Takiego, które reprezentuje amerykańskie interesy. To miało nam zapewnić bezpieczeństwo i siłę. Być tak związanymi z USA jak Izrael – marzyli niektórzy. Za słowami szły czyny. Politycy PiS zaangażowali się w budowę Trójmorza, bloku państw między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem, jako miejsca wpływów Ameryki i alternatywy politycznej wobec państw starej Unii. Zaangażowali się także w atakowanie Unii Europejskiej i rozbijanie jej jedności. „Niebezpieczeństwa idą ze wschodu i z zachodu", straszył Jarosław Kaczyński, reaktywując teorię dwóch wrogów.

Polska ma ujemny bilans handlowy z USA.

Oto pomieszanie z poplątaniem. Po pierwsze, Polska nigdy nie będzie tak ważna dla Ameryki jak Izrael. Z prostego powodu – lobby polskie musiałoby być w USA przynajmniej w części tak wpływowe jak lobby żydowskie. A nie jest i nie będzie.

Po drugie, śmiesznie wygląda prawica, opowiadając o suwerenności Polski i jej niepodległości, o tym, że musi się bronić i przed Rosją, i przed Niemcami, a równocześnie ciągle żebrząc o amerykańskich żołnierzy i amerykańską przychylność. O co tu chodzi? O niepodległość pod amerykańskim butem?

Fort Trump! – wołał swego czasu Duda. A w lutym, gdy pojawiły się informacje, że Amerykanie jeszcze nie dogadali się z Niemcami w sprawie baz wojskowych, deklarował: zapraszam amerykańskich żołnierzy do Polski! A co Duda mówił w maju podczas CPAC w Rzeszowie? Bezpieczeństwo Polski to zasługa żołnierzy amerykańskich. A budowa więzi sojuszniczych to amerykańscy żołnierze i amerykański sprzęt, który powinniśmy kupować. Nie mówił nic o Pakcie Północnoatlantyckim ani o sojuszu obronnym Zachodu. Znalazło się to poza polem jego zainteresowań. Europa? W jego opowieści wciąż tylko ustępowała Rosji i w zasadzie wojna w Ukrainie była efektem jej prób obłaskawiania Putina.

W tej wizji Europa Zachodnia jest czymś obcym. Jedynym przyjacielem i patronem są Stany Zjednoczone. A żeby ta przyjaźń była mocniejsza, powinna mieć podstawy materialne. Polska powinna kupować amerykański sprzęt i inwestować w amerykańskie rozwiązania. Wówczas Ameryka będzie tego broniła – strzegła swojego stanu posiadania.

I po trzecie, polska prawica poczuła się emocjonalnie związana z Trumpem, z tą częścią Partii Republikańskiej, która go popiera. Jest to więź ideologiczna. Chodzi o te wszystkie prawicowe strachy przed liberalną i laicką Europą, socjalistami, „ideologią woke", „ideologią LGBT i gender", „ideologią klimatyczną", globalizmem, zagrożeniem chrześcijaństwa oraz migracją.

To związek nie tylko emocjonalny – konwencje CPAC wyszły już poza Amerykę, odbywały się na Węgrzech, w Polsce, konserwatyści (sami tak się nazywają) budują swoją międzynarodówkę. Trump jest dla nich pierwszym rycerzem, który z tymi strachami się rozprawia.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Posłuchajmy zresztą, jak polska prawica broni Trumpa i go usprawiedliwia. Gdy szaleje, raz ogłaszając cła, a raz je znosząc, prawica mówi, że to nie polityk, lecz biznesmen, a to jest jego strategia biznesowa. Kiedy z kolei składa Rosji biznesowe propozycje wspólnych przedsięwzięć, ma to być gra polityczna.

Jeśli chodzi o Trumpa, wyobraźnia polskiej prawicy wydaje się nieograniczona. Poza jednym – nie postało naszym prawicowcom w głowie, że mógłby się dogadać z Rosją, także naszym kosztem. Choć, brutalnie rzecz ujmując, taki deal dla Ameryki byłby wart nie tylko Ukrainy, ale i Polski, i to z przyległościami. Zresztą jeśli wsłuchamy się w komunikaty po rozmowach Trumpa z Putinem, ewidentnie sprawy amerykańsko-rosyjskich przedsięwzięć były żywo dyskutowane. To cel obu stron.

•

Czy grozi nam taki deal? Czy Trump porzuci nas za kontrakty w Rosji? To nie takie proste. Ale w tę stronę Ameryka Trumpa zmierza. Powoli uwalnia się ze zobowiązań północnoatlantyckich.

Co na to Europa? Też dostosowuje się do zmian na świecie. Widzieliśmy to po spotkaniach Trump-Putin w Anchorage i Trump-Team Europe w Waszyngtonie, 18 sierpnia. W dawnych czasach szczyty Gorbaczow-Reagan czy Gorbaczow-Bush decydowały o losach świata. Przywódcy spotykali się, uzgadniali stanowiska, a świat przyjmował to do wiadomości. Teraz jest inaczej. Chiny nie uginają się przed amerykańskimi cłami. Podobnie Indie – Trump cztery razy dzwonił do premiera Modiego i cztery razy Modi nie miał czasu na rozmowę. Owszem, Władimir Putin miał czas, by przylecieć do Anchorage. Ale co dalej? Trump z Putinem coś ustalili. A potem nastąpiło spotkanie z Europejczykami i okazało się, że świat wygląda inaczej.

Przyszło nam żyć w czasie wielkich geopolitycznych zawirowań. Wiele się zmienia. Tylko polska prawica jest ta sama – wierzy w Trumpa, w Amerykę i w to, co w Waszyngtonie jej zagrają.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Trump może Polsce jedynie szkodzić

Trump będzie tak rozmawiał z Nawrockim, żeby uczynić z Polski i z niego pożytecznego idiotę USA

PROF. ROMAN KUŹNIAR
– Katedra Studiów Strategicznych i Bezpieczeństwa Międzynarodowego WNPiSM Uniwersytetu Warszawskiego

Rozmawia Robert Walenciak

Czego Donald Trump chce od Europy i Polski? Wciąż musimy się tego domyślać?

– Nie, Donald Trump nie jest zagadką. Nie jest żadną enigmą, mimo swoich zwrotów i humorów, kaprysów i zmienności poglądów. Jeżeli chodzi o Europę, ma bardzo określone, jasne stanowisko, które nam komunikuje od czasu pierwszej kadencji. Po pierwsze, Trump nie lubi zjednoczonej Europy. Po drugie, nie lubi Europy demokratycznej. Nie jest politykiem demokratycznym, nie jest politykiem rządów prawa, praw człowieka, a tym wszystkim jest Europa. On w ogóle – trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie – nie czuje się człowiekiem Zachodu, bo nie ma osadzenia kulturowego i aksjologicznego. A Europa taka jest! W związku z tym odczuwa wobec niej wrogość.

To dominuje?

– Europa by mu dogadzała, gdyby była podzielona. Gdyby były pojedyncze kraje, z którymi w ustawkach jeden na jeden radziłby sobie dobrze, miałby oczywistą przewagę. Natomiast zjednoczona Europa mu wadzi. I stąd jego naborsuczenie przeciwko Europie.

A przeciwko Polsce? Chyba nie?

– Jemu Polska jawi się jako Polska PiS, Polska Nawrockiego, Polska Kaczyńskiego. W tamtych czasach jawiła mu się jako kraj, który może mu pomóc w rozwalaniu jedności

eprasa.pl 6f0099b9cf

Europy, w jej osłabianiu. Bo tego chce od Europy – nie chce jej zjednoczonej, mogącej rywalizować, stawiać czoła, stawiać się w ogóle Ameryce. I chce Polski, która by mu pomagała tę zjednoczoną Europę rozwalać.

A Polska chce rozwalać zjednoczoną Europę?

– Rząd Polski nie, Polacy w większości – też nie. Natomiast PiS, jak wiemy, jak najbardziej. A prezydent Karol Nawrocki nawet jeszcze bardziej niż prezydent Andrzej Duda. Myślę więc, że Donald Trump w nowym prezydencie Polski znajduje, czy ma nadzieję znaleźć, dobrego partnera dla swoich instynktów.

Instynktów?

– Tak! Bo przecież u Trumpa nie ma strategii. Owszem, strategię możemy dojrzeć po prawej stronie Partii Republikańskiej, u twardej części prawicy republikańskiej, która jest bardzo wroga wobec Europy. Wiceprezydent Vance tę grupę reprezentuje. Natomiast sam Trump myśli raczej instynktownie.

Z drugiej strony mówi, że Europa powinna się zbroić, powinna wydawać 5% PKB. Z naszego punktu widzenia to słuszne propozycje dla Europy.

– Jest to pozorne. Trump myśli, że te 5% wydamy w Ameryce.

Na amerykański sprzęt.

– Nie miałem nigdy wątpliwości, że jeśli on mówi o zwiększeniu wydatków na obronność, to z takim domysłem, że te pieniądze Europa będzie wydawać w amerykańskich koncernach. Zresztą już teraz próbuje przymuszać Europejczyków, żeby kupowali w Ameryce. Nie chodzi mu o to, żeby Europa sama się zbroiła i budowała własny przemysł zbrojeniowy, tylko żeby te zwiększone wydatki szły na zakupy w amerykańskich koncernach zbrojeniowych.

Dodajmy jeszcze jedno – nawet Stany Zjednoczone nie wydają 5% swojego PKB na zbrojenia, a przecież mają globalne zobowiązania. Te 5% to fikcja. Nie wiadomo, na jakiej podstawie zostało wyznaczone.

Ameryka wydaje na obronność 3,3-3,5% PKB.

– Dla bezpieczeństwa państw europejskich, dla bezpieczeństwa Europy dobrze wydawane 3-3,5% byłoby z pewnością wystarczające. Tyle, ile wydają Stany Zjednoczone. A Trump chce od nas 5%. No więc nie wyobraża sobie Europy silnej. W jego wizji Europa powinna być zależna, powinna być klientem Stanów Zjednoczonych. Tak wnioskuję z jego działań i retoryki.

Trump nie lubi zjednoczonej Europy, nie lubi Europy demokratycznej, nie czuje się człowiekiem Zachodu.

A Polska co na to?

– Polska już oswoiła administrację amerykańską z klientelistyczną relacją za czasów Dudy i pierwszej prezydentury Trumpa. Trump chciałby to teraz odtworzyć. Na razie to niemożliwe, bo mamy normalny rząd. Ale prezydent Nawrocki niewątpliwie jest takim człowiekiem, przy pomocy którego tę klientelistyczną relację między Stanami Zjednoczonymi a Polską będzie można odbudować.

Przy czym trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie, że my w perspektywie samego Trumpa, tej administracji, nie mamy jakiejś wielkiej roli do odegrania. Oczywiście mamy swoją rolę w kontekście antyeuropejskim…

Ale rząd mamy proeuropejski.

– Dlatego on stawia na Nawrockiego, sądząc, że Nawrocki, przy pewnym wsparciu ze strony Stanów Zjednoczonych, może pomóc PiS wrócić do władzy. Wtedy oczywiście Polska będzie odgrywać o wiele większą antyeuropejską rolę, niż mogły to robić Węgry. Bo Węgry, owszem, są silnie antyeuropejskie, prorosyjskie, ale nie mają takiej wagi, to nie ten potencjał ani nie to położenie.

Z tego punktu widzenia Polska, jako pożyteczny idiota Trumpa, byłaby dla tej administracji cenna. Myślę, że Trump będzie tak próbował rozmawiać z Nawrockim, żeby uczynić z Polski i z Nawrockiego oraz z ewentualnych rządów PiS pożytecznego idiotę Stanów Zjednoczonych.

Co w takim razie Trump może nam zaproponować? Jeżeli chce się dogadać z Rosjanami i chce być eksponentem interesów rosyjskich na tę część Europy. Że mamy Rosji ustępować?

– Ma pan rację, ale pan myśli po polsku. A PiS nie myśli po polsku. Nawrocki nie myśli po polsku. Oni myślą z perspektywy swoich interesów partyjnych. Dla Kaczyńskiego, dla PiS, dla Nawrockiego istnieje prymat interesów partyjnych nad interesami polskimi.

Zatem oczywiście Trump niczego nie może Polsce zaproponować. Przeciwnie, może Polsce jedynie zaszkodzić. Natomiast może zaproponować PiS pomoc w powrocie do władzy.

Dla bezpieczeństwa Europy dobrze wydawane 3-3,5% byłoby z pewnością wystarczające. Tyle, ile wydają USA.

Żeby rozbijać Unię od środka.

– …ale nie w globalnym. Z całą pewnością! Owszem, Polska mogłaby odgrywać ważną rolę, gdyby Stany Zjednoczone realizowały prawdziwą, realną strategię wobec Rosji, to znaczy odpychania Rosji, pokrzyżowania jej planów wobec naszej części Europy. Ale dziś przecież tak się nie dzieje. Trump nie postrzega Rosji jako przeciwnika, on czuje się emocjonalnie blisko Putina. Dlatego Polska nie ma dla niego znaczenia. Jeżeli jakieś ma – to antyeuropejskie. Może też zaproponować Nawrockiemu pomoc w budowie legitymizacji jego uzurpacji do odgrywania roli silnego człowieka w tej części Europy.

Czy wdzięczenie się Trumpa do Putina to tylko emocje? A może to objaw słabości? Anne Applebaum, komentując szczyt na Alasce, napisała w „The Atlantic", że po prostu Trump nie ma kart.

– Nie! Trump ma karty, bo Trump to Stany Zjednoczone. Trump wdzięczy się do Putina nie dlatego, że Ameryka jest słaba. Ameryka ma

eprasa.pl 6f0099b9cf

Polska oswoiła administrację amerykańską z klientelistyczną relacją za czasów Dudy i pierwszej prezydentury Trumpa. Nz. spotkanie na Zamku Królewskim w Warszawie, 6 lipca 2017 r.

potężny potencjał, tylko on nie chce tego użyć wobec Rosji. Dlaczego? To pewna zagadka, w dalszym ciągu niewyjaśniona.

Trump czuje przedziwną miętę, przedziwną słabość do Putina, którą tłumaczy się na różne sposoby. A przecież Rosja to jedna dziesiąta amerykańskiego potencjału gospodarczego, to jakaś jedna ósma amerykańskich wydatków na obronę. Wiele innych rzeczy buduje przepaść między Ameryką a Rosją, nie mówiąc o wysokich technologiach, o pozycji w światowych finansach. Trump ma wszystkie instrumenty, by grać z Rosją twardo. A działa tak, że nie da się tego racjonalnie wytłumaczyć. Dlaczego tak potężny kraj w sposób tak upokarzający i poniżający ulega Rosji i jej prezydentowi? Tak jak powiedziałem, pewnie historia nam to wyjaśni.

Czy pańskim zdaniem Europa po spotkaniu w Waszyngtonie jest bardziej zjednoczona, czy mniej? Rozumie sytuację, w której się znalazła?

– Odnoszę wrażenie, że jest bardziej zjednoczona. Trump oczywiście bardzo utrudnia jej zadanie, bo nie chce zjednoczonej Europy. A ona jest bardziej zjednoczona dzięki świadomości, że ma do czynienia, jeżeli chodzi o Biały Dom, z człowiekiem całkowicie niepoważnym. Tam, w Białym Domu, zasiada kapryśny cesarz, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych. W związku z tym Europa musi liczyć na siebie, tylko nie może tego głośno mówić.

Europejczycy muszą udawać, że w dalszym ciągu ich sojusznikiem są USA, że w Białym Domu jest prezydent, a nie cesarz Bokassa. Ale myślę, że – zwłaszcza po tym haniebnym występie Trumpa na Alasce – rozumieją, z kim mają do czynienia. I już wiedzą, że mogą liczyć tylko na siebie.

Polska prawica chce się podlizywać Amerykanom, kupując ich broń i rozwalając Europę. Poza tym ma plan budowy Trójmorza. Czy to może być skuteczne?

– Trójmorze od początku było wydmuszką i nie miało żadnych szans. Wystarczy spojrzeć na mapę, na gospodarkę. Ale Nawrocki nawet tego nie będzie w stanie pojąć, to polityczny troglodyta.

To był również pomysł na budowę strefy amerykańskich wpływów.

– Nie sądzę, że Amerykanie dadzą się wciągnąć w tę pustą narrację. Wcześniej, za Andrzeja Dudy, niektórzy przyjeżdżali, potakiwali. Ale dla Nawrockiego już tego nie zrobią. On nie budzi zaufania jako budowniczy i konstruktor. To typ rozwalacza. Proszę spojrzeć, jeżeli chodzi o Ukrainę, na jego weto. Przecież to, co zrobił, jest kompletnie irracjonalne. W całej jego kancelarii nie było jednego człowieka, który zatrzymałby to szaleństwo?

Nie było.

– To znaczy, że oni są tylko od destrukcji. Antyeuropejskość Nawrockiego będzie prostacka i prymitywna. Taka jak w czasie kampanii, gdy wykrzykiwał, że nie chcemy być województwem Unii Europejskiej. Czy pan sobie wyobraża, że ktoś w Słowenii, we Włoszech, w Hiszpanii, Holandii czy we Francji wołałby: my nie chcemy być województwem Unii Europejskiej? Czy to jest poważne?

Gdy będzie się wdzięczył do Trumpa, w Ameryce będą to oklaskiwać.

– Amerykanie oczywiście mają interes w tym, żeby kontynuować czy wzmacniać prawicową rewolucję, taką jaka się dokonała w Ameryce. I sądzą, że Nawrocki pomoże jej dopełnić się w Polsce. Kolejna sprawa – antyeuropejskość. Rozbijanie jedności europejskiej. Trump i jego administracja będą chcieli z pomocą Polski osłabiać stanowczość Europy wobec Rosji. Przecież antyukraińskość Nawrockiego i jego ekipy nie może być interpretowana inaczej niż jako coś, co służy Rosji.

To pokazuje, jak bardzo oni są fałszywi, jeżeli chodzi o reprezentację polskich interesów, jak bardzo ta prezydentura będzie szkodliwa dla Polski.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6f0099b9cf

Produkt sędziopodobny

Gdyby Małgorzata Manowska miała choć odrobinę przyzwoitości, uczciwości i honoru, dawno zrzekłaby się urzędu sędziego

Andrzej Sikorski

„Ten, kto jest niezdolny do krytycznej oceny własnych, oczywiście nagannych uczynków, przyznania się do nich i przeproszenia pokrzywdzonego, czyli nie potrafi postąpić zgodnie z imperatywem zawartym w par. 5 ust. 3 zbioru zasad etyki zawodowej sędziów, ten nie jest w stanie wymierzać sprawiedliwości, a więc wykonywać zadań, do których sędzia jest powoływany". To fragment wyroku Sądu Najwyższego sprzed prawie 20 lat w jednej ze spraw dyscyplinarnych. Choć przesłanie to wielokrotnie decydowało o złożeniu urzędu sędziowskiego, dla obecnej pierwszej prezes Sądu Najwyższego najwyraźniej nie istnieje.

W styczniu 2024 r. 37 legalnych sędziów Sądu Najwyższego wezwało Małgorzatę Manowską – i innych neosędziów – do ustąpienia z zajmowanego stanowiska i powstrzymania się od orzekania. Zdaniem sędziów udział takich osób w składach SN prowadzi do naruszenia konstytucyjnego prawa do bezstronnego, niezależnego i zgodnego z prawem sądu, „a w konsekwencji narusza gwarancje procesowe stron, zobowiązania międzynarodowe Rzeczypospolitej Polskiej i powoduje ryzyko odpowiedzialności odszkodowawczej Państwa".

Manowska i inni neosędziowie (powołani przez Andrzeja Dudę na wniosek nielegalnej i upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa) nie są sędziami w rozumieniu prawa krajowego i orzeczeń trybunałów europejskich, nie zapewniają rzetelnego procesu, a wydawane przez nich wyroki prowadzą do systemowego łamania praw człowieka.

Po pięciu latach na stołku pierwszej prezes SN Małgorzata Manowska może zakomunikować Jarosławowi Kaczyńskiemu: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!".

Osoby poszkodowane przez takich uzurpatorów składają pozwy przeciwko Polsce, a wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka są jednoznaczne: doszło do naruszenia prawa do niezawisłego i bezstronnego sądu. W ramach zasądzonych zadośćuczynień (w kilkudziesięciu sprawach) Polska musiała zapłacić skarżącym ok. 1 mln euro. To nie koniec, bo do rozpatrzenia jest jeszcze kilkaset spraw i zapewne będzie ich przybywać. Ale przecież Manowska i inni neosędziowie nie płacą z własnej kieszeni.

Sędziowska kariera polityką podszyta

Małgorzata Manowska w 2007 r. była sędzią Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Postanowiła jednak zająć się polityką i w rządzie Jarosława Kaczyńskiego została wiceministrem sprawiedliwości odpowiedzialnym za sądownictwo. W resorcie pod kierownictwem Zbigniewa Ziobry wiceministrami byli również Andrzej Duda i sędzia Andrzej Kryże, który w czasach PRL skazywał w procesach politycznych m.in. Andrzeja Czumę, Wojciecha Ziembińskiego i Bronisława Komorowskiego.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Takie towarzystwo nie przeszkadzało pani sędzi zauroczonej programem PiS, którego sztandarowym hasłem była walka z wyimaginowanym układem postkomunistycznym, co, jak wiadomo, zakończyło się śmiercią Barbary Blidy zaszczutej przez Zbigniewa Ziobrę i Bogdana Święczkowskiego, wówczas szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po śmierci Blidy Manowska nie zachowała się jak na sędziego przystało, nie potępiła przestępczej działalności członków rządu, szefów służb i prokuratorów, którzy do celów politycznych wykreowali aferę. Nie podała się też na znak protestu do dymisji. A przecież, aby wsadzić polityczkę lewicy do aresztu, Zbigniew Ziobro zawczasu ulokował na stołku prezesa Sądu Okręgowego w Katowicach Monikę Śliwińską, znajomą Święczkowskiego i jednocześnie żonę dyrektora delegatury ABW w Katowicach.

Manowska dotrwała do końca w skompromitowanym rządzie, a potem jak gdyby nigdy nic wróciła do pracy jako sędzia. Ale kontakty polityczne i towarzyskie zostały. O Andrzeju Dudzie mówiła, że jest jej przyjacielem…

W 2016 r. Zbigniew Ziobro powołał Manowską na stanowisko dyrektorki podległej Ministerstwu Sprawiedliwości Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury w Krakowie (KSSiP). „Organizacyjnie w szkole radzi sobie słabo. Słucha podszeptów, lubi, gdy jej schlebiają, zwłaszcza gdy robią to osoby na piedestale. Generalnie jest podporządkowana bez reszty resortowi sprawiedliwości", mówił w 2018 r. informator „Gazecie Wyborczej". W lutym 2020 r. w KSSiP doszło do gigantycznego wycieku danych, dotyczących ponad 50 tys. prawników, w tym sędziów i prokuratorów oraz urzędników wymiaru sprawiedliwości. W internecie pojawiły się prywatne adresy mejlowe, adresy zamieszkania, numery telefonów i numery PESEL. Wrażliwe dane wpadły w ręce przestępców, którzy wysyłali sędziom i prokuratorom groźby pobicia czy śmierci.

Taka afera powinna natychmiast zakończyć karierę Manowskiej w wymiarze sprawiedliwości, ale bezczelna prawniczka stwierdziła, że „nie czuje się winna, a za wyciek danych nie odpowiada nikt z podległych jej pracowników".

Usłużna prokuratura szybko znalazła kozła ofiarnego – Krzysztofa J., informatyka z prywatnej firmy Etop, która wykonywała usługi dla KSSiP. Mężczyznę o nieposzlakowanej opinii potraktowano jak kryminalistę. Specjalna grupa policyjna zrobiła nalot na dom pod Warszawą, w którym Krzysztof J. mieszkał z rodzicami. Posesję dokładnie przeczesano, a młodego informatyka zakuto w kajdanki i wywieziono do Prokuratury Regionalnej w Lublinie, gdzie postawiono mu zarzuty. Następnie spreparowano akt oskarżenia, by chronić Manowską i jej podwładnych – pracowników KSSiP, którzy dopuścili się nadużyć.

Śledztwo osobistym nadzorem objął szef prokuratury Jerzy Ziarkiewicz, zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry. Ziarkiewicz to jeden z najbardziej skompromitowanych śledczych za rządów PiS. Zasłynął ręcznym sterowaniem śledztwami – blokował te dotyczące polityków partii Jarosława Kaczyńskiego, a z zaciekłością ścigał ludzi kojarzonych z ówczesną opozycją. Po zmianie władzy Ziarkiewicza odsunięto od obowiązków, a za popełnione nadużycia objęty został postępowaniami dyscyplinarnymi i karnymi.

Latem 2024 r. prokuratura wycofała z sądu akt oskarżenia przeciwko informatykowi Krzysztofowi J., a śledztwo umorzono… Prokuratura Adama Bodnara nie oskarżyła Manowskiej i pracowników KSSiP o spowodowanie wycieku, choć miała mocne dowody.

W styczniu 2024 r. 37 legalnych sędziów SN wezwało Małgorzatę Manowską i innych neosędziów do ustąpienia ze stanowisk i powstrzymania się od orzekania.

W imieniu Ziobry i Rzeczypospolitej

Gdy doszło do wycieku w KSSiP, Manowska była już neosędzią Sądu Najwyższego, a pisowska władza szykowała ją na dublerkę Małgorzaty Gersdorf, ówczesnej pierwszej prezes SN. Andrzej Duda powołał Manowską na pierwszą prezes SN (w maju 2020 r.), mimo że ta podczas Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN uzyskała ledwie 25 głosów poparcia, a doświadczony i cieszący się autorytetem legalny sędzia Włodzimierz Wróbel otrzymał ich dwukrotnie więcej, bo 50. Zdaniem prawników i konstytucjonalistów powołanie Manowskiej na pierwszą prezes SN odbyło się z naruszeniem prawa, a Zgromadzenie Ogólne, podczas którego procedowano, było wyreżyserowanym spektaklem zaplanowanym przez PiS. Prowadzili je wyznaczeni przez Andrzeja Dudę polityczni komisarze Kamil Zaradkiewicz i Aleksander Stępkowski, którzy ignorowali wnioski składane przez legalnych sędziów.

Wróćmy jeszcze do czasów, gdy Manowska stała na czele KSSiP. W 2016 r., gdy Ziobro dał jej intratną posadę, sędzia orzekała w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Za dyrektorowanie dostawała drugą pensję, kilkanaście tysięcy złotych, w postaci dodatków specjalnego i funkcyjnego. W 2018 r. Manowska została neosędzią Sądu Najwyższego, ale nie zrezygnowała z dyrektorskiego stołka, choć ustawa o SN zakazuje sędziom dodatkowego zatrudnienia poza pracą dydaktyczną i naukową. Jakby tego było mało, zgodnie z prawem sędziowie Sądu Najwyższego nie mogą podlegać służbowo politykom ani władzy wykonawczej, a minister sprawiedliwości jest przecież politykiem i przedstawicielem władzy wykonawczej.

Ówczesna pierwsza prezes SN Małgorzata Gersdorf uznała, że Małgorzata Manowska złamała prawo, łącząc funkcję sędziego i dyrektora KSSiP, i nie wypłacała jej

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6f0099b9cf

wynagrodzenia za dyrektorowanie (w okresie od listopada 2018 r. do czerwca 2020 r.). Podobnie uznało Kolegium Sądu Najwyższego i zwróciło się do rzecznika dyscyplinarnego SN o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego. Ten jednak odmówił, argumentując, że co prawda Manowska naruszyła prawo, ale „czynu tego dopuściła się nie ze złej woli". Łasa na pieniądze Manowska po latach upomniała się o swoje i pozwała Ministra Sprawiedliwości o wypłatę prawie 400 tys. zł (łącznie z odsetkami).

Na straży interesów PiS

Manowska stoi na czele Sądu Najwyższego już pięć lat. W tym czasie podporządkowała go pisowskiej władzy, broniąc interesów neosędziów, którzy stanowią obecnie większość w najważniejszym polskim sądzie i przejęli nad nim kontrolę. Zaczęło się od odroczenia Zgromadzenia Ogólnego, które jest formą samorządu sędziów SN. Legalni sędziowie chcieli przedstawić swoje zastrzeżenia co do sposobu wyboru kandydatów na prezesa SN, ale Manowska do dziś nie zwołała zgromadzenia, które powinno się odbywać co najmniej raz w roku. Była zastępczyni Zbigniewa Ziobry przejęła też akta niewygodnych dla PiS spraw, chociażby takich, w których podważany był status neosędziów, czyli również jej. Doszło do tego, że zaczęła osobiście sprawdzać korespondencję i obieg dokumentów, tak by nie trafiły w niepowołane ręce, czyli do legalnych sędziów.

Manowska wytoczyła ciężkie działa przeciwko legalnemu prezesowi Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych SN Piotrowi Prusinowskiemu, żądając dla niego czterech dyscyplinarek. Wykorzystała do tego tzw. ustawę kagańcową, którą Trybunał Sprawiedliwości UE uznał za sprzeczną z prawem unijnym. Prusinowski znalazł się na cenzurowanym, bo bronił niezależności SN i publicznie mówił, co myśli o rządach Manowskiej. Na dodatek był pełnomocnikiem w sprawach dyscyplinarnych represjonowanych sędziów. Manowskiej podpadli nawet ławnicy SN, którzy nie chcieli orzekać z neosędziami.

Aby pozbyć się krytykantów i wichrzycieli, przyjaciółka Andrzeja Dudy wszczęła procedurę ich odwołania. Gdy w lipcu 2021 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uznał Izbę Dyscyplinarną SN za nielegalną i zawiesił jej działalność, kilka dni później Manowska zdecydowała o jej odwieszeniu. I choć Bruksela postawiła Polsce ultimatum, że albo zastosuje się do decyzji TSUE, albo Komisja Europejska wystąpi o nałożenie kar na Polskę, Manowska nic sobie z tego nie robiła. Bo dla niej ważniejsze są wytyczne z Nowogrodzkiej i Pałacu Prezydenckiego niż dbanie o praworządność.

> Manowska i inni neosędziowie nie są sędziami w rozumieniu prawa krajowego i orzeczeń trybunałów europejskich.

Szczytem serwilizmu i politycznego zaangażowania było prywatne spotkanie Manowskiej w jej domu z prezydentem Andrzejem Dudą w styczniu 2024 r. Przyjaciele dyskutowali, jak pomóc Maciejowi Wąsikowi i Mariuszowi Kamińskiemu, skazanym prawomocnie na karę więzienia. Wkrótce po tym (panowie trafili już za kraty) Manowska stwierdziła, że przestępcy nadal są posłami, bo nielegalna, złożona z pisowskich nominatów Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN uchyliła decyzję marszałka Sejmu o wygaszeniu ich mandatów. Jak wiadomo, Kamiński z Wąsikiem szybko opuścili więzienne mury, bo Andrzej Duda ułaskawił ich po raz drugi.

Zarzuty prokuratorskie

Być może dobra passa pierwszej prezes SN wkrótce dobiegnie końca. Prokuratura Krajowa złożyła dwa wnioski o uchylenie immunitetu Manowskiej. Pierwszy trafił do Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN, a drugi do Trybunału Stanu (na mocy konstytucji Manowska jest przewodniczącą tego organu). Śledczy chcą postawić najważniejszej neosędzi trzy zarzuty z art. 231 Kodeksu karnego, który mówi o przekroczeniu uprawnień lub niedopełnieniu obowiązków służbowych.

Pierwszy zarzut dotyczy niewykonania zabezpieczenia Sądu Okręgowego w Olsztynie w sprawie sędziego Pawła Juszczyszyna. W 2021 r. sąd nakazał Manowskiej umieszczenie na stronie SN adnotacji, że wykonanie decyzji Izby Dyscyplinarnej o zawieszeniu sędziego zostało wstrzymane przez sąd. Drugi zarzut dotyczy manipulacji przy liczeniu głosów podczas obrad Kolegium SN. Manowska uznała, że legalni sędziowie, którzy nie wzięli udziału w obradach, wstrzymali się od głosu, dzięki czemu miała wymagane kworum, czyli podkładkę do podejmowania decyzji przez Kolegium. Trzeci zarzut dotyczy niezwołania posiedzenia pełnego składu Trybunału Stanu, o co zwróciło się do Manowskiej sześciu członków TS. Nie zwołując posiedzenia, Manowska chciała zablokować postawienie przed Trybunałem Stanu pisowskiego prezesa NBP Adama Glapińskiego.

Ale to nie wszystko. Prokuratura prowadzi jeszcze kilka innych śledztw, w których przewija się nazwisko przyjaciółki Andrzeja Dudy. Chodzi o represjonowanie sędziów Macieja Ferka z Sądu Okręgowego w Krakowie i Piotra Gąciarka z Sądu Okręgowego w Warszawie, bezprawnie zawieszonych przez nielegalną Izbę Dyscyplinarną SN, oraz o ukrywanie akt, by legalni sędziowie nie mogli wydać wyroków niekorzystnych dla neosędziów.

Po pięciu latach na stołku pierwszej prezes SN Małgorzata Manowska może z czystym sumieniem zakomunikować Jarosławowi Kaczyńskiemu: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!". Najważniejszy sąd w Polsce obsadzony przez politycznych uzurpatorów został podporządkowany PiS.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 6f0099b9cf

Zabrze a sprawa polska

Walka o władzę w tym śląskim mieście wykroczyła poza jego granice. Czy Zabrze „powstanie z kolan”?

Mateusz Cieślak

Cała polityczna Polska śledziła wydarzenia w Zabrzu z zapartym tchem. Zaiste, tamtejsze przedterminowe wybory zmieniły się w thriller. Można je podsumować następująco: PiS przegrało, ale i wygrało. Koalicja Obywatelska natomiast przegrała, i to podwójnie.

W maju odbyło się referendum, w którym odwołano prezydentkę Agnieszkę Rupniewską. W niedzielę 24 sierpnia zabrzanie wybierali więc nowego prezydenta miasta. Do drugiej tury weszli: reprezentująca KO Ewa Weber oraz lokalny społecznik Kamil Żbikowski. Wygrał Żbikowski. Jego zwycięstwo jest sporym zaskoczeniem. W pierwszej turze Weber mocno bowiem odskoczyła od rywala. Wtedy poparło ją 12,7 tys. osób. Na Żbikowskiego postawiło 5,2 tys. zabrzan.

Żbikowski uchodził za tego, który nie może wygrać. Wybory prezydenckie w Zabrzu przegrał w 2018 i w 2024 r. Ale do trzech razy sztuka. W nocy, kiedy liczono głosy, szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. W pewnym momencie Krajowe Biuro Wyborcze w Katowicach postanowiło ponownie sprawdzić napływające protokoły. Wyborczy rollercoaster zakończył się przed północą, o sukcesie Żbikowskiego zadecydowało ledwie 106 głosów. Jego wynik to 50,17%. Weber – 49,83%.

Referendum – trudna sztuka

Pierwsza tura wyborów została zorganizowana 10 sierpnia. Frekwencja była marna. Nic dziwnego – wakacje. Podobnie było podczas dogrywki. W mieście, w którym prawo do głosowania ma 116 tys. osób, do urn poszło 32 tys. uprawnionych (tyle samo, co w pierwszej turze). Frekwencja 27,56% już na starcie stawia nowego prezydenta przed trudnym zadaniem: jak dociągnąć do końca kadencji bez kolejnego referendum? Wystarczy, że weźmie w nim udział 19 176 osób, by było ważne. A to oznacza, że odwołanie prezydenta jest tu znacznie łatwiejsze niż w miastach ościennych.

W Bytomiu próby zorganizowania referendum podejmowano trzykrotnie (w 2012, 2017 i 2023 r.) i dotyczyły one trzech różnych prezydentów. Tylko jedna zakończyła się sukcesem. W Rudzie Śląskiej dwa razy usiłowano odwołać prezydentkę

Debata Ewy Weber i Kamila Żbikowskiego w TVP 3 Katowice przed drugą turą wyborów na prezydenta Zabrza, 21 sierpnia 2025 r.

Ewa Weber – kandydatka Koalicji Obywatelskiej na prezydenta Zabrza. Od 1992 do 2019 r. pracowała w Urzędzie Miejskim w Zabrzu, pełniąc funkcję sekretarza miasta. Od stycznia 2020 r. do 2023 r. była wiceprezydentem Gliwic. Następnie pełniła funkcję dyrektora generalnego w Ministerstwie Aktywów Państwowych. Po odwołaniu Agnieszki Rupniewskiej premier powołał ją na pełniącą obowiązki prezydent Zabrza.

Kamil Żbikowski – społecznik, który wcześniej dwukrotnie, lecz bez powodzenia, kandydował na prezydenta Zabrza: w 2018 i 2024 r. Od 2018 r. jest zabrzańskim radnym. Założyciel ruchu społecznego Lepsze Zabrze. Przedstawia się jako współzałożyciel i członek Zabrzańskiego Alarmu Smogowego, Katowickiego Alarmu Smogowego oraz Polskiego Alarmu Smogowego.

FOT. KARINA TROJOK DZIENNIK ZACHODNI POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 6f0099b9cf

Grażynę Dziedzic. Obie inicjatywy spaliły na panewce, powodem było zbyt niskie poparcie mieszkańców. Raz, w 2020 r., chciano odwołać prezydenta Świętochłowic, ale po dwóch miesiącach zapał referendalny zgasł. Podobnie działo się w Siemianowicach Śląskich czy w Mysłowicach. Natomiast w Gliwicach dwukrotnie doprowadzono do głosowania. Tam chciano wymienić Zygmunta Frankiewicza, który rządził miastem 26 lat. W obu przypadkach wygrali jego oponenci, ale frekwencja za każdym razem okazywała się za niska.

W Gliwicach ponownie zaczęto mówić o referendum wiosną tego roku. Tym razem w sprawie odwołania Katarzyny Kuczyńskiej-Budki (z Koalicji Obywatelskiej). Temat na kilka miesięcy przycichł, ale już parę godzin po ogłoszeniu wyniku wyborów w Zabrzu powrócił. Łukasz Rzepecki, były doradca prezydenta Andrzeja Dudy, oznajmił: „Mieszkańcy budzą się i mówią stop tej władzy. Kolejne bastiony KO zagrożone. Gliwice? Łódź?".

Wątek gliwicki

Należy się zastanowić, jak bardzo Katarzyna Kuczyńska-Budka mogła się przyczynić do porażki swojej formacji w sąsiednim Zabrzu. Prezydentka Gliwic wraz z byłą już ministrą zdrowia Izabelą Leszczyną ogłosiły, że to w Gliwicach powstanie wielki szpital Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Między innymi z Zabrza mają tu być przenoszone oddziały kliniczne. Temat utraty przez Zabrze statusu śląskiej stolicy medycyny akademickiej stał się jednym z głównych wątków kampanii przedreferendalnej. Mówiono o tym, jak wielkie znaczenie miałaby taka inwestycja, gdyby realizować ją w Zabrzu (2,3 mld zł z budżetu państwa, 1 tys. miejsc pracy, nowi potencjalni mieszkańcy – studenci i pracownicy). Podczas debaty poprzedzającej pierwszą turę wyborów jeden z kandydatów stwierdził nawet, że inwestycja ta mogłaby „podnieść miasto z kolan". „Chciałbym powalczyć o inwestycję w szpital akademicki w Zabrzu, która została nam odebrana na rzecz Gliwic w zeszłym roku", zapowiedział Kamil Żbikowski zaraz po wygraniu wyborów (za PAP).

Poprzedniczką Kamila Żbikowskiego była Agnieszka Rupniewska (jak Weber reprezentująca KO). Została odwołana 11 maja. Już samo to, że referendum okazało się ważne, było zastanawiającym zjawiskiem. W ciągu ostatnich 20 lat w 4,5-milionowym województwie śląskim, gdzie jest aż 19 miast na prawach powiatu, jedynie dwie takie inicjatywy zakończyły się odwołaniem prezydentów. O jednej już wspomniałem – miała miejsce w Bytomiu w 2012 r. Druga – w Częstochowie, jeszcze w 2009 r.

Dlaczego ją odwołano?

Jeszcze bardziej zadziwiający był powód, dla którego Rupniewską odwołano. Rządziła zaledwie rok i cztery dni, od 7 maja 2024 r. To zbyt krótko, by rozwiązać najważniejsze problemy miasta – zadłużonego po uszy. Przy czym to, że zdobyła 354 mln zł, wcale jej nie pomogło. Pierwsze miesiące rządów poświęciła właśnie na negocjowanie tej pomocy. Pieniądze od Ministerstwa Finansów miały posłużyć do spłaty najpilniejszych zobowiązań i odzyskania płynności finansowej.

Zarzucono jej zwolnienia grupowe w jednostkach samorządowych (z zabrzańskiego magistratu musiało odejść 100 osób, zapowiedziano cięcia etatów w MOSiR). Krytykowano za rzekomo przewlekły proces prywatyzacji Górnika Zabrze. Rupniewska tłumaczyła, że część zwalnianych miała uprawnienia emerytalne, a część odchodziła na własne życzenie. Pretensje dotyczące klubu sportowego były typowo populistyczne, podobnie jak mówienie o rezygnacji z wydarzeń kulturalnych. Jednak przeciwnicy Rupniewskiej sprawniej komunikowali się z lokalną społecznością. Internet aż grzał się od postów i filmików wzywających do jej odwołania. A ona sama z niezrozumiałych powodów nie odpowiadała na zarzuty i przyjęła taktykę milczenia na temat zbliżającego się referendum. Wcześniej zaś unikała odpowiadania na pytania dziennikarzy. To się w końcu zemściło.

Wcześniej ster rządów w mieście 18 lat dzierżyła Małgorzata Mańka-Szulik. Rządziła niepodzielnie i w stylu, który przysporzył jej miana „carycy". Już w 2018 r. nieomal przegrała z Rupniewską. Ta druga musiała się tłumaczyć z różnych, często niepoważnych oskarżeń. „Nie, nie jestem lesbijką", wyjaśniała w oświadczeniu. Obie panie weszły do drugiej tury. Z niewielką przewagą zwyciężyła „caryca" (51,5% do 48,4% głosów). W 2024 r. stanęły w szranki ponownie – wygrała Rupniewska.

PiS triumfuje

Majowe referendum nie było wyłącznie sprawą zabrzańską. „Mieszkańcy Zabrza odwołali w lokalnym referendum prezydent miasta z Koalicji Obywatelskiej! To sygnał, że Polacy mają dość tej nieudolnej ekipy. Wybory prezydenckie będą symbolicznym referendum nad rządem Donalda Tuska. Pokażmy tej szkodliwej władzy czerwoną kartkę", pisał dwa dni po jej odsunięciu Karol Nawrocki.

PiS przegrało, ale i wygrało.
Koalicja Obywatelska przegrała, i to podwójnie.

Zadłużenie miasta jest kolosalne, ma wynosić prawie 1,5 mld zł. Głównym zadaniem Rupniewskiej przez ten pierwszy rok było więc szukanie oszczędności. Cięła koszty, gdzie się dało – i zamiast pochwał spotkała ją za to krytyka. Oburzano się na zmniejszanie wydatków na kulturę. Krytykowano zmianę ze względów oszczędnościowych firmy wywożącej śmieci. Prezydentce zaszkodził także plan łączenia szkół. Naraziła się pracownikom oświaty. Niewykluczone, że właśnie dzięki nim referendum okazało się ważne.

Co ciekawe, przeciwko Rupniewskiej nie wytoczono żadnych ciężkich dział, użyte podczas kampanii wyborczej argumenty były dosyć miałkie.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Były premier Mateusz Morawiecki apelował zaś: „Wczoraj Zabrze, a w niedzielę w całej Polsce pokażmy żółtą kartkę rządowi Tuska”.

W czasie wakacji w mieście pojawiali się Jarosław Kaczyński i Sławomir Mentzen. Zarówno PiS, jak i Konfederacja miały bowiem swoich przedstawicieli wśród kandydatów na prezydenta. Właśnie tam prezes PiS powiedział słowa, które odbiły się echem w całej Polsce, ale również w Niemczech: „Marnowany jest potencjał Polski, były środki na prace nad komputerem kwantowym i zostały wycofane. Ten rząd nas niszczy na niemieckie zamówienie. Nie musimy być daleko za Niemcami, możemy ich przegonić. Potrzebujemy powrotu dobrej władzy, która może popełniać błędy, ale chodzi o to, żeby te zmiany były takie jak w demokratycznych państwach”. Spotkało się to z ripostą Radosława Sikorskiego: „Boże, jakie to wredne i głupie. Oni naprawdę sobie wyobrażają, że niemiecki minister śmiałby dawać polskiemu politykowi takie polecenia?”.

W drugiej turze wyborów kandydat PiS udzielił Żbikowskiemu poparcia. Był to akt desperacji, gdyż Żbikowski kompletnie nie pasuje do wizerunku kogoś, kogo PiS chciałoby popierać. Ekolog, założyciel Alarmu Smogowego, zwolennik jak największego udziału obywateli w rządzeniu miastem, wolontariusz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i propagator zielonego transportu. Ostrzegał w przeszłości przed PiS. W lipcu 2020 r. w mediach społecznościowych odniósł się do jednej z wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, stwierdzając, że Kaczyński zawarł w niej „istotę niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą totalna władza PiS”. Wcześniej, w czerwcu, przyznawał: „Wiem, że część moich wyborców z 2018 r. sympatyzuje z PiS. Mimo to nie leży w mojej naturze milczeć, kiedy czuję zagrożenie dla podstawowych wartości (...). Ostatnie 5 lat nie zostawiło mi złudzeń, że te wartości są zagrożone przez skupienie całej władzy w rękach jednej populistycznej partii. (...) Uważam za swój moralny obowiązek aktywnie włączyć się w kampanię Rafała Trzaskowskiego”.

O sukcesie Żbikowskiego zadecydowało ledwie 106 głosów. Jego wynik to 50,17%. Weber – 49,83%.

Politycznie najbliżej było mu do Polski 2050. Tuż przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. nawoływał do głosowania na Szymona Hołownię: „Mój wybór na I turę to Szymon Hołownia. Jeśli wciąż zastanawiasz się, na kogo oddać swój głos, to uważam, że najlepiej zrobisz, wybierając właśnie jego”.

Tamte „grzeszne” wypowiedzi Żbikowskiego poszły w zapomnienie. Politycy PiS i Konfederacji nie kryją entuzjazmu. Jacek Sasin: „Mogą wystawiać swoich kandydatów do skutku, ale kłamstw już nikt nie kupi”. Mateusz Morawiecki: „Zabrze to dopiero początek”. „Zabrze odbite”, ogłosił Łukasz Rzepecki, który kiedyś był w PiS, a teraz jest w Nowej Nadziei Mentzena (Konfederacja).

Co ciekawe, gdyby PiS i Konfederacja wystawiły w Zabrzu wspólnego reprezentanta, zdobyłby on tyle głosów, że mógłby wejść do drugiej tury wyborów. Na to wskazują wyniki kandydatów reprezentujących te dwa ugrupowania. Ostateczny wynik walki o Zabrze mógłby wtedy wyglądać inaczej.

Mateusz Cieślak

LIST

Tu chodzi o pamięć

TU CHODZI O PAMIĘĆ

Wystawa „Nasi chłopcy” ośmieliła Pomorzan. Po latach ukrywania przeszłości chcą o niej mówić

U nas, w Gdańsku oraz na Kaszubach, mało kto nie miał ojca, dziadka czy pradziadka w Wehrmachcie. Mało kto też tego się zapiera, ponieważ dziadek w Wehrmachcie oznaczał, że nie był to przynajmniej dziadek w Gestapo. Być może niektórzy nie odróżniają jednej formacji od drugiej, ale dla lepiej zorientowanych czy po prostu nieco rozumniejszych nie było to jedno i to samo.

Ponadto, jeśli komuś się wydaje, że wcielenie do Wehrmachtu było wówczas rodzajem uprzejmego zaproszenia, które można było wyniośle i ze wzgardą odrzucić, to źle mu się wydaje. To było wcielenie do wojska.

I co, mamy teraz wyprzeć się naszych dziadków i pradziadków, bo niespełniony austriacki akwarelista ubrał ich w niestosowne kamasze? Mam swojego dziadka, wspaniałego człowieka, uznać za „nie naszego”, bo mu historia wyrwała kawał życia i nakazała nosić wraży mundur? A może w ogóle wykreślmy z rejestru naszych wszystkich pra-, prapra- i praprapradziadków, których wcielano do armii zaborczych, tak jak niektóre oszołomy się domagają, byśmy splunęli na dziadków, których losy rzuciły do armii Berlinga, a nie Andersa? Postrącajmy ich wszystkich z naszych drzew genealogicznych i niech wreszcie się potwierdzi, że Polacy są narodem dostarczonym na ziemię, tę ziemię, przez bociany.

Tak, to byli NASI CHŁOPCY. Młodzi, wyrwani z domowych pieleszy, ciśnięci w środek wojennego szaleństwa. Nie dlatego nasi, że byli w Wehrmachcie i jesteśmy z tego bardzo dumni, ale nasi pomimo tego, że trafili do Wehrmachtu, bo rozstrzygnięcia zapadające poza nimi i poza nami w niczym ich naszości nie umniejszają. Antygermański amok rozpętany w Polsce przez szkodników z PiS tego nie zmieni.

Nie siedzę w głowach organizatorów gdańskiej wystawy, ale dla mnie, człowieka mocno zrośniętego z Pomorzem i jego skomplikowaną historią, jej wymowa jest właśnie taka.

Rafał Wojciechowski

eprasa.pl 6f0099b9cf

Zakażmy telefonów w szkołach

Smartfony to problemy z koncentracją, cyberprzemoc oraz negatywny wpływ na relacje społeczne

Kornel Wawrzyniak

Podczas gdy kolejne kraje europejskie wprowadzają zakaz korzystania ze smartfonów w szkołach, polscy politycy dopiero się nad tym zastanawiają. Niesmak budzi nie tempo rozważań, lecz sam styl przepychanki. Większość polityków jest co do zasady za zakazaniem używania komórek w szkołach (chociaż warto się przyjrzeć, jak szybko Ministerstwo Edukacji Narodowej przeszło od „i tak 60% szkół już zakazało, a my wolimy zostawić to w gestii społeczności szkolnych" do „pracujemy nad ustawą"). Osią sporów jest polityczne pierwszeństwo i możliwość powiedzenia, że zakaz smartfonów to nasza zasługa. MEN chce wejść w paradę marszałkowi Szymonowi Hołowni. Jak zwykle na ostatnim miejscu są dzieci. A czas ma znaczenie, co pokazują liczne badania i pozytywne dane płynące z krajów, które już zakazały korzystania z komórek w szkołach.

W stronę Zachodu

Te kraje to chociażby Francja, Norwegia, Grecja, Włochy czy Portugalia. Poza Europą podobne ograniczenia obowiązują w Brazylii, Australii i Nowej Zelandii oraz w ponad 20 stanach USA. Dotyczą zwłaszcza szkół podstawowych i gimnazjów, ale w wielu przypadkach również szkół średnich.

Francja zdecydowała się na ograniczenie smartfonów, smartwatchów czy tabletów na terenie szkół podstawowych i średnich już w 2018 r. Złamanie zakazu grozi konfiskatą sprzętu do końca dnia, nakazem pozostania w szkole dłużej lub dodatkowymi pracami domowymi. W przypadku nagminnego łamania zakazu uczeń może zostać nawet relegowany. Mimo tak ostrych ograniczeń zakaz nie wywołał kontrowersji ze względu na drastyczne przypadki rówieśniczej cyberprzemocy. Obecnie Francuzi sprawdzają nowy sposób na ograniczenie elektroniki w szkole. Testuje się tam *pause numérique* – rozwiązanie, które zakłada oddanie urządzeń na czas pobytu w szkole przez niemal 50 tys. uczniów. Celem jest nie tylko cisza na lekcji, ale też budowanie uważności i zdrowych relacji rówieśniczych.

O krok dalej poszła Belgia – tam w ponad 370 placówkach (region Walonii i Brukseli) uczniowie oddają telefony do depozytów lub zamykanych szafek już od przedszkola.

W grudniu 2022 r. włoskie ministerstwo oświaty wprowadziło zakaz używania telefonów komórkowych podczas zajęć lekcyjnych w szkołach podstawowych. Po trzech latach we Włoszech wprowadzany jest taki sam zakaz dotyczący szkół średnich.

Rząd Portugalii zatwierdził na początku lipca tego roku zakaz korzystania przez uczniów ze smartfonów w szkołach podstawowych oraz gimnazjach. „Dekret rządu został podyktowany dobrymi wynikami uczniów szkół, w których w ostatnich latach obowiązywał zakaz korzystania z telefonów komórkowych", tłumaczył premier Luís Montenegro. Restrykcje zaczną obowiązywać z początkiem nowego roku szkolnego, czyli w połowie września.

W kolejnych państwach smartfon w szkole staje się synonimem rozproszenia. Ograniczanie używania tego typu urządzeń jest zaś sposobem na odbudowę uwagi i relacji oraz polepszenie jakości nauki. W Wielkiej Brytanii i Norwegii, które jako jedne z pierwszych zdecydowały się na bardziej rygorystyczne traktowanie

eprasa.pl 6f0099b9cf

telefonów w szkołach, widać wyraźną poprawę wyników egzaminów. Największy skok odnotowano wśród uczniów, którzy wcześniej mieli najsłabsze wyniki. Spektakularne są jednak dopiero dane dotyczące zdrowia psychicznego i bezpieczeństwa. W norweskich szkołach po wprowadzeniu zakazu liczba wizyt uczniów u psychologów i psychiatrów zmalała o 60%. Znacząco poprawiły się również statystyki dotyczące przemocy rówieśniczej – odnotowano 43-procentowy spadek. Eksperci wiążą to bezpośrednio z ograniczeniem dostępu do narzędzia cyberprzemocy, jakim w tym wypadku jest smartfon. Drugie ważne osiągnięcie to większe zaangażowanie uczniów w życie szkolnej społeczności.

W Danii czy w Niemczech ograniczenia wprowadzane są lokalnie. Obserwuje się jednak takie same zmiany. Uczniowie są nie tylko bardziej skoncentrowani na lekcjach, ale też zaczęli inaczej spędzać przerwy. Częściej rozmawiają, bawią się, integrują, wracają do gier analogowych, a nawet czytają. Zmniejsza się napięcie, w jego miejsce pojawia się poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa.

Od lat w sprawie smartfonów w szkołach na alarm bije przede wszystkim UNESCO. Opierając się na badaniach, organizacja pokazuje, że smartfony obecne na lekcjach rozpraszają tok myślenia, sprawiają, że uczeń jest mniej uważny, wpływają negatywnie na proces przyswajania wiedzy. Ponadto ciągłe korzystanie z telefonów może pogłębiać uzależnienie cyfrowe i wpływać na jakość snu, samopoczucie oraz relacje rodzinne.

W Polsce nie ma centralnego zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach. I chociaż MEN coraz częściej wypowiada się w sprawie ich wyeliminowania w klasach I-III, to nawet kiedy wspomina o opracowywanej przez siebie ustawie, nie dzieli się konkretami. Przedstawicielki MEN jeszcze w kwietniu br. w wypowiedziach medialnych zasłaniały się stwierdzeniem, że wprowadzanie zakazu powinno leżeć w gestii szkolnych społeczności. Słowem, ciężar decyzji spada na dyrekcje, które mają zapisywać zakazy w statutach placówek, o ile rodzice im pozwolą.

Według danych zebranych przez Fundację GrowSpace w 2025 r. 51,59% szkół w Polsce wprowadziło zakaz korzystania z telefonów komórkowych na swoim terenie i w czasie zajęć. Tylko w 15,08% szkół funkcjonuje depozyt, do którego należy odłożyć telefon po wejściu do placówki. Tymczasem Polacy w przeważającej większości są za wprowadzeniem zakazu korzystania z komórek w szkołach. W analizie Instytutu Badań Pollster aż 67% opowiada się za, 24% jest przeciw, a 9% nie ma zdania.

51,59% szkół w Polsce wprowadziło zakaz korzystania z telefonów komórkowych na swoim terenie i w czasie zajęć.

Problem wróci w domu

Danych dotyczących destrukcyjnego wpływu smartfonów na psychikę jest tak dużo, że dziwić może jedynie to, iż wiedza ta nie jest oczywista dla każdego. Badania naukowe przynoszą jednoznaczne konkluzje: smartfony uzależniają, sprzyjają agresji i utrudniają koncentrację. Chodzi nie tylko o dzieci, ale również o dorosłych.

W 2017 r. naukowcy Adrian F. Ward, Kristen Duke, Ayelet Gneezy i Maarten W. Bos przeprowadzili serię eksperymentów, których wyniki przedstawili w publikacji „Brain Drain: The Mere Presence of One's Own Smartphone Reduces Available Cognitive Capacity" (Drenaż mózgów: Sama obecność smartfona zmniejsza dostępną pojemność poznawczą). Badacze sprawdzali, jaki wpływ na skupienie ludzi ma obecność ich smartfona w pomieszczeniu. Eksperyment odbywał się w trzech wersjach. Telefon albo leżał na biurku, albo znajdował się w kieszeni/plecaku, albo lądował w innym pomieszczeniu. W każdym z trzech opisanych przypadków komórka była wyłączona. Następnie za pomocą testów badano zakres uważności i tzw. inteligencję płynną. Osoby ze smartfonem na biurku miały najgorsze wyniki. Niewiele lepsze osiągnęli ci, którzy schowali go do kieszeni. Dopiero nieobecność telefonu znacznie poprawiła skupienie badanych.

Naukowcy podsumowują, że smartfon samą swoją obecnością zakłóca możliwości poznawcze – w psychiatrii mówi się o zaburzeniu myślenia. Im większa zależność od smartfona, tym silniejsze zaburzenie. Samo wyłączenie urządzenia lub położenie go ekranem do dołu niczego nie zmienia. Trzeba je wynieść do innego pomieszczenia. W kontekście szkolnych rozważań można założyć, że jedynym sposobem na to, by dzieci były skupione, jest zostawienie telefonów w depozycie przed wejściem do szkoły.

Należy przypomnieć, że aplikacje w smartfonach są zaprojektowane tak, aby powodować uzależniający behawioralnie wyrzut dopaminy. *Instant scrolling*, czyli bezmyślne przewijanie kolejnych treści na TikToku, Instagramie czy Facebooku, można przyrównać do brania działki przez narkomana. Mówił o tym otwarcie Sean Parker, były członek rady nadzorczej Facebooka: „Wykorzystaliśmy słaby punkt ludzkiej psychiki, dajemy ci działeczkę dopaminy". Wszystko w nowych technologiach i mediach społecznościowych jest zbudowane tak, aby cały czas pobudzać układ nagrody w mózgu. Wydzielająca się przy tym dopamina, hormon przyjemności, sprawia, że chcemy w kółko sięgać do jej źródła.

67% Polaków jest za wprowadzeniem zakazu korzystania z komórek w szkołach.

Badania przedstawione w „Social Science Computer Review" wskazują,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

że większa liczba godzin spędzona przed ekranem wiąże się z gorszym samopoczuciem osób w wieku 2-17 lat. Wielokrotnie wskazywano też (m.in. naukowcy z Boston University czy Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne), że media takie jak TikTok, Snapchat, a szczególnie Instagram zwiększają ryzyko zaburzeń dysmorficznych, które najczęściej objawiają się jako ciągłe poczucie, że wygląda się nieestetycznie. Najczęściej dotyka to nastoletnie dziewczęta, ale odnosi się do każdego użytkownika.

Narracja wokół smartfonów i mediów społecznościowych skupia się na problemach młodych użytkowników. Opinii publicznej wydaje się więc, że problemy z nadmiernym korzystaniem z ekranów dotyczą wyłącznie młodzieży. Inżynieria nowych technologii oddziałuje jednak na wszystkich użytkowników.

„Być może ciągle traktujemy telefon jak pilota do telewizora albo kluczyki do samochodu, czyli jak urządzenie elektroniczne, które ma baterię i my sobie nim rządzimy. A tak nie jest. Ta niska świadomość wynika też z faktu, że w szkole bardzo mało się uczymy o tym, jak działa nasz mózg i jakie są jego słabości. Z naszej niewiedzy czerpie dzisiaj kapitalizm i twórcy nowych technologii, bo cały problem wynikający z korzystania ze smartfonów i internetu wiąże się z tym, jak one działają na nasz mózg, i rodzic, który rozumie, że mózg dziecka w momencie, kiedy korzysta z ekranu, zaczyna inaczej funkcjonować, potrafi w odpowiedni sposób intuicyjnie dawkować te ekrany", komentuje w wywiadzie dla Instytutu Spraw Obywatelskich Magdalena Bigaj, autorka książki „Wychowanie przy ekranie".

Wskazuje zarazem, że wprowadzenie zakazu dostępu do telefonu w szkole w praktyce oznacza czas, kiedy zgodnie ze zgromadzonymi danymi aktywność dzieci i tak jest najniższa.

Przykład idzie z góry

Pytanie, czy to argument za tym, aby nie ograniczać smartfonów w szkole. W innych państwach widać jednak, że *cyberbullying* osłabł po ograniczeniu dostępu do komórek. Poza tym szkoła, w której dziecko spędza sporą część dnia, daje mu pewien kontekst patrzenia na rzeczywistość. Jeśli zobaczy, że można większość dnia spędzać analogowo, a jego kontakty społeczne nie będą uzależnione wyłącznie od telefonu, pewne zachowania mogą się zmienić.

Oczywiście ograniczenie korzystania ze smartfonów w szkole nie naprawi sytuacji w domu. Dr Manfred Spitzer, autor książki „Epidemia smartfonów", wskazuje, że dzieci przede wszystkim naśladują rodzicielski sposób korzystania z mediów. W badaniu przeprowadzonym w 2016 r. przez naukowców z Northwestern University w Stanach Zjednoczonych, wykazano, że 51% rodziców dzieci w wieku 8-18 lat przyznaje się do spędzania ponad ośmiu godzin dziennie z mediami. Tylko 19% rodziców poświęca na to mniej niż cztery godziny. Najczęstszą aktywnością jest (91% przypadków) pasywne oglądanie telewizji. Mimo tak intensywnego korzystania z mediów 81% matek i 74% ojców uważa, że w tych kwestiach jest dla dzieci dobrym wzorcem. Zarazem 37% rodziców potwierdza, że negocjacje dotyczące czasu korzystania z mediów przez dzieci są codziennym źródłem konfliktów.

Mamy więc dzieci, które widzą, że rodzice są niekonsekwentni, bo ograniczają im czas przed ekranem, a sami cały dzień oglądają telewizję. „Dzieci nie robią niczego, czego my byśmy nie robili. To my modelujemy zachowania dzieci. Jesteśmy ssakami i jak w świecie ssaków nasze młode także uczą się tego, co jest akceptowalne w społeczeństwie. Jeśli widzą, że w najbliższym stadzie np. akceptowalne jest korzystanie z telefonu przy jedzeniu, to dlaczego miałyby zachowywać się inaczej?", tłumaczy Magdalena Bigaj.

Manfred Spitzer przytacza jeszcze dwa szokujące przykłady. Pierwszy przedstawiono na łamach amerykańskiego „Pediatrics" już w 2014 r. W 15 restauracjach w Bostonie obserwowano rodziny z dziećmi przy posiłku. Na 55 rodzin w 40 przypadkach któreś z rodziców przez większą część posiłku patrzyło w telefon. Część dzieci buntowała się, próbując zwrócić uwagę dorosłego. Rodzice uciszali wtedy dzieci krótkimi uwagami i wracali do telefonu. W drugim badaniu, omówionym w czasopiśmie „Pediatric Research" sprawdzano wpływ smartfonów na relacje rodzic-dziecko. Zaburzenia w zachowaniu dziecka spowodowane korzystaniem

eprasa.pl 6f0099b9cf

ze smartfona stresują rodziców, którzy w reakcji na ten stres zaczynają unikać kontaktu z dziećmi, patrząc w telefon. A to tylko intensyfikuje zjawisko.

Problemy pierwszego świata

Dlaczego tak trudno nam przyjąć, że smartfon jest szkodliwy dla dziecka? Między innymi przez sprzężenie big techów z działaniami w sektorze edukacji. Co chwilę słyszy się o programach ułatwiających cyfryzowanie polskiej szkoły. Pomagają w tym oczywiście największe korporacje technologiczne do spółki z ministrami. Opisuje to szerzej Sylwia Czubkowska w książce „Bóg techy" (Znak 2025).

„Na całym świecie pełno jest polityków, urzędników, nauczycieli, ekspertów i członków organizacji pozarządowych, którzy ochoczo wprowadzają do szkół sprzęt i usługi wyprodukowane przez technologicznych gigantów. Ogromna większość tych osób nie poświęca nawet chwili refleksji skutkom wciągania w ten świat dzieci, a w konsekwencji nas wszystkich. Część nie widzi alternatywy, bo przecież technologie to postęp. Część nawet nie pomyśli, że uczenie o technologiach w szkołach to nie to samo, co rozdawanie produktów od największych firm. A jeśli nawet takie myśli kołaczą się im w głowach, to są tak trudne, niewygodne i niesprzyjające walce o wyborcę, że lepiej je wyprzeć", pisze Sylwia Czubkowska.

Autorka pokazuje wiele de facto marketingowych akcji nazywanych cyfryzacją lub, o zgrozo, edukacją cyfrową. Wystarczy przypomnieć laptopy rozdawane przez PiS czwartoklasistom w ramach programu „Laptop dla ucznia". Na tym jednak nie poprzestano. Ministrowie poprzedniego rządu (Cieszyński, Buda oraz wiceminister Soboń) podczas kampanii wyborczej jeździli po szkołach i rozdawali za darmo tablety od firmy Amazon. Swoje za uszami mają również obecnie rządzący, którzy potrafią zorganizować bez przetargu szkolenia dla uczniów i nauczycieli we współpracy z konkretną firmą.

Furtka dla działań big techów szeroko otworzyła się wraz z pandemią COVID-19, kiedy edukacja przeszła do sfery zdalnej. Sylwia Czubkowska wskazuje, że na całym świecie tylko w 2021 r. zainwestowano ponad 20 mld dol. w technologie edukacyjne. Rok wcześniej było to 16 mld dol. Edukacja zdalna to jednak pic na wodę. Udowodnił to Mark West, badacz pracujący od 2011 r. dla UNESCO. W książce „An Ed-Tech Tragedy? Educational Technologies and School Closures in the Time of COVID-19" (Tragedia ed-tech? Technologie edukacyjne i zamknięcia szkół w czasie pandemii COVID-19) omawia państwo po państwie, co poszło nie tak. Ogólny wniosek dla wszystkich państw: „Edukacja stała się mniej dostępna, mniej efektywna i mniej angażująca". Według Westa postępy uczniów podczas pandemii zmalały tak bardzo, że można ten czas określić jako „straconą edukację", bo efekty są tak mizerne, jakby nauki wcale nie było.

Złapani na Minecrafta

Korporacje wiedzą, że w szkole jest kasa. Potencjalnymi klientami są również rodzice i ich dzieci. Dobrym przykładem, który przytacza Sylwia Czubkowska, jest rozdawanie uczniom przez ministra Czarnka darmowych dostępów do gry Minecraft: „Za otrzymaną gratis grę dzieci płacą nie tylko swoją uwagą i swoim czasem. Stają się też potencjalnymi klientami już płatnych wersji Minecrafta. Ale o tych konsekwencjach raczej nie dowiedzą się w szkole, bo programu edukacji medialnej, czyli nauki świadomego korzystania z dobrodziejstw technologii, żaden rząd dotąd nawet nie próbował wprowadzić".

I trudno z tym się nie zgodzić. Kilka lekcji o higienie cyfrowej przewidzianych w ramach nieobowiązkowego zresztą przedmiotu edukacja zdrowotna nie załatwi sprawy. Z praktyki rodzica mogę zaś dodać, że zawsze przychodzi moment, w którym trzeba wreszcie zapłacić za Minecrafta. Gra generuje dla Microsoftu 100 mln dol. zysku rocznie.

Kolejną praktyką korporacji jest zalewanie szkół sprzętem. Z raportu NIK o programie „Laboratoria Przyszłości" dowiadujemy się, że placówki doposażono bez konsultacji. A pojawia się coraz więcej dowodów na to, że edukacja przebiega znacznie sprawniej bez ekranów i klawiatur. Jak wskazuje psycholożka prof. Jagoda Cieszyńska-Rożek, pisanie na klawiaturze nie służy tzw. syntezie wiedzy: „To trochę tak, jak wtedy, gdy robimy sobie listę zakupów na karteczce, a potem w ogóle jej nie wyjmujemy, ale sam fakt, że zapisaliśmy, pozwala nam sobie przypomnieć, co mieliśmy kupić. To jest umiejętność syntezy i trening pamięci. Teraz jednak wszyscy polegają na pamięci zewnętrznej". Tymczasem badania pokazują, że trzymanie długopisu bardziej angażuje mózg, dzięki czemu lepiej zapamiętujemy to, co notowane.

> Kilka lekcji o higienie cyfrowej przewidzianych w ramach przedmiotu edukacja zdrowotna nie załatwi sprawy.

Za komórkami w szkołach są tylko dwa argumenty i łatwo je obalić.

Pierwszy: część rodziców utyskuje, że bez telefonów będą mieli ograniczony kontakt z dziećmi. Warto więc przypomnieć, że w szkole jest sekretariat, a w nim telefon w razie nagłych wypadków. Poza tym nieprzerwany kontakt z rodzicem źle wpływa na rozwój psychiki dziecka, co opisuje prof. Jonathan Haidt, autor takich książek jak „Niespokojne pokolenie" czy „Rozpieszczony umysł".

Drugim argumentem jest sama edukacja cyfrowa. Pojawiają się pozornie zdroworozsądkowe pytania: jak uczyć się korzystania z narzędzi cyfrowych bez telefonu? Ale czy aby nauczyć się wszystkiego o kile, najpierw trzeba ją złapać?

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

Diabelska alternatywa

Prezydent blokuje, rząd administruje, a deficyt budżetowy i dług publiczny rosną

Marek Czarkowski

Rząd Donalda Tuska jest w bardzo trudnej sytuacji. Budżet państwa trzeszczy. Jeśli w roku 2022 deficyt wyniósł ok. 12,43 mld zł, a w 2023 sięgnął ok. 85,6 mld zł, to w kolejnym, 2024 skoczył do 210,93 mld zł. W tym roku ma być jeszcze wyższy, szacowany na 289 mld zł, natomiast w przyszłym roku zdaniem rządu wyniesie 271,7 mld zł.

W lipcu 2024 r. Polska wraz z Francją, Włochami, Węgrami i czterema innymi państwami UE została objęta procedurą nadmiernego deficytu budżetowego. Powodem było znaczne przekroczenie przez Warszawę limitu unijnego wynoszącego 3% PKB. Rząd premiera Tuska zaplanował deficyt na poziomie 5,1%. Przyszły rok zapowiada się odrobinę lepiej.

Nic zatem dziwnego, że rząd, planując podwyżki podatków, chciałby wycisnąć z obywateli i przedsiębiorstw, ile się da. Może to być dodatkowo nawet 10 mld zł. Ale i tak to kwota niewystarczająca, by cokolwiek załatać. A problem i w tym, że prezydent Nawrocki już ogłosił, że będzie wetował ustawy podnoszące obciążenia fiskalne. W kampanii wyborczej podpisał ośmiopunktową deklarację Mentzena i zobowiązał się m.in. do niepodwyższania podatków.

Andrzej Duda w trakcie dwóch kadencji podpisał 1850 ustaw, a zawetował jedynie 19, Karol Nawrocki po niecałym miesiącu urzędowania zawetował ich już cztery. I z pewnością na tym nie poprzestanie.

Wódka, cukier i hazard

Dziennikarz kulinarny Robert Makłowicz zapytany o to, czy pije, odparł szczerze, że pochodzi z regionu, w którym panują określone nawyki i przyzwyczajenia, i dodał, że „wódka jest ważnym elementem naszej kultury". Wyjaśnił, że dla niego jest istotne, „aby wódka nie była zmrożona".

Pogląd ten podziela większość rodaków, dopowiadając, że wódka nie powinna też być za droga. Obecnie jest tania. W promocji popularną małpkę czystej można kupić za 5,85 zł. A pół litra 40-procentowego jarzębiaku – za 15 zł! Tymczasem paczka papierosów kosztuje przeciętnie 19-20 zł.

Prezydent Nawrocki pochodzi z „określonego regionu, w którym panują określone nawyki", więc wzrost akcyzy na alkohole o 15% nie zyska jego uznania.

Prezydent Nawrocki po mistrzowsku wyczuwa nastroje społeczne, wszak pochodzi z „określonego regionu, w którym panują określone nawyki". Dlatego rząd nie powinien liczyć, że planowany wzrost akcyzy na alkohole o 15% zyska jego uznanie. „Spożywcy" ze środowisk bliskich „strażnikowi konstytucji" będą zachwyceni!

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że nasze największe browary należą do zachodnich koncernów. Kompania Piwowarska, do której należą marki Lech, Tyskie i Żubr, to japoński koncern Asahi Group. Grupa Żywiec z markami Żywiec, Warka, Tatra i Desperados to część Grupy Heineken. Carlsberg Polska – tu marki Okocim, Carlsberg i Kasztelan – to część Carlsberg Group.

Z wódką jest trochę lepiej. Żubrówka, Soplica, Bols i Absolwent to marki należące do polskiego koncernu Maspex, lecz Stock i Krakus to już firma Marie Brizard Wine & Spirits Poland. Z kolei największym importerem win w naszym kraju jest Henkell Freixenet Polska. Jeśli prezydent zgłosi weto, ich także nie dosięgnie podwyżka.

Największe organizacje branżowe producentów napojów wyskokowych, takie jak Związek Pracodawców Polski Przemysł Spirytusowy, oraz organizacje zrzeszające producentów piwa i hurtowników już wyraziły rozczarowanie i skrytykowały rząd w związku z propozycją jednorazowej wysokiej podwyżki akcyzy. Ostrzegły przed likwidacją miejsc pracy i rozwojem szarej strefy.

Rząd szacował, że podwyżka akcyzy na alkohole od 1 stycznia 2026 r. przyniesie dodatkowo do budżetu 1,8 mld zł. Jednak nie ma co na to liczyć. Podobnie jak na 1,3 mld zł z podwyżki tzw. opłaty cukrowej, która miałaby objąć głównie producentów napojów słodzonych cukrem lub substancjami słodzącymi. Dodatkową opłatą miałyby zostać objęte również napoje energetyczne zawierające kofeinę lub taurynę. Czy prezydent Nawrocki poprze te rozwiązania? Nie wiemy.

Inna sytuacja jest z hazardem. Totalizator Sportowy już podjął decyzję o podniesieniu ceny pojedynczego kuponu Lotto z 3 zł do 5 zł od początku października br. W tej sprawie „gwarant konstytucji" nie ma nic do gadania. Rząd chce też podnieść od 1 stycznia 2026 r. podatek od wygranych z 10% do 15%, uzasadniając decyzję tym, że jego stawka nie była zmieniana od 2001 r. A w ciągu lat znacząco wzrosła wartość wygranych. Szacunki mówią, że rocznie

eprasa.pl 6f0099b9cf

wpłynęłoby do budżetu dodatkowo ok. 140 mln zł.

Totalizator Sportowy odprowadza do fiskusa prawie 5 mld zł rocznie – w 2024 r. było to 4,89 mld zł, a na 2025 r. planowane są wpłaty na poziomie 5,2 mld zł. O ile podniesienie do 5 zł ceny za jeden kupon jest pewne, o tyle nie wiadomo, co z planowaną podwyżką podatku. Dotąd ze strony prezydenta nie padła jednoznaczna zapowiedź weta.

Dociskanie banków

Od dawna aż się prosiło o podniesienie podatków od działających w Polsce banków. W ostatnich latach sektor ten notował rekordowe zyski. W roku 2022 banki zarobiły netto 12,4 mld zł. Dwa razy więcej niż rok wcześniej. W 2023 r. było to 27,6 mld zł. W ubiegłym roku – 42 mld zł netto. W roku obecnym może to być nawet 48,9 mld zł!

Rząd chciałby choć trochę z tego uszczknąć. Pojawił się pomysł podwyższenia w przyszłym roku podatku CIT dla banków z 19% do 30%. Zapewniłoby to dodatkowy dochód budżetu w kwocie ok. 6 mld zł.

Prezydent Nawrocki nie zajął do tej pory jednoznacznego stanowiska w tej sprawie. Z wypowiedzi jego doradców wynika, że jest zdecydowanym przeciwnikiem podwyższania podatków uderzających w zwykłych obywateli, natomiast w przypadku CIT dla banków – czeka na szczegóły legislacyjne i nie wyklucza alternatywnych rozwiązań, np. progresywnego CIT lub innych mechanizmów, które nie przełożą się bezpośrednio na wzrost kosztów dla klientów.

Ale banki nauczyły się przerzucać koszty takich podwyżek na posiadaczy rachunków i na kredytobiorców. Czasem wystarczą drobne podwyżki opłat: za przelewy, za prowadzenie rachunku, za wydanie karty kredytowej itp., by choć częściowo zrekompensować podwyżkę podatków. Zarządom banków nie uśmiecha się rezygnować z wielomiliardowych zysków.

Prezydent zaś może się przychylić do stanowiska rządu, może też przedstawić Sejmowi własny projekt ustawy obciążającej sektor bankowy. Tak czy inaczej, wokół planów tej podwyżki wiele będzie się działo. Banki nie lubią się dzielić.

Co by tu jeszcze podnieść

Rząd chciałby także wprowadzić opłatę reprograficzną na urządzenia elektroniczne (od 1% do 3% ceny). Formalnie ta opłata nie jest podatkiem, lecz będzie miała wpływ na wysokość cen tabletów, smartfonów, telewizorów itp. Opłata jest uiszczana na rzecz podmiotów praw autorskich (np. autorów) w ramach rekompensaty za straty, które podmioty te ponoszą z powodu kopiowania utworów na użytek prywatny.

Ma też zostać wprowadzony Krajowy System e-Faktur (KseF), czyli państwowa platforma elektroniczna służąca do wystawiania, otrzymywania i archiwizowania faktur elektronicznych w formacie ustrukturyzowanym (XML). Ma ona zrewolucjonizować obrót fakturami w Polsce – uprościć rozliczenia podatkowe, uszczelnić system VAT i zwiększyć kontrolę nad obrotem gospodarczym. A co za tym idzie – zwiększyć dochody budżetu państwa.

W tym roku wygaśnie również preferencyjny sposób naliczania składki zdrowotnej dla samozatrudnionych, co oznacza dla nich podwyżkę o ok. 118 zł. Niby niewiele, lecz ZUS to odczuje. Są także plany ograniczenia możliwości odliczania wydatków na firmowe samochody z silnikiem spalinowym.

Nasze największe browary należą do zachodnich koncernów.

Premier Donald Tusk ma poważny problem. Prezydenckie weta mogą znacznie utrudnić jego rządowi ograniczenie deficytu budżetowego. Rząd zakłada, że w przyszłym roku uda się go zmniejszyć o jakieś 18 mld zł. Zobaczymy, czy tak się stanie.

Za to z pewnością wzrośnie dług publiczny, który może się zbliżyć do 2,1 bln zł (według Komisji Europejskiej będzie to ponad 65,3% PKB). Rząd Tuska chciałby liczyć na jakąś współpracę z prezydentem, lecz zdaniem polityków PiS będzie mógł tylko administrować. Nowogrodzka i Pałac Prezydencki chcą doprowadzić do sytuacji, w której koalicyjny gabinet „sam się obali". To iście diabelska alternatywa. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

Brudów nie pierze się w domu

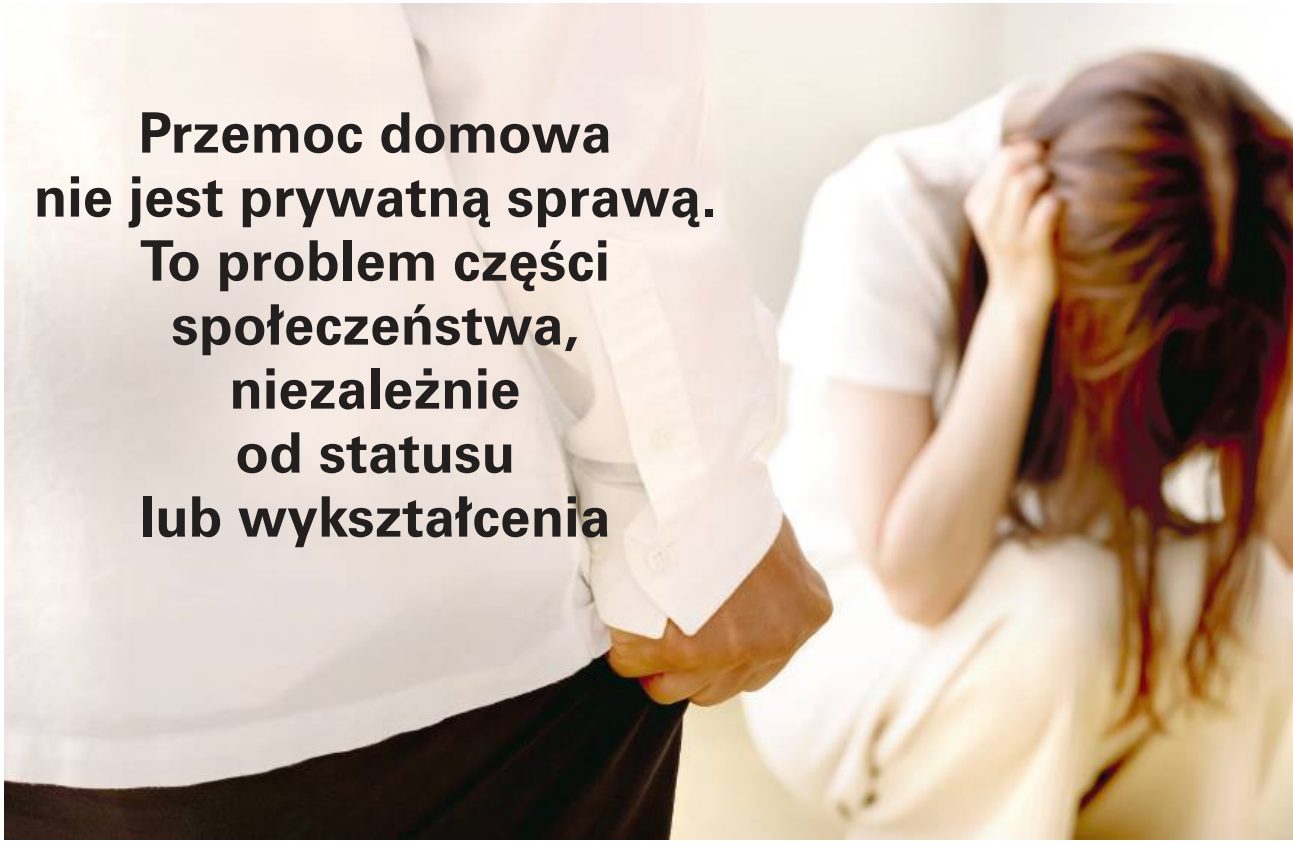

Przemoc domowa nie jest prywatną sprawą. To problem części społeczeństwa, niezależnie od statusu lub wykształcenia

Weronika Mikusek

– Kobiety, które zgłaszają się po pomoc, są z bardzo różnych środowisk. Przemocy doświadczają również tzw. kobiety sukcesu, jednak najczęściej są to osoby będące w gorszej sytuacji ekonomicznej – słyszę od Dagmary Adamiak, gdy pytam ją o profile kobiet, które, będąc ofiarami przemocy domowej, korzystają z jej pomocy. Jest prawniczką i prezeską Fundacji RÓWNiE. Historie jej klientek nie są rzadkimi przypadkami. Cierpienie, które stało się ich doświadczeniem, jest obecne w setkach tysięcy polskich domów.

Kontakt do Ani dostałam od wspólnej znajomej. Kilka lat temu nie zgodziłaby się na tę rozmowę. Dziś, po długotrwałej terapii, wciąż z oporami dzieli się swoją historią. Ania przez 10 lat żyła w małżeństwie, w którym od początku była obecna agresja: – Najpierw myślałam, że to ja go prowokuję. Krzyczał, że jestem głupia, że nic nie potrafię. Pierwszy raz były mąż uderzył mnie, gdy nasza córka miała kilka miesięcy. Przepraszał, płakał, obiecywał, że to się nigdy nie powtórzy. A ja chciałam wierzyć, że się zmieni.

Z czasem przemoc stała się codziennością. Początkowo dotyczyła tylko Ani, później dzieci były świadkami agresji, a na końcu same okazały się celem. – Najbardziej bolało, kiedy córka mówiła: Mamo, nie płacz, tata się uspokoi. Dzieci żyły w napięciu, zawsze czujne, żeby go nie zdenerwować. Skorzystałam z porady koleżanki, żeby regularnie dokumentować wszystkie ślady na ciele po uderzeniach.

Dagmara Adamiak potwierdza: – W sądzie wciąż najczęściej mówi się o przemocy w kontekście przemocy fizycznej. To sprzeciw wobec tego rodzaju przemocy jest najbardziej wyraźny w świadomości społecznej. Ten typ jest też najłatwiejszy do rozpoznania, udowodnienia i zauważenia przez osoby postronne.

Ciemna liczba

Ania zgłosiła sprawę na policję, mężowi założono Niebieską Kartę. Mimo to nadal nie czuła się bezpiecznie. – Miałam wrażenie, że to tylko papierek. W przeszłości zawsze bałam się, że kiedy wróci po przesłuchaniu, będzie tylko gorzej. I rzeczywiście, po każdej wizycie policji jego furia narastała.

– Powody, dla których ofiary przemocy nie decydują się na zgłoszenie, są złożone i obejmują zarówno bariery emocjonalne, jak i społeczne – zwraca uwagę Emilia Sikorska, specjalistka ds. bezpieczeństwa publicznego.

eprasa.pl 6f0099b9cf

– Dominuje tu lęk i strach przed tym, co może się wydarzyć, gdy sprawca dowie się o złożeniu zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa lub założeniu Niebieskiej Karty. Ofiara wątpi w to, że policja czy instytucje ochronią ją w wystarczający sposób.

Czym zatem jest Niebieska Karta? To narzędzie prawne, które pozwala na dalsze ustalenie planu pomocy i wsparcia. – Niebieska Karta sama w sobie nie usuwa sprawcy z mieszkania. Jest procedurą dokumentowania przemocy i inicjowania pomocy. To służby decydują o tym, czy zastosować nakaz opuszczenia lokalu przez sprawcę, jeśli zagraża on życiu lub zdrowiu innych osób – tłumaczy Dagmara Adamiak.

Ania jest już po rozwodzie, a sąd przyznał jej pełne prawo do opieki nad dziećmi. Choć sama karta nie rozwiązała problemu przemocy od razu, stała się punktem zwrotnym, który pozwolił Ani rozpocząć proces wychodzenia z toksycznej relacji.

W jej przypadku procedura Niebieskiej Karty okazała się realnym wsparciem. Chociaż początkowo bała się zgłosić przemoc, dokumentacja obrażeń zadanych przez męża dała jej poczucie, że jest szansa na pomoc z zewnątrz.

Przemoc w rodzinie to dramat, który rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami. Zgłaszane są tylko nieliczne przypadki. Według statystyk przedstawionych przez Komendę Główną Policji w 2024 r. wszczęto ponad 51 tys. procedur Niebieskiej Karty. Służby zidentyfikowały ok. 87 tys. ofiar przemocy, z czego ponad 25 tys. stanowiły dzieci.

– Statystyki nie pokazują realnej skali zjawiska. Mamy do czynienia z tzw. ciemną liczbą. To liczba rodzin lub osób doznających przemocy, które latami żyją w milczeniu i strachu, nie zgłaszając się po pomoc. Ich cierpienie pozostaje niewidoczne – mówi psycholożka Małgorzata Wincenciak, była konsultantka telefonu Ogólnopolskiego Pogotowia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia".

Cykl przemocy

Do ciemnej liczby należy rodzina Oli. Jej matka jest lekarką, ojciec prawnikiem. To tzw. dobry dom. – Na zewnątrz jesteśmy idealni. Wakacje za granicą, częste spotkania z dalszą rodziną, prywatna uczelnia. Jednak w domu panuje terror. Ojciec nigdy mnie nie uderzył, ale jego krzyki i poniżanie są dla mnie nawet gorsze, bo mogą trwać w nieskończoność. Staram się nie wchodzić mu w drogę ani nie eskalować jego gniewu – opowiada Ola.

Później wszystko wraca do normy. Ojciec znów jest przyjemny, znów zabiera rodzinę na kosztowne wakacje w ekscytujące miejsca.

Zdarza się, że ludzie z zewnątrz patrzą na ofiary takie jak Ola przez pryzmat stereotypów. Stąd strach przed szukaniem pomocy.

– W głównej mierze są to obawy przed tym, że nikt nie uwierzy w jej słowa – mówi Emilia Sikorska. – Często są to na pozór normalnie prezentujące się i wysokofunkcjonujące rodziny. Oprawcy niejednokrotnie przerzucają odpowiedzialność za swoje czyny na ofiary, co powoduje, że te czują się winne. Tu należy podkreślić, że wyłącznie oprawca jest odpowiedzialny za to, co robi.

Przez lata Ola nikomu nie mówiła o swoim problemie, teraz zwierza się nielicznym przyjaciółkom. Gdy tylko skończy studia, planuje znaleźć pracę, żeby uniezależnić się finansowo od ojca i pójść na terapię.

Zachowanie jej ojca Małgorzata Wincenciak nazywa cyklem przemocy: – Cykl przemocy składa się z trzech faz, które występują po sobie. Najpierw faza narastania napięcia, potem akt przemocy, a następnie faza tzw. miesiąca miodowego. To właśnie ta trzecia faza wzmacnia wiarę osób doznających przemocy, że sprawca się zmieni, że w tej fazie widać jego prawdziwą, dobrą wersję. Niestety, cykl zawsze się powtarza.

Piotr to były chłopak znajomej, z którym spotykała się w liceum. Myślała, że są ze sobą blisko, ale jemu udawało się ukrywać skutki przemocy w domu. Ona ich nie widziała lub nie chciała widzieć. Piotrek zaś dorastał w domu, w którym przemoc była codziennością. Najgorszy czas przyszedł w 2020 r., gdy rozpoczęła się epidemia koronawirusa.

– Wtedy nie było gdzie uciec. Lockdown zamknął nas wszystkich w czterech ścianach. Ojciec pracował zdalnie, matka też, a ja nie miałem dokąd pójść. Szkoła była online, więc nikt nie wiedział, że coś się ze mną dzieje. Nie było widać siniaków po furiach ojca – wspomina 20-letni dziś Piotrek, który od lat zmaga się z depresją. – Nie umiem budować relacji. Zawsze boję się, że ktoś mnie skrzywdzi.

Dagmara Adamiak poświadcza: – Pandemia miała wpływ na wzrost przypadków przemocy domowej i na świecie, i w Polsce. Zamknęła ofiary z agresorami w czterech ścianach. Wzrosła liczba zgłoszeń na infolinie pomocowe, ale nie wszystkie przerodziły się w postępowania, bo kontakt z instytucjami był utrudniony.

W 2024 r. wszczęto ponad 51 tys. procedur Niebieskiej Karty. Służby zidentyfikowały ok. 87 tys. ofiar przemocy, z czego ponad 25 tys. stanowiły dzieci.

Pandemia miała wpływ na wzrost przypadków przemocy domowej. Zamknęła ofiary z agresorami w czterech ścianach.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

Wspólna odpowiedzialność

Mimo że kryzys pandemiczny zwiększył skalę przemocy domowej na całym świecie, są państwa, które coraz sprawniej radzą sobie z jej zwalczaniem.

W Hiszpanii od lat funkcjonują sądy specjalizujące się w sprawach przemocy domowej. Tam sprawca może zostać usunięty z domu nawet tego samego dnia. W Szwecji działa system mieszkań chronionych. Ofiary mogą się przeprowadzić do bezpiecznego lokum, a agresorzy są objęci przymusową terapią. We Francji istnieją aplikacje SOS, które pozwalają jednym kliknięciem wezwać pomoc i zarejestrować dowody przemocy. W Kanadzie ogromne środki finansowe są przeznaczane na edukację. Dzieci od najmłodszych lat uczy się, jak rozpoznać przemoc i gdzie szukać wsparcia.

W kwestii rozwiazań Polska pozostaje w tyle, chociaż świadomość, że są one potrzebne, jest coraz większa. Dagmara Adamiak wskazuje konkretne kierunki: – Konieczne są obowiązkowe, regularne szkolenia dla policji, prokuratorów i sędziów z zakresu przeciwdziałania przemocy oraz stereotypów płciowych, a także edukacja antyprzemocowa dla społeczeństwa w szkołach, na uczelniach, w firmach i urzędach w celach zapobiegawczych. Potrzebne jest również rozbudowanie systemu bezpłatnej pomocy psychologicznej i prawnej dla ofiar, dostępnej bez skierowań i zbędnych formalności, i rozpowszechnienie informacji o niej. Regulacje prawne w kwestii cyberbezpieczeństwa i szerzenia nienawiści ze względu na płeć to też konieczność.

> W Hiszpanii funkcjonują sądy specjalizujące się w sprawach przemocy domowej. Sprawca może zostać usunięty z domu nawet tego samego dnia.

Historie Ani, Oli i Piotrka pokazują, że przemoc domowa ma różne twarze: fizyczną, psychiczną i ekonomiczną. Dotyka zarówno biedne, jak i zamożne rodziny. Nie zna granic klasowych ani edukacyjnych.

Przemoc w rodzinie nie jest sprawą prywatną. – Cały czas bardzo dobrze się mają różne stereotypy dotyczące życia rodzinnego, że „brudy pierze się we własnym domu", „małżeństwo jest nierozerwalne". Jest poza tym zjawisko wyuczonej bezradności, które polega na tym, że człowiek na skutek różnych doświadczeń nauczył się, że niezależnie od tego, co zrobi, i tak nie poprawi swojej sytuacji – tłumaczy Małgorzata Wincenciak.

Ofiary potrzebują nie tylko wsparcia prawnego i psychologicznego, ale także społecznej solidarności i przełamania tabu. Jedynie w ten sposób przemoc domowa przestanie być ukrywana i zostanie potraktowana jako realne zagrożenie.

Weronika Mikusek

eprasa.pl 6f0099b9cf

Z Galicji

Jan Widacki

Polska dla Polaków! A lektury tylko polskich autorów!

Szli krzycząc: Polska! Polska! (…)
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?
Juliusz Słowacki

Pierwsze hasło w tytule, sądząc po popularności polityków, którzy je głoszą, trafiło w gusty i głęboko nieraz skrywane kompleksy wielu rodaków. Jest zgodne z ich prostym, emocjonalnym rozumieniem patriotyzmu. Idąc „za ciosem" (przyzwyczajenie jest drugą naturą), prezydent w pierwszym orędziu poszedł jeszcze dalej. Zapowiedział, że na liście lektur będą tylko książki polskich autorów. To też brzmi ładnie i swojsko. Realizacja tego hasła może jednak napotkać pewne problemy. Weźmy Biblię. Czy napisali ją Polacy? No trudno. Skreślamy z listy lektur. Chyba że biskupi zaprotestują. Homer? Cokolwiek dobrego by o nim napisać, nie-Polak. Nie ma miejsca na liście lektur dla „Iliady" i „Odysei". No to śmiało dalej. Hurtem wykreślamy z listy lektur dzieła Szekspira, Goethego, Puszkina, Tołstoja, Dostojewskiego, Dumasa, Hugo, Zoli… Uff, od razu nam lżej. Pewien kłopocik sprawia Joseph Conrad. Niby pisał po angielsku, ale Polak. Zostawić czy skreślić?

Prawdziwe kłopoty zaczną się jednak dopiero teraz. Mikołaj Rej. Niby Polak, ale heretyk. A przecież Polak i katolik to koniunkcja. Chyba trzeba wykreślić. Z drugiej strony nazywany „ojcem literatury polskiej". To może zostawić? Z Tuwimem, Brzechwą, Leśmianem sprawa prosta – to Żydzi. Z Mickiewiczem jednak znów kłopot. Nie dość, że pisał „Litwo, ojczyzno moja", to jeszcze mówił o sobie, że „z matki obcej". Trzeba dokładnie sprawdzić definicje z ustaw norymberskich. Sienkiewicz? Z tatarskiej rodziny osiadłej na Żmudzi w XVI w. Potomek imigrantów (trzeba sprawdzić, czy aby legalnych, bo może nielegalnych). Czesław Miłosz? Mocno podejrzany o litewskość, a jeszcze sympatyzował w Polsce z Unią Wolności. Zostawić czy wykreślić? Konopnicka i Szymborska niby Polki, w każdym razie nic nie wiadomo o ich niepolskim pochodzeniu. Ale Konopnicka to lesbijka, a Szymborska napisała kiedyś wiersz o Stalinie. Raczej należy je wykreślić z listy autorów lektur, ale z innego paragrafu.

Chyba trzeba powołać specjalny instytut, który będzie badał procent polactwa w autorach i ich dziełach, a dopiero później podejmie się decyzję co do miejsca na liście lektur. Podejmie ją oczywiście pan prezydent, bo polskość listy lektur obiecał i zagwarantował. Nie ma takich kompetencji? Będzie miał. Zapowiedział konieczność zmiany konstytucji, wtedy taką prerogatywę mu się dopisze. Na prezydenckiej liście lektur na pewno powinna się znaleźć powieść absolutnie stuprocentowego Polaka, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, „Kariera Nikodema Dyzmy". Za tę ostatnią powieść, jakże proroczą, autor powinien być dekretem prezydenta dopisany do trójki wieszczów.

Choć polska lista lektur jest ważna, sprawy „Polski dla Polaków" nie zamyka. Jeśli hasło to brać dosłownie, trzeba by z polskiej historii i kultury wykreślić wszystkich nie-Polaków. Zacznijmy od królów. Królowa Jadwiga, w dodatku święta, Węgierka francuskiego pochodzenia (a pierwszy polski święty, Wojciech, był Czechem). Jagiełło – Litwin, Batory – Węgier. Kazimierz Jagiellończyk – syn Litwina i Niemki… Nawet Piastowie w świetle najnowszych badań genetycznych wywodzą się od Piktów, a nie od swojskiego Piasta Oracza, protoplasty PSL, i przybyli na ziemie polskie prawdopodobnie z terenów dzisiejszej Szkocji. Wywodzący się z przybyszów (imigrantów, najeźdźców?) Mieszko I spłodził z Czeszką Dobrawą Bolesława Chrobrego, którego tysiąclecie koronacji niedawno obchodziliśmy. Kościuszko był potomkiem prawosławnego diaka Kostii. Piłsudski to potomek litewskiego rodu Ginetów ze Żmudzi, często mówił o sobie, że jest „upartym Litwinem", a żeby było bardziej skomplikowanie, zapisując się na uniwersytet w Charkowie, podał ponoć narodowość białoruską.

O pisarzach już była mowa. Popatrzmy na malarzy. Pierwszy z brzegu, Jan Matejko – był synem Františka Matějki, który do Krakowa przywędrował z Czech. Pierwszy z Kossaków, Juliusz, określał się jako Rusin polonofil i pisał o sobie, że jest „Rusinem z dida pradida…". Teodor Axentowicz był Ormianinem, a Wlastimil Hofman Czechem.

A uczeni? Wynalazcy? Zostawmy już Kopernika, ale choćby Ignacy Łukasiewicz, z pochodzenia Ormianin. Albo rzesze uczonych humanistów, aby wymienić kilku: Aleksander Brückner, kilka pokoleń Estreicherów, Alfred Tarski (Tajtelbaum). Wszyscy budowali, by posłużyć się terminem Jana Pawła II, „to duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska".

Czym byłaby dziś Polska, gdyby przed wiekami ktoś wpadł na pomysł, że „ma być tylko dla Polaków"? Czym by była, gdyby wykreślić z niej dorobek wszystkich, którzy przybywali tu jako uchodźcy, imigranci albo byli potomkami takich uchodźców? Co znaczy dziś „Polska dla Polaków"?

To Polska dla Bąkiewicza, rycerza o intelekcie Rocha Kowalskiego, i polityków o czysto polskich nazwiskach jak Braun lub Mentzen? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

NASI KRESOWI

Książka Alojzego Srogi „Początek drogi. Lenino” może być porównywana z reportażem Melchiora Wańkowicza „Monte Cassino”

Napisać, że kolejny tom „Kresowej Atlantydy” prof. Stanisława Sławomira Niciei to efekt jego tytanicznej, benedyktyńskiej pracy, to jakby nic nie napisać. Bo można wydawać jedną po drugiej książkę, ale ślad i pamięć po nich szybko znika. Na czym więc polega wielkość XXII już tomu, poza ogromnym materiałem poznawczym i ikonograficznym? Na generalnym przesłaniu, samej idei „Kresowej Atlantydy” – pokazaniu Polaków zamieszkałych przez wieki na Kresach Wschodnich w całym ich jestestwie. Z dobrymi i złymi cechami oraz uczynkami, bez względu na to, czy mają książęce tytuły, czy pochodzenie włościańskie. Na kartach kolejnych tomów przewijają się więc ludzie, o których uczyli się absolwenci szkoły podstawowej, ale i tacy, o których nie słyszeli nawet studenci wydziałów historycznych.

I jest jeszcze coś, co niezwykle wyróżnia i podnosi wartość pisarstwa prof. Niciei. Autor nie ogranicza się do suchego opisu kresowiaków i ich dziejów. Często jest ich orędownikiem, a nierzadko (słusznie!) zagorzałym obrońcą. Nie unika zderzenia z opiniami modnych dziś historyków lub polityków, dla których np. berlingowcy to „polskojęzyczni rosyjscy przebierańcy”. Nie waha się pisać wprost, kto tego typu idiotyzmy wypowiada i dlaczego szkodzą one nam, współczesnym.

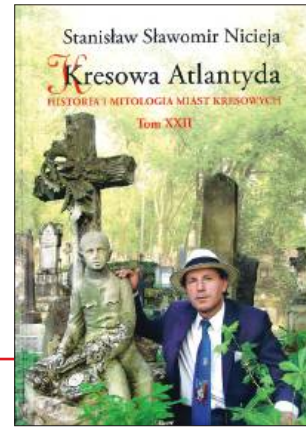

W XXII tomie czytelnik znajdzie rozdziały o wołyńskiej stolicy Radziwiłłów, ich „małej Warszawie”, kolebce Czartoryskich, i Lidzie – mieście lotników. A do tego przebogaty wybór fotografii, ukazujących ludzi, których już nie ma, a którzy dzięki prof. Niciei stają się nam bliscy.

Paweł Dybicz

Stanisław Sławomir Nicieja, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych, t. XXII: Ołyka, Nieśwież, Klewań, Lida,* Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2025

Stanisław Sławomir Nicieja

Dramat tysięcy żołnierzy armii Berlinga, sponiewieranych na syberyjskiej katordze, z dużą dozą autentycznych realiów ukazał Jerzy Hoffman (również syberyjski zesłaniec, syn zesłańca oraz żołnierza Berlinga) w filmie „Do krwi ostatniej” (1978). Ten epicki fresk filmowy nawiązywał tytułem do słów narodowej pieśni patriotycznej – „Roty” Marii Konopnickiej: „Do krwi ostatniej kropli z żył / Bronić będziemy ducha, / Aż się rozpadnie w proch i pył / Krzyżacka zawierucha. / Twierdzą nam będzie każdy próg. / Tak nam dopomóż Bóg!”.

(…) Scenarzystą filmu Hoffmana był Zbigniew Safjan– mistrz w tym rzemiośle (m.in. scenarzysta „Stawki większej niż życie”), również żołnierz Berlinga. Scenariusz – poza dokumentacją archiwalną – oparto na biograficznym reportażu „Początek drogi. Lenino”, ponadczasowej, jednej z najważniejszych książek polskich autorów o tematyce wojennej II połowy XX w. Jej autor, Alojzy Sroga, zmarł młodo, na progu rozkwitu swego talentu, ale – nie mając szczęścia u krytyków, a zwłaszcza biografów – został niemal kompletnie zapomniany.

Alojzy Sroga (1927-1980) należał do pokolenia, które zmitologizował Roman Bratny w słynnej powieści „Kolumbowie. Rocznik 20”. (…) Gdy wybuchła wojna, Alojzy miał 12 lat i był uczniem szkoły podstawowej. W czasie okupacji uczęszczał do funkcjonującego w Lublinie Gimnazjum Chemicznego. Mając 16 lat, wstąpił w szeregi AK, złożył przysięgę, przyjął pseudonim „Wicher” i realizował zadania wywiadowcze. Gdy 24 lipca 1944 r. do Lublina dotarli żołnierze armii Berlinga, w ciągu trzech dni zgłosiło chęć wstąpienia do tej polskiej formacji wojskowej 1002 ochotników, w tym 64 oficerów, 237 podoficerów i 701 szeregowców (203 z AK). Był wśród nich również 17-letni Alojzy Sroga. 8 sierpnia ujęto go w ewidencji 3. Zapasowego Pułku Piechoty i po pewnym czasie trafił do 3. DP im. Romualda Traugutta. We wrześniu 1944 r. był elewem szkoły podoficerów polityczno-wychowawczych, po ukończeniu której skierowano go na front, 30 listopada został mianowany sierżantem. Cieszył się autorytetem i przyjaźnią wśród żołnierzy, z którymi przyszło mu wspólnie walczyć.

W styczniu 1945 r. uczestniczył w walkach o Warszawę, a następnie poszedł z kompanią fizylierów I Armii na Wał Pomorski. W ciężkich walkach o Kołobrzeg, które później opisał w swej chyba najważniejszej

eprasa.pl 6f0099b9cf

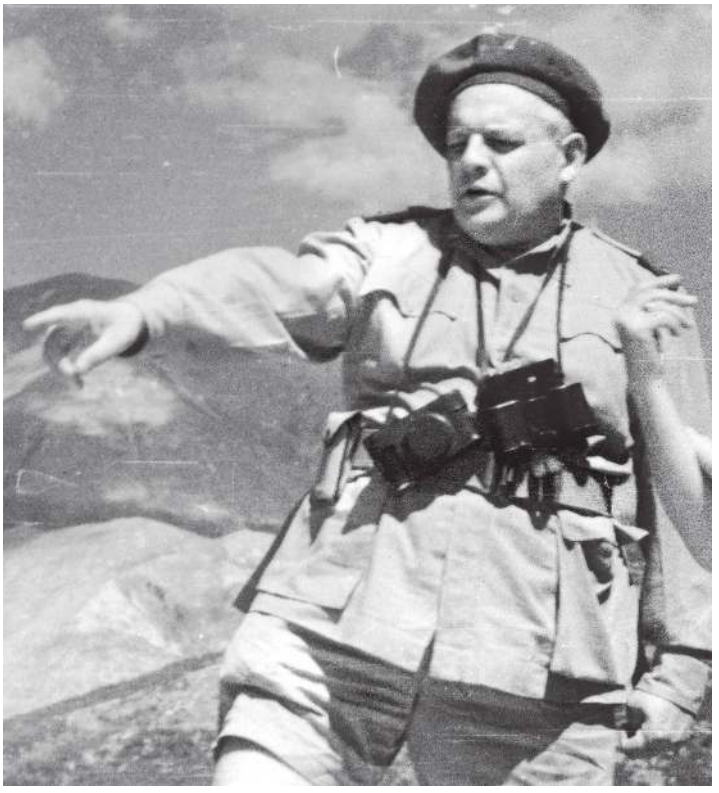

Alojzy Sroga (1927-1980) i Melchior Wańkowicz (1892-1974). Piotr Kuncewicz nazwał Alojzego Srogę „bardem żołnierzy plebejuszy".

książce „Na drodze stał Kołobrzeg", został ranny w ramię. Po rekonwalescencji wrócił na front, ale znów odniósł ranę – tym razem ciężką, w szyję i obojczyk, która po latach stała się przyczyną jego przedwczesnej śmierci, gdy był w rozkwicie talentu i uznania. Za udział w walkach dwukrotnie odznaczono go Krzyżem Walecznych.

16 kwietnia 1946 r. został zdemobilizowany. W cywilu ożenił się z koleżanką z czasów szkolnych – Aleksandrą Niewęgłowską i miał z nią dwóch synów: Jana – fotografika, i Wojciecha – leśnika, oraz córkę, Magdalenę – polonistkę, później bardzo znaną, pod nazwiskiem Mikołajczak, dziennikarkę, prezenterkę i producentkę telewizyjną, reporterkę i aktorkę. (…)

Po przejściu do cywila Alojzy Sroga ukończył studia chemiczne na UMCS w Lublinie, ale pozostał mu wielki sentyment do wojska i potrzeba spisania historii szlaku wojennego, którym przeszedł ze swoimi żołnierzami w drodze na Berlin. Jeszcze jako czynny żołnierz był korespondentem wojennym centralnego organu prasowego wojska „Polska Zbrojna", a później związał się z lubelskim „Sztandarem Ludu", gdzie opublikował swój pierwszy reportaż pt. „Szoferacy", mówiący o szoferach wojskowych, którzy podczas walk armii Berlinga na Wale Pomorskim dowozili jej (kursując między Wałczem, Mirosławcem, Nadarzycami i Czaplinkiem) niezbędną broń, żywność, pocztę dla żołnierzy oraz inne materiały.

Żołnierze plebejusze, którzy przeżyli na Kresach piekło dwóch okupacji, nie skarżyli się na swój los.

Sroga zajął się też tematyką wiejską, a następnie związał się z Polskim Radiem, emitując na jego falach liczne wywiady z osobami, które spotykał na drogach swych reporterskich podróży. Był dziennikarzem III Programu PR, słynnej Trójki, w której objął w 1971 r. funkcję wicedyrektora. (…)

Na przełomie lat 60. i 70. XX w. Alojzy Sroga zebrał materiał, a następnie napisał dwa wielkie epickie reportaże w formie obszernych książek o żołnierzach uczestnikach bitwy pod Lenino oraz walk o Kołobrzeg. Pisząc to swoje opus magnum, nawiązał kontakt z około tysiącem uczestników tych bitewnych zmagań i spisał setki autoryzowanych relacji żołnierzy, którzy po wojnie zamieszkali w różnych częściach Polski i których osobiście odwiedził. Byli to ludzie różnych zawodów, różnej kondycji intelektualnej i społecznej, głównie Kresowianie, i – nim w Sielcach trafili do formowanej 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki i zamienili łagierniane łachmany na mundur wojskowy – przecierpieli wiele miesięcy w stepach Kazachstanu lub w tundrach Sybiru. (…)

Dzieło Srogi wypełnione jest personaliami, detalami i fleszami biograficznymi żołnierzy z kresowych miast i wsi. Wśród tych, którzy dostali rozkaz: „Do Polski, na Zachód marsz!", byli m.in. bracia Józef i Kazimierz Grynienkowie z Brzeżan – o twarzach ogorzałych i spękanych

FOT. NAC, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f0099b9cf

od syberyjskich wiatrów, którzy wiele miesięcy przeżyli w ziemiankach w Kazachstanie; trzej bracia: Paweł, Szymon i Władysław Kuryłowie – chłopi spod Nowogródka, później drwale w tundrze pod Tomskiem; i Piotr Soczyński – kapral z Równego. Żołnierzami stali się też Andrzej Chłoń spod Drohobycza oraz Walenty Warzocha z Zaleszczyk, który nim dotarł do Sielc, kopał złoto na Zabajkalu. (…)

Nikt nie zliczył, ilu Polaków zesłańców nie zdążyło do armii Andersa, bo na przeszkodzie stanęła im choroba (głównie tyfus), albo spóźnili się, gdyż byli zbyt daleko od miejsca werbunkowego i nie przybyli tam na czas, albo nie dotarła do nich żadna informacja, że powstaje armia polska. Drugą szansę bycia żołnierzami dała im Wanda Wasilewska, tak później wyklinana przez zaślepionych antykomunizmem politykierów emigracyjnych i krajowych. Mimo różnych epitetów i potwarzy, których jej nie szczędzono, nie sposób odebrać jej zasługi, że to głównie ona przyczyniła się do stworzenia kilkuset tysiącom nieszczęśników możliwości pójścia do boju w polskim mundurze i pod polską komendą, pod duchową opieką polskiego kapelana i w wojskowej czapce z orzełkiem (często własnoręcznie wyciętym z puszki po konserwie).

Książka Alojzego Srogi „Początek drogi. Lenino” może być porównywana z innym wielkim reportażem wojennym: trzytomowym dziełem Melchiora Wańkowicza „Monte Cassino”, opowiadającym o równie krwawej jak pod Lenino bitwie we Włoszech – stoczonej przez żołnierzy Andersa, którzy szli do Polski okrężną drogą. Oni też byli Kresowianami o rękach spękanych od ciężkiej pracy i twarzach zoranych syberyjskim mrozem. Ten wojenny reportaż Wańkowicza, uczestnika bitwy pod Monte Cassino, należy do arcydzieł polskiej literatury memuarystycznej. Zilustrowany setkami fotografii, rysunków i szkiców topograficznych jest ewenementem na skalę światową. Chyba żadna z bitew nie została tak szeroko i różnorodnie opisana. (…)

Bitwy pod Lenino i pod Monte Cassino miały szczęście, że opis ich przebiegu wyszedł spod piór znakomitych pisarzy, jednak w podzielonym polskim społeczeństwie przeciwstawiano je sobie przez całe dziesięciolecia. Był czas w okresie PRL kiedy faworyzowano bitwę pod Lenino, a z wielkim dystansem i krytycznie oceniano bitwę pod Monte Cassino, na Zachodzie natomiast, wśród emigrantów polskich w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku – odwrotnie. Po zmianie systemu politycznego w Polsce i upadku PRL, po 1989 r., ze względów politycznych zmieniono retorykę – poczęto faworyzować bitwę pod Monte Cassino, bezkrytycznie przyjmując w polityce historycznej emigracyjną interpretację z kręgu gen. Andersa: potępiano, a zdarzało się, że odsądzano od czci i wiary dowódców bitwy pod Lenino. Zarówno jedna, jak i druga strona eksponowały głównie straty, licytując się równocześnie, która z bitew była bardziej daremna. Warto przypomnieć, że pod Monte Cassino zginęło, zostało rannych bądź uznano za zaginionych ponad 4 tys. żołnierzy, a pod Lenino – ponad 3 tys. (czyli jedna czwarta składu dywizji).

Dokumentaliści bohaterstwa tych spod Lenino i tych spod Monte Cassino – Sroga i Wańkowicz – cenili się nawzajem, mówili i pisali o sobie z uznaniem. Wańkowicz dał temu szczególny wyraz w swoim zbiorze reportaży i esejów „Wojna i pióro”, cytując i często odwołując się do prozy Alojzego Srogi, który pisał swe książki w kraju i musiał liczyć się z ograniczeniami, nie był też uczestnikiem tej bitwy. Sroga nie dożył czasów, kiedy zlikwidowano już cenzurę. Wańkowicz natomiast – uczestnik opisywanej przez siebie bitwy – publikował pierwsze wydania „Monte Cassino” tuż po wojnie, na emigracji. W PRL jego książka ukazała się dopiero w czasach rządów Władysława Gomułki – została jednak ocenzurowana i na emigracji wypominano Wańkowiczowi, że poszedł na zbyt daleki kompromis z peerelowskimi cenzorami. (…)

Jak wytłumaczyć, że u osoby tak kompetentnej [Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – przyp. red.] i wydawałoby się, że znającej historię Polski, mogły powstać tak niedorzeczne skojarzenia? Jak można było nazwać liczącą prawie 400 tys. żołnierzy armię Berlinga armią rosyjskich przebierańców w polskich mundurach? W moich ponad 20 tomach „Kresowej Atlantydy” przywołałem przynajmniej kilkaset nazwisk Polaków, którzy szli z armią Berlinga z Sielc nad Oką do Drezna i Berlina. Byli to Polacy w różnym wieku, różnych zawodów i w zdecydowanej większości byli to więźniowie stalinowskich łagrów, wśród nich chłopi, robotnicy, nauczyciele, lekarze czy prawnicy, a nawet duchowni. Ginęli masowo, poczynając od Lenino, na Przyczółku Magnuszowskim pod Warszawą, a później szczególnie na Wale Pomorskim (zdobywając Kołobrzeg), na Łużycach czy też pod Dreznem i Berlinem. Wielu z nich osobiście poznałem, (…) żołnierzom berlingowcom poświęciłem wiele stron w mych książkach, dokumentując konkretne dowody ich patriotyzmu i oddania w walce o niepodległość Polski.

Jak można – mając akademickie wykształcenie, którym się szczyci Anne Applebaum – nazwać tych ludzi „zielonymi ruskimi ludzikami”, którzy zajęli powojenną Polskę? Czy można tak powiedzieć o Alojzym Srodze – dokumentaliście dziejów żołnierzy Berlinga, o Piotrze Jaroszewiczu – późniejszym długoletnim premierze polskim, o Jerzym Borejszy – po wojnie twórcy wielkiego koncernu prasowego, o Janie Cajmerze – znakomitym muzyku i aranżerze, o poecie Adamie Ważyku, o prof. Ignacym Pawłowskim – promotorze mej pracy doktorskiej, Poleszuku, który szedł pod kulami aż pod Berlin; o kpt. Emilu Smetanie, nauczycielu ze Lwowa, po wojnie współtwórcy pierwszej wyższej uczelni na Śląsku Opolskim – Wyższej Szkoły Pedagogicznej,

Alojzy Sroga należał do pokolenia, które zmitologizował Roman Bratny w powieści „Kolumbowie. Rocznik 20”.

eprasa.pl 6f0099b9cf

krewnym wybitnego czeskiego kompozytora Bedřicha Smetany; o synu producenta zapałek z Bolechowa – Stanisławie (Shlomie) Adlerze, który poszedł do armii Berlinga, aby pomścić całą swoją wymordowaną przez Niemców rodzinę; o pochodzącym ze Zbaraża przedwojennym żołnierzu Kompanii Honorowej WP – Emilu Frydlu, który w walkach o Berlin wziął wraz ze swoim oddziałem do niewoli kilku wysokich niemieckich oficerów, a po wojnie prowadził gospodarstwo rolne pod Korfantowem na Opolszczyźnie; o księżach kapelanach armii Berlinga – Wilhelmie Kupszu i Tadeuszu Fedorowiczu (przyjacielu prymasa Wyszyńskiego); o stryju rektora Uniwersytetu Wrocławskiego Romualda Gellesa – Kazimierzu Gellesie, kowalu ze Śniatyna, który w1945 r. jako żołnierz Berlinga zajął 10. miejsce w liczbie rozbrojonych min?

Alojzy Sroga w 1976 r. odszukał w Dębnie, w dawnym województwie szczecińskim, i zdążył spisać opowieść trzeciego z listy rekordzistów: sapera z armii Berlinga – Feliksa Drochomireckiego (rozbroił ponad 22 tys. min). Drochomirecki, podobnie jak jego koledzy berlingowcy, dostał po wojnie skrawek ziemi. Nie zrobił żadnej kariery – ciężko pracował jako robotnik rolny. Niewielu w jego otoczeniu wiedziało, że był rekordzistą w likwidowaniu min i usunął niewypały z wielu ulic odbudowywanej Warszawy. Drochomirecki pochodził z Kresów, z Przerośli – wsi pod Nadwórną, w województwie stanisławowskim. W 1945 r. miał tylko 22 lata, a za sobą już wielką traumę wojenną: śmierć rodziców i jedynej siostry, zamordowanych przez banderowców. Ucieczka do armii Berlinga ocaliła mu życie, ale – jak wspominał – „nerwy były poszarpane, roztrzęsione. Nie było dla kogo żyć. Człowiek nie dbał o życie, nie szanował go. Może dlatego śmielej szedł na miny – lekceważył niebezpieczeństwo. Wyglądało to na brawurę. Dopiero z czasem zacząłem się bać, że za którymś razem wylecę w powietrze i nie będzie co po mnie zbierać".

Historie żołnierzy Berlinga są często fascynujące od strony biograficznej. Mówią o wielkim wysiłku polskiego żołnierza, który szedł z tą armią, a później stał się współtwórcą państwa polskiego w nowych – jak się wówczas mówiło – „piastowskich granicach", z Wrocławiem, Szczecinem i Gdańskiem. Żołnierze plebejusze, którzy przeżyli na Kresach piekło dwóch okupacji, nie skarżyli się na swój los. Uważali, że tak musiało być. Ci, co przeżyli wojnę, nie nosili w sobie żadnych pretensji. Zadziwiali skromnością. Często klepali biedę w swoich małych gospodarstwach rolnych na poniemieckich ziemiach – gdzieś na Śląsku, Ziemi Lubuskiej czy na Pomorzu. A później, gdy dożywali swych lat ostatnich, przyszedł czas, że nowi politrucy (polityczni truciciele) nazwali ich „żołnierzami drugiego sortu". Odebrano imiona poświęconym im ulicom, masowo usuwano pomniki żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, bo – w myśl nowych doktrynerów politycznych – podobno „służyli sowieckim komunistom w zniewalaniu Polski". Czy miny też rozbrajali dla komunistów?

Pojawiały się nawet oświadczenia, że nie mieli prawa brać ziemi z rozparcelowanych majątków. Lepsi byli ci spod Monte Cassino, z powstania warszawskiego, od generałów Maczka i Andersa oraz „żołnierze wyklęci". I to oni – jako ci z „pierwszego sortu" – mieli prawo na początku XXI w. obchodzić z podniesioną głową rocznice swoich bitew.

Na szczęście są jeszcze książki Alojzego Srogi – choć przysypane pyłem zapomnienia i najczęściej w głębokich magazynach bibliotek uniwersyteckich. Jest w nich prawda o cierpieniu, upokorzeniu i niebywałym, wręcz katorżniczym wysiłku na froncie, a później przy podnoszeniu kraju z ruin. Spośród ponad dwudziestu kilku książek, które napisał, 18 (w tym dwie najważniejsze: „Lenino. Początek drogi" i „Na drodze stał Kołobrzeg") dotyczyło bezpośrednio żołnierzy armii Berlinga. „Żeby była jasność – pisał w 1979 r. Sroga – siedem moich książek to powieści. Pozostałe to literatura faktu. Opowieści dokumentalne, szkice, wspomnienia, refleksje, polemiki, monografie literackie".

Stanisław Sławomir Nicieja

NAGRODA SAMORZĄDOWA
im. NORBERTA BARLICKIEGO za rok 2025

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że uruchomiona została tegoroczna edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Samorząd miejski,
- Samorząd powiatowy,
- Samorząd województwa,
- Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Jednostka samorządu terytorialnego,
- Organizacja pozarządowa,
- Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur do pierwszego etapu selekcji laureatów nagrody można składać do 20 września 2025 r. pocztą na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 Warszawa lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl
Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego w poszczególnych kategoriach zostanie przyznana przez Kapitułę Nagrody pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się na przełomie listopada i grudnia 2025 r. **Więcej informacji** dotyczących Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego można znaleźć na **stronie: www.stowarzyszeniero.pl.**

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan Kazimierz Czubak
sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl 6f0099b9cf

Witoldowi Beresiowi w odpowiedzi

Witek Bereś, stary mój znajomy, z jakiegoś powodu wdał się w polemikę ze mną, niby w obronie Jacka Majchrowskiego. Podjął się zadania trudnego, bo bardzo trudno bronić kogoś, kto nie jest atakowany.

Jacka Majchrowskiego, którego znam od ponad półwiecza, wychwalałem publicznie wielokrotnie, w tym na łamach „Przeglądu". Wielokrotnie mówiłem lub pisałem, że Majchrowski zasługuje w Krakowie na pomnik, już z tego choćby powodu, że z woli mieszkańców był najdłużej w historii urzędującym prezydentem Krakowa. Nawet w felietonie, który tak poruszył Beresia („Przegląd" nr 33/2025), że wziął się do polemiki, napisałem wszak, że Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski z całą pewnością mu się należał. Tak: „Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski", a nie, jak pogardliwie o tym odznaczeniu pisze mój Polemista, „Złota Blacha Czegoś tam Czegoś". Napisałem tylko, że dziwi mnie, że Majchrowski ten order

LIST

Dudoranza

Prof. Jan Widacki, jeden z moich bohaterów wolnej Polski, bohaterów bez cudzysłowu, a może i wielką literą, popełnił felieton o byłym prezydencie Andrzeju Dudzie („Przegląd" nr 33). Tu okazało się jednak, że wraz ze zmianą klimatu, geopolityki, społeczeństwa zmieniają się także bohaterowie. Profesor uznał bowiem w dużym skrócie, że dotknięcie czegokolwiek, czego dotykał prezydent Duda, skutkuje poważnym schorzeniem. Tu był łaskaw jako przykład podać przypadek prof. Jacka Majchrowskiego, który przyjął z rąk prezydenta Dudy Złotą Blachę Czegoś Tam Czegoś Tam. Ponure konsekwencje tego kroku są takie, że pomnik, który prof. W. chciał wystawić prof. M. w prestiżowym miejscu Krakowa, „po tym ostatnim wydarzeniu to chyba należy się trochę mniejszy i w jakiejś bocznej ulicy".

Jeśli wszystko ma się zmniejszać po dotknięciu tego, czego dotykał były prezydent, to z obawy o własne członki włożę zaraz lateksowe rękawiczki i zafiżę maskę.

Owszem, Andrzej Sebastian D. w klasyfikacji wszech czasów

przyjął od prezydenta Dudy, podczas gdy wielu zacnych ludzi z rąk tego akurat prezydenta odznaczeń nie przyjmowało, demonstrując w ten sposób swoją dezaprobatę dla takiego stylu sprawowania tego najważniejszego urzędu w państwie. Jacek Majchrowski przyjął, miał do tego prawo, to jego sprawa. Przyjęcie orderu od prezydenta Dudy, w dodatku w okolicznościach umniejszających rangę wydarzenia (nie w Pałacu Prezydenckim, nie w krakowskim magistracie, ale jakby ukradkiem, w jakimś krakowskim banku, w dodatku w ostatnim tygodniu urzędowania prezydenta Dudy) było nieprzyjemnym zaskoczeniem dla wielu ludzi w Krakowie. Dlatego zażartowałem, że pomnik nadal Majchrowskiemu się należy, ale chyba trochę mniejszy i w jakiejś bocznej ulicy. Bereś wziął to śmiertelnie serio. Niepotrzebnie też przekonuje mnie, że od dotknięcia czegoś, czego dotknął Andrzej Duda, niekoniecznie się parszywieje. Ja tak nigdy nie twierdziłem. Pisząc polemikę, Witold Bereś najwyraźniej „walczył z ostrym cieniem mgły". Czymś jednak od Dudy się zaraził.

Ma rację Bereś, że społeczeństwa nie wymienimy. Nie wymienimy, ale spróbować zmieniać chyba nawet powinniśmy. Przez edukację, przez gesty, nawet czasem takie jak odmowa przyjęcia orderu.

Jan Widacki

PS Oczywiście chciałbym, by naród czytał, nie tylko moje książki, nawet te wskazane przez Beresia. Ale by w ogóle coś czytał. Do listy lektur dorzuciłbym książkę Beresia „Statek głupców. Biedni Polacy patrzą na Usnarz" (Kraków 2021).

W bieżącym numerze także:

Hugues Le Paige
Giorgia Meloni, ideolożka pragmatyczna

Margaux Solinas
Mozambik w objęciach dżihadystów

Sonia Combe
Emigrantka i uciekinier

Susan Ferguson
Mary Wollstonecraft a feminizm równości

Iwona Kurz
Ciała Festiwalu '55

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tatry moich czasów

Wędrować dziś po polskich Tatrach znaczy: wędrować w tłumie. Samotność jest możliwa tylko po słowackiej stronie, choć naturalnie też nie wszędzie.

A jednak w dzieciństwie zaznałem samotności nawet na Giewoncie! Nawet – bo na ten szczyt ustawiały się zawsze kolejki. Ojciec na ich widok mówił, że to stonka, bo stonka ziemniaczana była wtedy symbolem szkodnictwa. Tymczasem w roku 1966 wymaszerowałem sam z Kościeliska o godz. 6 rano i na Giewoncie stanąłem parę minut przed 10. Było pusto i cicho, dopiero gdy zacząłem schodzić, ujrzałem człowieka wspinającego się w mym kierunku. Puściłem się biegiem i o godz. 12 leżałem już przed domem na Wojdyłówce, słuchając z radia hejnału mariackiego.

Wtedy nie było już w Tatrach wypasu owiec. Ale z pierwszych i drugich wakacji podhalańskich, tych z lat 1955 i 1956, pamiętam na stacji poronińskiej wagony towarowe wypełnione stłoczonymi owcami i rozbrzmiewające ich beczeniem. Owce jechały na wypas w Bieszczady. Gdy zaś w roku 1960 szedłem z ojcem w Czerwone Wierchy, słyszałem na stoku Małołączniaka srebrzysty dźwięk owczych dzwonków i przyśpiewki juhasa. Rok później, gdy pierwszy raz stanąłem na Hali Mała Łąka, ujrzałem szałas, siedzącego przed nim zamyślonego, starego bacę oraz owczarka rozłożonego u jego stóp. Owiec nie dostrzegłem. A zatem byłem świadkiem historycznej przerwy w kilkusetletnich dziejach tatrzańskiego pasterstwa. Wypas kulturowy przywrócono w roku 1981, ale już tylko na kilku wybranych obszarach. Dziś jest on niemal niewidoczny.

W moich czasach dobiegały też końca inne formy dawnego życia. Pod lasem na Karpielówce jeszcze z początkiem lat 60. istniała kuźnia. Stawałem w jej drzwiach, patrząc, jak kowal rozżarza podkowę na palenisku najpierw do czerwoności, potem do oślepiającej białości. Kowal nazywał się Francuz; hodował psa, którego nauczył palić papierosy: palili obaj, na zmianę. Ale po paru latach kuźnia okazała się już niepotrzebna. Natomiast wciąż chodziły po Kościelisku góralki z Butorowa, Witowa czy Dzianisza. Pukały do drzwi letników, rozwiązywały płótna, w które były zawinięte ich kosze. Z niebieskich garnuszków wyjmowały osełki masła, z naznaczonymi nożem wzorkami, wysypywały borówki, czasem poziomki, w sierpniu maliny, przelewały śmietanę. Z mokrych ręczników odwijały biały ser w kształcie serca. Ale nie sprzedawały oscypków.

Chodziło się po Tatrach nieznakowanymi perciami, wzbroniony był tylko wstęp do rezerwatów. Pierwszą taką wyprawę z mym udziałem poprowadziła w roku 1961 nasza gaździna z Karpielówki, Helena Bukowska. Przeszliśmy niebieskimi znakami na Przysłop Miętusi – stało tam maleńkie schronisko, do niedawna własność Brońci Staszel-Polankowej, słynnej narciarki międzywojnia. Zajrzeliśmy do środka – było ciemno i ciasno, od pieca buchało gorąco. Zaraz potem, już bez znaków, zagłębiliśmy się w Wantule – ponury pierwobór świerkowy, rosnący na głazach wyższych od człowieka. To już był rezerwat, ale nikt nas nie zatrzymał. Po czym stanęliśmy w obliczu amfiteatru skalnego, Wielkiej Świstówki. Następnie gaździna powiodła nas piargami w górę, do Małej Świstówki, wąskiej gardzieli, pnącej się w górę między wapiennymi ścianami. Nigdy już potem tam nie byłem, ale do Wielkiej Świstówki zaglądałem wielokrotnie – była to moja „świątynia dumania”.

Wędrować dziś po polskich Tatrach znaczy: wędrować w tłumie.

Dziś nie ma już mowy o takich bezznakowych wyprawach i nawet niektóre szlaki, jak na Bobrowiec czy Kominy Tylkowe, zostały skasowane. A przecież najpiękniejsze wejście na Kominy, z Hali na Stołach, było bez znaków; używany wtedy „Przewodnik po Tatrach” Tadeusza Zwolińskiego nazywał je bezdrożem. To wejście było najpiękniejsze, lecz kiedyś tu także były znaki – pod koniec XIX w. wymalował je młodziutki Mieczysław Karłowicz; jego wyblakły niebieski znak zdarzyło mi się jeszcze dostrzec na tej trasie. Po wejściu przez okno skalne na szczyt Kominów schodziłem z niego skalistą dolinką Między Ściany do Doliny Chochołowskiej albo – ujęty w dwa skalne ramiona – zbiegałem do Hali Smytniej w Dolinie Kościeliskiej. Dziś nie mogę się pogodzić, że to skaliste gniazdo, w którym znałem każdy zakątek i każde skalne okno, jest już niedostępne dla turystów.

Ale rozumiem. Ludzi w Tatrach jest coraz więcej, a wciąż się słyszy o kolejnych inwestycjach. Tatrzański Park Narodowy przypomina czasem park miejski, na szlakach trudno się przecisnąć. Czy Tatry to wszystko wytrzymają? „One są takie maluśkie”, mawiał wieloletni dyrektor TPN, Wojciech Gąsienica-Byrcyn.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

Między głupotą a realizmem historycznym

Dzięki takim ludziom jak Aleksander Bocheński Polska nie uległa głębokiej stalinizacji i chaosowi

Dariusz Łukasiewicz

W 2020 r. wznowiony został głośny pamflet historyczny Aleksandra Bocheńskiego, nad którym autor pracował w czasie wojny, a opublikował go w roku 1947. Była to próba budowy zaplecza historycznego dla współpracy środowisk inteligenckich i ziemiańskich z Rosjanami w realiach powojennych. Na skalę kultury masowej ten sam problem podjął genialny film Andrzeja Wajdy „Popiół i diament" z 1958 r. Grany przez Zbyszka Cybulskiego Maciek Chełmicki, superbohater kina w kraju niby komunistycznym, to żołnierz Armii Krajowej, który nie chce już walczyć z ZSRR, tylko marzy o tym, by zakochać się, studiować, założyć rodzinę i pracować. W ten sposób tworzony był pragmatyzm odbudowy Polski zrujnowanej przez wojnę. Powtórzenie tej figury mieliśmy w „Czterech pancernych", gdzie Janek Kos był synem oficera walczącego w 1939 r. na Westerplatte.

Ważniejsza była jednak książka pochodzącego z ziemiaństwa Aleksandra Bocheńskiego, która budowała intelektualny algorytm pracy elit polskich po 1945 r. Autor „Dziejów głupoty w Polsce" nawiązywał do twórczości przedwojennego historyka Uniwersytetu Poznańskiego, prof. Adama Skałkowskiego. Istniała jednak zasadnicza różnica – praca Bocheńskiego była antynapoleońska, co bez wątpienia stanowiło produkt bieżącej sytuacji politycznej.

Bocheński uważał, że Księstwo Warszawskie stanowiło naiwną efemerydę bez szans na przetrwanie, i wskazywał, że korzystniejsza byłaby współpraca z carem Aleksandrem I. W ten sposób książka uzyskiwała polityczną i aktualną nośność.

Skałkowski odwrotnie, w czasach sojuszu z Francją i rządów Józefa Piłsudskiego dowodził, że Polska czasów Napoleona słusznie stała u boku cesarza, a nie cara, i w 1812 r. były wielkie szanse na odbudowę granic przedrozbiorowych, na co mieliśmy obietnicę Bonapartego, który oficjalnie nazywał w Europie tę kampanię „drugą wojną polską". Na tym polegał zdaniem Skałkowskiego realizm historyczny, gdy insurekcja 1794 r. i kolejne powstania to mrzonka, dająca się usprawiedliwić tylko psychologicznie.

Chrobrze to rodowa siedziba Wielopolskich, gdzie wówczas przebywał Skałkowski, pracujący nad trzytomową biografią wielkiego margrabiego. Mimo wrogiego stanowiska nowej władzy wobec uczonego książkę, ze względu na przyjazne stanowisko profesora wobec Wielopolskiego, udało się opublikować w 1947 r. w wydawnictwie naukowym. Z rekomendacją Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wsparta została finansowo przez Centralny Urząd Planowania i opublikowana w nakładzie 2 tys. egzemplarzy. Dzisiejszy biograf Wielopolskiego, Andrzej Szwarc, trafnie zwracał uwagę, że „XIX-wieczne analogie miały przemawiać za zwolennikami lewicowej Realpolitik".

Książka pochodzącego z ziemiaństwa Bocheńskiego budowała intelektualny algorytm pracy elit polskich po 1945 r.

Bocheński pisał do Skałkowskiego już 2 marca 1941 r.: „Wielce Szanowny Panie Profesorze, jestem dyletantem, który poświęca cały swój czas obecny na studiowanie prac Pańskich, a pragnie w przyszłości poświęcić cały swój czas na ich propagandę. Jestem zamiłowanym polemistą, więc obawiam się, że w moich pisaninach więcej będzie destrukcji frazesowiczów, którzy z panem się nie zgadzają, jak konstrukcji tez pozytywnych. W każdym razie wiele sobie obiecuję po rozmowach z Panem Profesorem i gdyby moja wizyta w Chrobrzu nie mogła dojść do skutku z jakiegokolwiek powodu, to będę prosił o audiencję przy okazji jakiegoś pobytu Pana Profesora w Krakowie".

Książka otrzymała pozytywną recenzję Stefana Kieniewicza. Skałkowski oceniał, że Wielopolski dążył do budowy nowoczesnego państwa, wzorując się na Prusach.

Apostoł realizmu

Z kolei „Dzieje głupoty" ukazały się dzięki finansowej pomocy Stefana Kisielewskiego – tak, tego samego Kisiela – w prywatnym wydawnictwie Panteon, w nakładzie 3 tys. egzemplarzy. Początkowo książka nie spotkała się z zainteresowaniem czytelników. Paweł Jasienica nazwał Bocheńskiego sceptycznie „fanatykiem realizmu historycznego". Zarzucał mu lekceważenie kwestii etycznych, co czynić miało książkę anachroniczną,

eprasa.pl 6f0099b9cf

bo II wojna światowa – twierdził – dowiodła znaczenia spraw etycznych.

Inaczej i pozytywnie Stefan Kisielewski już w 1946 r. wychwalał autora „Dziejów głupoty" jako namiętnego apostoła realizmu politycznego. Aleksander Bocheński odwoływał się wielokrotnie do dorobku szkoły krakowskiej historyków, którą uważał za jedyną znaczącą. Kisiel określał książkę jako znamienitą, ale niepopularną, ponieważ walka z mitami nie cieszyła się powodzeniem. Skałkowski również uważał się za ucznia Szujskiego, Bobrzyńskiego i Kalinki. Stefan Kieniewicz podczas dyskusji o książce w 1947 r. ocenił, że nie jest prawdą, iż w Polsce nie ma realizmu historycznego ani dyskusji na ten temat. Zgadzał się jednak, że Polacy sami byli winni upadku kraju.

Generalnie stosunek historyków akademickich do książki był wrogi, a sam tytuł nastawiał szeregowego czytelnika sceptycznie. Jak to ujmował Kisiel, książka została „zakrakana" przez „formalistycznych i pedantycznych" historyków. Fakt, że w powojennych warunkach Bocheńskiego czytano i był popularny, wynikał z doraźnej konieczności współpracy z Rosjanami, jaka rysowała się w konkluzji. To samo odnosi się do wydania z 1984 r. w zmienionych okolicznościach historycznych. Już jednak Jerzy Giedroyc określał Bocheńskiego mianem „programowego kolaboranta" ze względu na działalność w czasie wojny i po wojnie. Adam Michnik również nie był zachwycony jego postawą. Uważał, że rozumowanie Bocheńskiego prowadziło od deklaratywnego realizmu do oportunizmu, cynizmu i służalczości. Od roku 1945 do 1955 Aleksander Bocheński piastował stanowisko dyrektora Okocimskich Zakładów Piwowarsko-Słodowniczych. Jego nominację podpisał wicepremier, minister rolnictwa i reform rolnych Stanisław Mikołajczyk.

Bliski Bocheńskiemu był także ziemianin Ksawery Pruszyński, autor niewielkiej i bardzo pochlebnej biografii Aleksandra Wielopolskiego, pisanej w 1944 r. Stanisław Cat-Mackiewicz twierdził, że Pruszyński widział Wielopolskiego w kontekście sytuacji Polski pod koniec wojny. Pruszyński w duchu walki z mitami pisał buntowniczo: „W naszych biografiach postać opiewana staje się zaraz rycerzem bez zmazy i skazy, jaśnieje nudą wszelkich cnót świata, jest wolna od wszelkich win i błędów, słowem staje się prawdziwym świętym, jeżeli nie katolickiego, to na pewno narodowego, polskiego Kościoła. Pierwszymi monografiami w Polsce były, jak wiadomo, życiorysy świętych i te średniowieczne prawzory zaciążyły na tym rodzaju pisarskim".

O Pruszyńskim pisał do Skałkowskiego Emil Kipa w 1945 r.: „Widziałem się tutaj z Xawerym Pruszyńskim, dziennikarzem, jednym z najzdolniejszych młodszego pokolenia. Siedział dotychczas na emigracji i ogłosił broszurę o Wielopolskim, którą obiecał mi dać. Prześlę Panu zaraz do wglądu. Ponadto Pruszyński od lat pracuje nad Kościuszką. Tom 1. ma już gotowy. Opowiadał mi ciekawe szczegóły swoich poszukiwań, m.in. pańską broszurę o Kościuszce znalazł aż w Nowym Jorku, skąd Biblioteka dostarczyła mu ją w fotokopii. Ciekawa to będzie zapewne praca, bo autor niezmiernie wolny, ma talent ujmowania i syntetyzowania zagadnień".

„Dzieje głupoty w Polsce" ukazały się dzięki finansowej pomocy Stefana Kisielewskiego.

Kult męstwa

Powojenną działalność Bocheńskiego zapoczątkowały artykuły w „Tygodniku Powszechnym" w latach 1946-1947, gdzie rozróżnione zostały kult męstwa żołnierskiego i krytyka błędnych decyzji, prowadzących do użycia sił zbrojnych. Pisał o tym: „Już wtedy było widać, do czego nas doprowadziło stosowanie kryteriów uczuciowych i romantycznych w polityce. Pragmatyzm był przewodnią myślą tej książki". I dalej: „Powaliliśmy w Radomiu Czartoryskich, w Sejmie Czteroletnim i Insurekcji Stanisława Augusta, w nocy listopadowej Lubeckiego, w styczniowej – Wielopolskiego (…). W ciągu szeregu pokoleń zawsze brał górę frazes, poezja, romantyzm – a przez to szaleństwo i samobójstwo (…). Rozum traktowaliśmy jako zdradę, zbrodnię i głupotę jako bohaterstwo".

Po 1945 r. Bocheński działał jako postępowy katolik w nurcie PAX. Wraz z zajęciem Krakowa przez Rosjan znalazł się w grupie inteligentów rozmaitej proweniencji. Byli tu też konserwatywni arystokraci i intelektualiści, tacy jak Stanisław Kostka Rostworowski i Alfred Wielopolski. Jak wspominał Wojciech Kętrzyński, mieli poglądy antysowieckie, ale i świadomość konieczności nowych dróg działania. Byli niepewni dalszego rozwoju sytuacji. W tej grupie Bocheński cechował się realizmem. Nawiązał kontakt z Jerzym Borejszą, który zajmował się w PPR kulturą, i spotkał się z nim u niego w mieszkaniu.

Bocheński zastanawiał się także nad aktualnością w 1944 r. myśli margrabiego Wielopolskiego wobec hegemonii rosyjskiej w Polsce. Uważał, że komuniści byli za słabi, aby zdobyć poparcie, i będą musieli szukać porozumienia z inteligencją i ziemiaństwem. Należało odrzucić metodę walki i partyzantki przeciw Sowietom i pójść na kompromis z Rosjanami, przeczekując złą koniunkturę. W kwietniu 1945 r. spotkali się z Borejszą również Stanisław Stomma, Wojciech Kętrzyński, Jerzy Turowicz, konserwatywny arystokrata Stanisław Kostka Rostworowski i Alfred Wielopolski, historyk prawa i gospodarki, prawnuk margrabiego Aleksandra.

Z obecnej perspektywy zasługi opcji realizmu historycznego przed 1989 r. są dużo lepiej widoczne. Dzięki ludziom tamtych czasów Polska nie uległa głębokiej stalinizacji i chaosowi. Obok zerwań były kontynuacje z II RP, a po 1956 r. obok cieni były i blaski, więc trwały dorobek „tamtej Polski" powinien zostać wreszcie doceniony.

Dariusz Łukasiewicz – profesor nadzwyczajny Instytutu Historii PAN, specjalizujący się w historii XIX i XX w., PRL oraz stosunkach polsko-niemieckich

eprasa.pl 6f0099b9cf

Wojciech Kuczok

Kluby dały radę

Teraz czas na reprezentację!

Cztery mecze jednocześnie. I owszem, dałem radę – jeden na telewizorze, drugi na laptopie, trzeci na iPadzie, czwarty w komórce, wprawdzie był oczopląs i jedna bramka mi umknęła, na szczęście ją sobie zobaczyłem w powtórce. Ale żebym jeszcze w tym samym czasie miał patrzeć, jak Polska ogrywa Słowenię na mistrzostwach Europy koszykarzy – Państwo wybaczą – to ponad moje siły. Rzeczywiście sensacja, jednak chyba nie aż tak olbrzymia, jak chcieliby dziennikarze, bośmy przecie na poprzednim EuroBaskecie też Słowenię łyknęli, i to w ćwierćfinale. Najwyraźniej Luka Dončić w pojedynkę meczu wygrać nie potrafi, dzięki czemu koszykarska reprezentacja Słowenii upodabnia się do piłkarskiej reprezentacji Polski – mamy jednego z najlepszych napastników na świecie, ba, może nawet w historii świata, ale niewiele z tego wynika, skoro reszta do niego poziomem nie dociąga.

A zatem odnotować wygraną Polski na inaugurację turnieju mistrzowskiego warto, ale historia wydarzyła się minionego czwartku gdzie indziej, w innej dyscyplinie, najważniejszej i najpopularniejszej na planecie Ziemia. Polskie kluby w komplecie zameldowały się w fazie ligowej europejskiego pucharu. W dodatku udało się to jeszcze wyłącznie sześciu najsilniejszym piłkarsko ligom na kontynencie, przy czym ci najmocniejsi, a zarazem najzamożniejsi, większość swoich klubów mają w tych rozgrywkach z automatu, bez kwalifikacji.

O tym, że Liga Konferencji, której będziemy poświęcać czwartkowe wieczory, począwszy od października, jest kontynentalną trzecią klasą rozgrywkową, w której zobaczymy w tym roku choćby mistrza Malty, więc prestiż tego turnieju jest cokolwiek umiarkowany, pisałem przed tygodniem.

Z drugiej strony nie sposób, a nawet nie wolno nie docenić sukcesu naszych ekip, szczególnie że łatwo wcale nie było, a wśród ogranych rywali nie wszyscy prezentowali futbol ułomny. Taki Hibernian z Edynburga, trzecia siła ligi szkockiej, już witał się z gąską na Łazienkowskiej i gdyby nie fura szczęścia warszawian, ku wielkiej konfuzji 30-tysięcznej widowni wyrzuciłby Legię z pucharów.

Wojskowi byli o kilka chwil od katastrofy sportowej i budżetowej – bo w stołecznym klubie budżet ledwo się spina z powodu ryzykownego wkalkulowania premii za awans od UEFA. Pewni swego po pierwszej połowie Legioniści po przerwie stracili zasłużenie trzy gole w ciągu 10 minut, ale potem nie stracili kolejnych (m.in. fantastycznie bezczelne uderzenie Szkota z 40 m w poprzeczkę!) – na szczęście nie stracił głowy trener lordănescu i skorygował skład na wariant ultraofensywny. Dzięki temu w doliczonym czasie Legia zerwała się ze stryczka (gol Juergena Elitima), a w dogrywce wreszcie spłacił się Mileta Rajović – załatwił awans za 3 mln euro premii, czyli dokładnie tyle, ile wyłożyło za niego szefostwo klubu z Łazienkowskiej. Mieliśmy zatem emocje i thriller z happy endem, ale cierpliwość byłego selekcjonera kadry Rumunii się kończy.

Kiedy przyjmował robotę, obiecywano mu w Warszawie, że drużyny się nie osłabi, lecz wzmocni, tymczasem za chwilę odejdzie do Romy Jan Ziółkowski, kolejny podstawowy gracz (oprócz Marca Guala, po którym raczej nikt w Warszawie płakał nie będzie, odeszli już Maxi Oyedele, Luquinhas i tuż przed rewanżem z Hibernianem Ryōya Morishita). Przebąkuje się o przyjściu Kamila Piątkowskiego i paru innych kozaków przed zamknięciem okienka transferowego, ale pozbywanie się ze składu młodych, zdolnych, przyszłych lub obecnych reprezentantów kraju jest smutne. Zwłaszcza że Oyedele już się w Strasbourgu na dobre rozsiadł na ławce, a i Ziółkowski w Romie

eprasa.pl 6f0099b9cf

Podopieczni Edwarda Iordănescu zremisowali u siebie po dogrywce 3:3 z Hibernian FC i zakwalifikowali się do rozgrywek Ligi Konferencji. Warszawa, 28 sierpnia 2025 r.

z marszu do pierwszego składu pewnie nie trafi.

Tak czy owak, Legia weszła i losowana z pierwszego koszyka będzie miała teoretycznie największe spośród naszych ekip szanse przejść do wiosennego etapu rozgrywek. Pozostałe nasze ekipy nie zawiodły, choć do pełni szczęścia zabrakło mobilizacji Jagiellonii w Tiranie, bo rywal wylosował się najsłabszy i należało go pokonać dwukrotnie, tymczasem Jaga ledwie uratowała remis. Z meczu zapamiętamy karczemną awanturę w końcówce, kiedy na boisku zakotłowało się między piłkarzami po chamskiej prowokacji Albańczyka i w przepychankach wzięli udział bodaj wszyscy piłkarze i sztabowcy obu klubów. Bałkany to stan umysłu, msi piłkarze nie pierwszy raz o tym się przekonują, także poza linią autu.

Raków znowu męczył i wymęczył, taki to już los kibiców drużyny Marka Papszuna, efekty są, choć szału nie ma, o pięknej grze można zapomnieć, a seryjne marnowanie stuprocentowych okazji z osłabionym rywalem (akurat kiedy Bułgarzy zaczęli się ogarniać, wyrównali i poczuli krew, napastnik zarobił drugą żółtą kartkę) może posłużyć jako instruktaż na szkoleniach dla juniorów: jak spartaczyć grę w przewadze, ośmieszyć się, skompromitować, a potem i tak dopiąć swego (w końcu trafił z karnego Ivi López).

Jest zatem komplet naszych w grze. Po raz pierwszy od wymyślenia Ligi Konferencji jakaś nacja będzie miała w niej aż czterech reprezentantów, co tylko potwierdza intuicję, że ten puchar wymyślono specjalnie dla Polaków, za słabych na poważne granie w Europie, ale wygłodniałych międzynarodowych sukcesów. Boże, pobłogosław jej twórców, albowiem dali nam piłkarskie 800+ – możemy się sycić do woli spartakiadą dla bidoków i snuć nadzieje, że w przyszłości uciułamy dość punktów rankingowych i tyleż grajcarów, aby mierzyć się z największymi. I rychło zatęsknić za tym cudownym pucharem, w którym prawie zawsze występujemy w roli faworytów – lepiej przecież wymierzać klapsy mizerotom, niż samemu być batożonym przez tytanów.

Batogi jednakowoż są nieuniknione – tak wygląda system rozgrywek – wygrywasz po to, aby piąć się na poziom, który cię przerasta, a zatem zwyciężasz, abyś w końcu został pokonany. Chyba że zdarzy się cud i jeden z naszych klubów po prostu pojedzie w maju przyszłego roku na finał do Lipska i wygra tę Ligę Konferencji. Byłoby miło, daleko nie mamy, można się wybrać, zaryzykowałbym nawet rezerwację biletów w ciemno.

Tymczasem co do batogów, które czekają, aby nimi wysmagać pupy naszych futbolistów – już w czwartek w Rotterdamie mogą po nie sięgnąć podopieczni Ronalda Koemana. Coach reprezentacji Holandii wciąż marzy o tym, aby przyszłe pokolenia kojarzyły go nie tylko z torpedy, którą wymierzył z rzutu wolnego w finale Pucharu Mistrzów 1992 w okno bramki Gianluki Pagliuki, dzięki czemu Barcelona zdobyła tytuł kosztem genueńskiej Sampdorii. On chce przejść do historii jako trener mistrzów świata. Ma do tego ekipę gwiazd światowego futbolu i trudno wierzyć, że zdołają mu przeszkodzić nasi reprezentanci w debiucie selekcjonera Urbana.

Jedziemy do Niderlandów głównie po to, aby się nie zbłaźnić i zachować morale na kluczowy dla nas rewanż z Finlandią, który zagramy kilka dni później w Chorzowie. Rzekłbym nawet, że przesadnie heroiczna postawa, która kosztem skrajnego wyczerpania pozwoli nam uszczknąć punkcik Holendrom, może być zgubna, jeśli potem nie starczy sił, aby pokonać Finów. Lepsze jedno zwycięstwo niż dwa remisy.

Azaliż nie mamy żadnych szans, by po prostu zdobyć punkty na Holendrach bez przechodzenia samych siebie? Akurat z nimi mamy bogatą historię niespodzianych remisów wyjazdowych: przed trzema laty w Lidze Narodów, znękani trzy dni wcześniej przez Belgów (1:6), prowadziliśmy nawet na De Kuip dwoma golami, aby ostatecznie wyrwać jeden punkt pomimo przygniatającej przewagi rywali. Podobnie przebiegał mecz w 1992 r., kiedy po golach naszych olimpijczyków Juskowiaka i Kowalczyka prowadziliśmy, a w końcówce mógł nam dać wygraną wracający do kadry Włodzimierz Smolarek, ale i tak remis nikogo nie oburzył. W 1986 r. też byliśmy zadowoleni z bezbramkowego remisu, kiedy w jednym z pożegnalnych spotkań reprezentacyjnych naszą defensywą kierował… Zbigniew Boniek. Jeśli zaś wziąć pod uwagę to, że powszechnie uważany za najlepszy w historii kadry narodowej mecz rozegraliśmy właśnie z Holendrami w 1975 r. w Chorzowie (zwycięstwo 4:1), można uznać, że mamy do nich szczęście. Jeżeli będzie nam ono sprzyjać także we czwartek, Urban zaliczy wejście smoka, a nasze nadzieje na piłkarski renesans sięgną również piłki reprezentacyjnej. ■

Raków znowu męczył i wymęczył, taki to już los kibiców drużyny Marka Papszuna, efekty są, choć szału nie ma, o pięknej grze można zapomnieć.

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

eprasa.pl 6f0099b9cf

Belìce – ziemia, która pamięta

Jak z tragedii zrodziła się sztuka

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Sycylii

Dolina Belìce to serce zachodniej Sycylii – kraina rozciągająca się między prowincjami Trapani, Palermo i Agrigento. Słynie z oliwki Nocellara del Belìce dającej wyborną oliwę z certyfikatem DOP (Denominazione di Origine Protetta, czyli Chroniona Nazwa Pochodzenia), z win białych i mineralnych – grillo i catarratto – oraz pełnych słońca czerwonych nero d'avola. Ale to także ziemia pasterzy, którzy od wieków wyrabiają tu Vastedda della Valle del Belìce, jedyny owczy ser pleśniowy o kształcie miękkiego krążka, wpisany na listę DOP. Smak tej doliny to oliwa, wino i ser. Tu antyk spotyka współczesność, a codzienność stapia się z legendą.

Wracam po latach na Sycylię, tym razem z okazji wręczenia 21. Nagrody Grupy Smaku, przyznawanej przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Zagranicznych we Włoszech. Lotnisko Falcone-Borsellino zaskakuje nowoczesnością i wygodą. Tuż przed wyjściem udaje mi się jeszcze zjeść ulubione arancino – ryżową kulę z nadzieniem, obtoczoną w tartej bułce i smażoną na głębokim tłuszczu.

Za drzwiami terminala uderza południowy żar i morska bryza, o wiele lżejsza niż duszne powietrze Rzymu. Gdy autokar rusza, zerkam na Monte Pecoraro – wapienną górę opadającą stromo ku morzu, tuż przy pasie startowym. Towarzyszy każdemu lądowaniu i każdemu startowi. Zostawiamy ją za sobą, kierując się na południowy zachód, w głąb wyspy, wzdłuż kręgosłupa Sycylii. Za oknem morze ustępuje miejsca niskim domkom, gajom oliwnym, monumentalnym kaktusom i kwitnącym oleandrom.

Sycylia odsłania się w wersji bez filtra – pasterskiej, rolniczej i mniej turystycznej. Mijane miasteczka mają pełne uroku nazwy: San Cipirello, Santa Ninfa, Partanna. Im dalej w interior, tym więcej prostoty i melancholii.

Po półtoragodzinnej jeździe pojawia się drogowskaz: „Gibellina Vecchia – Il Cretto di Burri". Zakręty prowadzą coraz wyżej w coraz bardziej pusty krajobraz – jakby nie było tu żywej duszy. I nagle pomiędzy wzgórzami nierealny widok – rozległa betonowa plama. To Il Grande Cretto (Wielkie Pęknięcie) – monumentalne dzieło land-artu. W tym miejscu istniała kiedyś Stara Gibellina.

Betonowy całun

W nocy z 14 na 15 stycznia 1968 r. o godz. 3.01 gwałtowny wstrząs o magnitudzie 6,4 rozdarł dolinę Belìce. W kilka chwil miasteczka obróciły się w gruzy. W ciągu następnych 10 dni ziemia drżała jeszcze 16 razy, a wstrząsy wtórne trwały pół roku. Do wielu miejsc ratownicy nie docierali całymi dniami – drogi były nieprzejezdne, informacje niekompletne, a pomoc chaotyczna. Jeden z pilotów biorących udział w rozpoznaniu terenu katastrofy powiedział: „To jak po wybuchu bomby atomowej. Przeleciałem nad piekłem".

Gibellina, Salaparuta i Montevago zostały zrównane z ziemią. 231 osób zginęło, niemal 70 tys. straciło dach nad głową. Rannych z trudem przetransportowano do szpitali w Palermo oraz mniejszych miastach Sciacca i Agrigento.

Tragedia w Belìce była pierwszą katastrofą naturalną transmitowaną na żywo przez włoską telewizję. Specjalne wydanie poprowadził Piero Angela. Po raz pierwszy Włosi z północy zobaczyli „biedę południa". Katastrofa odsłoniła nie tylko furię natury, ale także dekady zaniedbań i niewydolność państwa. Opóźnienia zmusiły tysiące ludzi do życia latami w barakach. Wielu wyemigrowało. Z tej tragedii jednak zrodziła się sztuka.

Autokar zatrzymuje się u stóp Wielkiego Pęknięcia. W upalne popołudnie nie ma tu nikogo. Powietrze faluje nad betonowym sarkofagiem. Bije od niego słoneczny żar i emocjonalny chłód. Sarkofag to moje pierwsze skojarzenie, symbol milczenia, ostateczności i pamięci.

Alberto Burri – mistrz destrukcji i materii – zaprojektował gigantyczny pomnik na miejscu gruzów Starej Gibelliny. Kiedy Ludovico Corrao, burmistrz Nowej Gibelliny, zaprosił go do współpracy przy budowie nowego miasta, Burri odpowiedział: „Tu nie mam nic do roboty. Zabierzcie mnie na miejsce, gdzie była Gibellina". Kiedy stanął na zboczu wzgórza, skąd można było zobaczyć ruiny, coś w nim pękło. „O mało się nie rozpłakałem – wyznał po latach. – Od razu poczułem, że tu mogę coś zrobić".

Tak narodził się projekt Il Grande Cretto. Budowany przez 30 lat od 1984 r., przerwany, ukończony dopiero w 2015 r. Rozciąga się na obszarze 80 tys. m kw. Nie odtwarza miasta, ale je przykrywa. Ulice i zaułki przekształcono w betonowe korytarze szerokie na 2-3 m. Bloki o wysokości 1,6 m powstały bezpośrednio

Tragedia w Belìce była pierwszą katastrofą naturalną transmitowaną na żywo przez włoską telewizję.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Il Grande Cretto (Wielkie Pęknięcie) – monumentalne dzieło land-artu. W tym miejscu istniała kiedyś Stara Gibellina.

Spacer po Parku Archeologicznym Selinunt to podróż w czasie.

z gruzów wymieszanych z cementem. Burri nie wzniósł pomnika obok miejsca tragedii, on przekształcił ruiny w pamięć.

Wspinamy się z trudem po nieistniejących ulicach. To jak spacer po cmentarzu bez imion i nazwisk. Na szczycie lekka bryza od morza. Patrzę w dół: biała, betonowa struktura przypomina spękaną ziemię. Labirynt ścieżek prowadzących donikąd. I nagle przychodzi inne skojarzenie: całun. Miękki całun pamięci, odciśniętej w pejzażu na zawsze.

Gdy odjeżdżamy z parkingu, przez okno autokaru obserwuję zrujnowany dom, jedyny, który przetrwał trzęsienie. Należał do nauczycielki. Ocalał dzięki mocnym fundamentom.

Gibellina Nuova – Stolica Sztuki Współczesnej 2026

Po trzęsieniu ziemi w styczniu 1968 r. Gibellina zniknęła z mapy. Wielu chciało ją odbudować, ale tylko jeden człowiek wiedział, jak nadać jej nowy sens. Ludovico Corrao – polityk, prawnik, wizjoner.

Zanim został burmistrzem Gibelliny (1969-1972 i 1974-1994), przeszedł długą drogę polityczną: od Chrześcijańskiej Demokracji, przez ruch milazzistów, po niezależną lewicę. Był deputowanym we włoskim parlamencie. Jako adwokat bronił Franki Violi, pierwszej kobiety, która na Sycylii odmówiła zawarcia „naprawczego małżeństwa" ze swoim gwałcicielem. Corrao wierzył, że sztuka może być narzędziem odkupienia. W latach 70. zaprosił najważniejszych artystów i architektów Włoch, w tym Alberta Burriego, Pietra Consagrę, Franca Puriniego i Ludovica Quaroniego. Nowe miasto powstało 20 km dalej, za to bliżej morza i dróg. Tak narodziła się Gibellina Nuova – galeria pod gołym niebem z ponad 60 dziełami sztuki współczesnej.

Wjeżdżając do niej, przejeżdżamy pod monumentalną „Bramą Belìce" Consagry, ustawioną tu w 1981 r. 26-metrowa gwiazda ze stali to portal między tragedią a odrodzeniem. Z daleka widać białą kopułę Kościoła Matki projektu Quaroniego, górującą nad urbanistycznym pejzażem. Plac 15 Stycznia 1968 r. (nazwa upamiętnia datę katastrofy – przyp. AZ) to serce miasta. Tu stoją „Wieża" Alessandra Mendiniego, przemawiająca głosami ze Starej Gibelliny, „Miasto Słońca" Marca Nerea Rotellego, fontanny, które stworzyli Andrea Cascella i Nino Mustica, oraz „Miasto Teb" Consagry. Pod arkadami geometrycznego ratusza kryją się ceramiczne panele Carli Accardi – dowód, że sztuka przeniknęła codzienność miasta, które w 2026 r. zostanie pierwszą włoską Stolicą Sztuki Współczesnej, po zwycięstwie w konkursie Ministerstwa Kultury.

W dawnym folwarku Baglio Di Stefano działa Museo delle Trame Mediterranee – Muzeum Tkanin i Opowieści, serce projektu burmistrza. To tu w 1981 r. narodziły się Orestiadi, festiwal przekształcony później w fundację, której Corrao przewodził do tragicznej śmierci w 2011 r.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Dyrektor Enzo Fiammetta oprowadza nas po kolekcji łączącej codzienność z awangardą. Obok „Latającego dywanu" Stalkera czy rzeźb Pomodora można zobaczyć dzieła włoskiej awangardy: Dorazia, Accardi, Turcata, Consagry, prace rzymskich popartystów: Schifana, Angelego i Festy, konceptualistów i postmodernistów: Boettiego, Isgrò, Beuysa, Varotsosa. Są też kilimy z Maghrebu, tunezyjska ceramika, hafty z Iraku oraz dzieło Polaka Krzysztofa Bednarskiego.

Na dziedzińcu stoi „Góra Soli" Mimma Paladina – scenografia do „Orestei" Ajschylosa, pierwszego spektaklu Orestiadi wystawionego w 1990 r. na ruinach Starej Gibelliny. Pierwotnie z soli, z czasem zastąpiona trwałym materiałem, pozostaje symbolem rytuału narodzin. Tekst Ajschylosa, przetłumaczony przez Isgrò na „poetycki sycylijski", stał się opowieścią o zwycięstwie sprawiedliwości nad zemstą. Festiwal gościł nazwiska tej miary, co Bob Wilson, Peter Stein, Philip Glass czy Goran Bregović.

Opuszczając Nową Gibellinę, raz jeszcze przejeżdżamy pod „Bramą Belìce". Miasto nie jest piękne w klasycznym sensie, ale surowe i nieoczywiste. Jednak właśnie w tym – w napięciu między formą a znaczeniem – kryje się jego siła. Sztuka współczesna nie daje odpowiedzi, lecz stawia pytania.

Selinunt – antyczne piękno

I oto naszym oczom ukazuje się wieczne piękno antyku – majestatyczne kolumny wznoszą się ku niebu, inne, połamane, leżą rozrzucone po ziemi. Wystarczy krótka podróż z interioru Belìce ku morzu, by znaleźć się w miejscu, gdzie czas zastygł. To Selinunt, jeden z największych parków archeologicznych Europy, rozciągający się na ponad 270 ha. Przemierzając jego ścieżki, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że przenosimy się do świata, który odszedł, ale nie przeminął.

Selinunt pachnie słońcem, morzem i dziką pietruszką, zwaną po grecku sèlinon – od niej wzięło nazwę miasto założone w VII w. p.n.e. Jego krótka, ale burzliwa historia to opowieść o nagłej zagładzie i powolnym umieraniu. Zanim pogrążyło się w ciszy i zapomnieniu, było jednym z najpotężniejszych miast greckich w zachodniej Sycylii, ostatnim bastionem Wielkiej Grecji.

Między rzekami Modione i Cottone przez dwa stulecia rozkwitała cywilizacja łącząca Grecję i Kartaginę. Liczący 25 tys. mieszkańców Selinunt imponował architekturą i śmiałością – założył nawet kolonię w Heraklei Minojskiej. Ambicje ściągnęły jednak nań zgubę: w 409 r. p.n.e. sprzymierzona z Kartaginą Segesta sprowadziła armię Hannibala Magona. Po dziewięciu dniach oblężenia miasto upadło – 16 tys. ludzi zginęło, 5 tys. trafiło do niewoli, a 2,6 tys. zdołało uciec.

Selinunt próbował raz jeszcze odrodzić się z popiołów. Hermokrates, przywódca wygnany z Syrakuz, zebrał ocalałych i osiedlił ich na akropolu. Odbudowano domy i mury. Miasto krótko służyło jako baza wypadowa do kampanii przeciw Kartaginie. Po śmierci Hermokratesa straciło znaczenie polityczne, przechodząc z rąk do rąk. W czasie I wojny punickiej, ok. 250 r. p.n.e., zostało złupione przez Rzymian, a później wchłonięte przez ich imperium.

Z czasem rzeki, które niegdyś żywiły tę ziemię, zatopiły ją błotem i malarią, a miasto opustoszało. Grecki geograf Strabon pisał, że już w I w. p.n.e. nie było zamieszkane. Przez kolejne stulecia pojawiali się tu tylko pustelnicy. W końcu potężne trzęsienie ziemi obróciło kamienne świątynie w sterty gruzów. W średniowieczu Arabowie próbowali jeszcze tchnąć życie w te ruiny, lecz nigdy nie udało się przywrócić mu dawnej świetności. I tak Selinunt stał się legendą.

W XIX w. Anglicy jako pierwsi rozpoczęli wykopaliska archeologiczne, zdając sobie sprawę z jego znaczenia. Park archeologiczny utworzono w latach 60. minionego wieku, dzięki pasji Sycylijczyka Vincenza Tusy.

Po raz pierwszy Włosi z północy zobaczyli „biedę południa". Katastrofa odsłoniła dekady zaniedbań państwa.

Dziś częściowo zrekonstruowany Selinunt zachwyca świątyniami i sanktuariami, które przetrwały 2,7 tys. lat.

Miasto rozciągało się na dwóch wzgórzach: na akropolu, przy morzu, stoją ruiny świątyń oznaczonych literami A, B, C, D i O, a dalej – pozostałości domów i nekropolie. Na wschodzie wznosiły się świątynie Hery oraz Zeusa, na zachodzie – sanktuarium Demeter i najstarszy cmentarz. Dwa porty znajdowały się przy ujściach rzek. Najbardziej zachwyca świątynia Hery z doryckimi kolumnami. Choć wykute w kamieniu, mają w sobie coś z miękkości ciała. W świetle popołudnia kamień ożywa – wystarczy odrobina wyobraźni, by usłyszeć kroki kapłanów i szelest kobiecych szat.

Spacer po parku archeologicznym to podróż w czasie. Ruiny świątyń i domostw przypominają o mieście, które było sceną jednego z największych dramatów starożytności. Tylko cykady nie zmieniły melodii – grają tak samo jak przed wiekami.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 6f0099b9cf

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Gabinetowizny

Kiedy nastaje nowy prezydent, wszystko musi być na początku nowe. I dla niego, i dla nas. Nowa kreacja jego żony – ocenia stylistka, nowy krawat – ocenia kostiumograf, nowe orędzie – ocenia językoznawca, spec od mowy ciała, dentysta i fryzjer. Pierwsza Rada Gabinetowa (a co to za dziwo???) – oceniają naród i media, wszyscy podnieceni. Rady Gabinetowe, choć są przewidziane przez Konstytucję RP (art. 141 ust. 1: W sprawach szczególnej wagi Prezydent Rzeczypospolitej może zwołać Radę Gabinetową. Radę Gabinetową tworzy Rada Ministrów obradująca pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej; ust. 2: Radzie Gabinetowej nie przysługują kompetencje Rady Ministrów), to jako formy obrad czy instytucje nie mają żadnej większej wagi. Przewiduję jednak, że bardziej adekwatne będzie określenie „nie miały". Bo będą miały. Nie dlatego, że wnoszą jakąkolwiek nową jakość do prac rządu czy prezydenta. Wręcz przeciwnie, ponieważ nie bardzo mają co wnosić, to zaczną odgrywać inną rolę, o której rzecz jasna autorzy konstytucji nie pomyśleli, bo nie wyobrażali sobie, że takie bezkształtne „ciało polityczne" może zacząć odgrywać świadomie zastępczą, uzurpacyjną rolę.

A tak będzie się działo, ponieważ nowy prezydent, jakoż i poprzedni, ma głód realnej, nieprzysługującej mu władzy. Niezbędne im jest nieustanne demonstrowanie sprzeciwu wobec rządu, niezależnie od tego, co by robił lub czego nie robił. Gabinetówki będą służyły do wychodzenia z niebytu politycznego, do proklamowania niekończącej się kampanii wyborczej, bo jej język nowy prezydent opanował. Ze snusem czy bez. Gabinetówki staną się zatem orężem i nieustannym szturmem medialnym. Można by powiedzieć: a cóż w tym złego, że rząd napotyka kontrę, że musi się czytelnie tłumaczyć, że konieczne są prezentowanie i obrona swoich poczynań? W takiej wizji nic złego nie ma, choć zaiste nie jest to owa „informacyjna" rola spotkań, jaką zakłada konstytucja.

W rzeczy samej, gabinetówki posłużą do poszerzenia pola walki. A paradoksalnie nie rząd jest ich adresatem. To kolejna platforma zwracania się do własnych wyborców i do tych potencjalnych, by komunikować w sposób systematyczny i nieustępliwy: rząd robi to źle, ja, my, zrobimy to lepiej, czas oddać władzę.

Można by pochwalić prezydenta Nawrockiego za taki sprytny pomysł, bardziej co prawda wypływający z doświadczeń innych sportów walki niż z bliskiego jego pięściom i głowie boksu – tu raczej przychodzi na myśl judo czy jiu-jitsu, gdzie wykorzystuje się energię ataku przeciwnika do skierowania go przeciw niemu. Gabinetówki stają się jednak dramaturgicznym, scenograficznym i kostiumograficznym uruchomieniem permanentnego trybu orędziowego. I choć w demokracji orędzia mają swoje niekwestionowane miejsce, to orędzie ciągłe, perora naokrągła służą już innej strategii, są taktyką walki zaczepnej, która nigdy się nie kończy. To wejście w tryb przymusu konfrontacji, oczywiście z całą retoryką „pojednania", „wspólnych działań", namysłu i odpowiedzialności.

Można oczekiwać, że ewentualna krytyka prezydenckiej aktywności gabinetowej skupi się na pobocznych wątkach, takich jak brak ogłady politycznej Nawrockiego, zagubienie, mało wysmakowana estetyka. Problem w tym, że to wszystko pracuje skutecznie dla jego obecnych i przyszłych zwolenników, przedstawicieli Polski, która niesie w sobie poczucie bycia odrzuconą, pogardzaną, lekceważoną, gorszą w końcu. I najprostszy z prostych komunikat będzie docierał z potężną siłą rażenia: prezydent się stara, chce, zależy mu, dopytuje, troszczy się, ma odwagę przeciwstawić się elitom, Tuskowi i tym wszystkim innym. Przyzwyczajmy się więc i rozpoznajmy, czym będzie nowy fenomen gabinetowizn w naszej politycznej codzienności.

Do owej nowej „swojskości", „zwykłości" Nawrockiego dobrze też dodać kilka uwag na temat decyzji wetujących. Zostawię już nieszczęsne wiatraki i powoływanie się na nieznane protesty społeczne. Słów parę napiszę o sprzeciwie wobec zamysłu podwyższenia akcyzy na alkohol. Polska dotknięta niewyobrażalną skalą problemu alkoholowego – 2-3 mln uzależnionych, wielokrotnie większa grupa współuzależnionych i ofiar pijących – stoi politycznie w szpagacie. Z jednej strony, istnieje ustawowa konieczność walki z alkoholizmem i zapobiegania mu, a z drugiej – państwo czerpie wymierne zyski z produkcji alkoholu i handlu trunkami.

Tu widać, że Nawrocki „czyta" podprogowy przekaz: wódka dobrem narodowym. Wódka dostępna, wódka tania. Ten przykład pokazuje, jak brak kompetencji społecznych nowego gospodarza Pałacu Prezydenckiego i prymitywny instynkt politycznego sukcesu demolują polską pijaną rzeczywistość.

No to cyk, za te nadchodzące gabinetowizny! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

epraso.pl/ofertaprasowa

Kuskus – batalia o dziedzictwo

Rywalizacja polityczna między Algierią a Marokiem przybrała nowy wymiar: kulinarny

Tomasz Skowronek

Od 2020 r. tarcia polityczne między Algierem a Rabatem nieustannie się nasilają, grożąc destabilizacją całego regionu Afryki Północnej i Sahelu. Szans na odprężenie jednak nie widać, dodatkowo szykuje się wojna o dziedzictwo kulturowe, a dokładniej kulinarne.

Skąd pochodzi kuskus?

Kuskus w centrum napięć dyplomatycznych między Marokiem a Algierią znalazł się już kolejny raz. Najpierw 12 czerwca podczas sesji pytań ustnych w algierskiej Radzie Narodu (odpowiedniku polskiego Senatu) Mohamed Meziane, minister komunikacji, ogłosił, że kuskus pochodzi z Algierii. Stwierdził, że Maroko „przywłaszczyło sobie to algierskie danie", o czym donosiły lokalne francuskojęzyczne media.

Minister przywołał przy tej okazji parę innych miejscowych wynalazków kulturowych, m.in. burnus (rodzaj obszernego płaszcza), charakterystyczną ceramikę zellige, a nawet popularne piosenki, i oskarżył sąsiadów o „zawłaszczenie kulturowe" i kulinarne, a nawet formę „grabieży", której się dopuścili, szczególnie w „czarnej dekadzie" (w okresie wojny domowej w Algierii w latach 1992-2002).

„Wszyscy historycy starożytności twierdzą, że kuskus pojawił się po raz pierwszy właśnie w Algierii", mówił Mohamed Meziane, powołując się na „dogłębne badanie przeprowadzone przez francuskiego historyka na początku ubiegłego wieku", jednak bez podania konkretnego źródła.

W lipcu Algieria ponownie oskarżyła Maroko o zawłaszczanie elementów dorobku kulturowego. „Nasz zachodni sąsiad bez skrupułów wykorzystał trudną sytuację Algierii w latach 90., aby realizować projekt mający na celu kradzież wszystkiego, co algierskie, w tym symboli ruchu oporu, naukowców, kultury, kuchni, architektury, pieśni oraz kuskusu", drążył Mohamed Meziane.

Oba kraje zmagają się z rosnącymi napięciami, zwłaszcza w kwestii Sahary Zachodniej. Ich granica lądowa jest zamknięta od 1994 r., a stosunki dyplomatyczne zostały zerwane w 2021 r. Teraz konflikt rozszerza się na sferę kulturową. „Stawką nie jest tylko potrawa, ale także walka o pamięć, dziedzictwo i prestiż",

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

jak pisze benińska gazeta „La Nouvelle Tribune".

Danie, które łączyło cały Maghreb

Badacze i szefowie kuchni podkreślają, że pochodzenie kuskusu jest trudne do ustalenia i nie podlega logice geopolitycznej. Media powołują się na historyczkę Lucie Bolens, która twierdzi, że pojawił się on na długo przed powstaniem granic między krajami Maghrebu. To biesiadne danie, jak pisze naukowczyni, było prawdopodobnie przygotowywane z jęczmienia przez Amazygów, czyli Berberów, rdzenną ludność Maghrebu, zanim w XII w. zaczęli przyrządzać potrawy z wykorzystaniem pszenicy durum.

Danie to, dziś będące odbiciem wewnętrznych sporów, niegdyś odzwierciedlało jedność Maghrebu. Kuskus, uwielbiany w Afryce Północnej i poza nią, w 2020 r. został dodany do Listy niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Kraje, które zgłosiły ten wpis – Algieria, Maroko, Tunezja i Mauretania – mogą się różnić, ale łączy je miłość do tej potrawy. „Kuskus, obecny na każdym wydarzeniu towarzyskim czy kulturalnym, jest jednocześnie zwyczajny i wyjątkowy", argumentowali przedstawiciele wspólnej prezentacji. „Zwyczajny ze względu na częstotliwość jego spożywania w rodzinnym gronie, a wyjątkowy – ze względu na jednoczącą rolę, jaką odgrywał podczas spotkań, kiedy dzielono się jedzeniem".

Poczucie przynależności do regionalnej wspólnoty i duch jedności bardzo jednak dzisiaj osłabły. Według byłego prezydenta Tunezji Habiba Burgiby Maghreb można by zdefiniować jako „miejsce, gdzie jada się kuskus". Pomysł ten nawiązywał do starszej definicji Maghrebu, która określała ten obszar geograficzny jako „miejsce, w którym mężczyźni golą czaszki, noszą burnus i spożywają kuskus". Tunezja również rości sobie prawa do tego dania, które uważa za główny element swojej tożsamości kulinarnej.

W przypadku kuskusu istnieją pewne regionalne różnice, lecz nie są związane z podstawą dania, czyli z puszystymi, gotowanymi na parze ziarnami, raczej ze smakiem gęstego gulaszu podawanego razem z nimi. Kuskus sam w sobie jest mdły, jednak przygotowany z mięsem lub rybą, pikantnymi gulaszami, ciecierzycą czy warzywami przybiera bardzo zróżnicowane smaki.

Kuskus, danie biesiadne, był prawdopodobnie przygotowywany z jęczmienia przez Amazygów czyli Berberów, rdzenną ludność Maghrebu.

Słynny tunezyjski szef kuchni Taieb Bouhadra powiedział, że jego kraj szczyci się ogromną różnorodnością rodzajów kuskusu. „Istnieje wiele odmian, prawie każdy dom ma własne ziarno", zwrócił uwagę właściciel restauracji El Ali na starym mieście w Tunisie. Kuskus przygotowuje się tutaj z pszenicy lub jęczmienia, a czasami z kukurydzy, prosa lub sorgo, które są mielone na semolinę.

Istnieje wiele odmian kuskusu, prawie każdy dom ma własne ziarno.

Z niej formuje się peletki (małe kulki), które się przesiewa, a następnie moczy i wielokrotnie gotuje na parze.

„Kobiety odgrywają szczególną rolę w przygotowywaniu dania, a także w praktykowaniu i zachowaniu związanych z nim symbolicznych systemów wartości", wyjaśnia Bouhadra. Dziewczęta uczą się nie tylko technik, ale również „pieśni, gestów, charakterystycznych wyrażeń i organizacji rytuałów", które towarzyszą temu procesowi.

Słodki czy słony, nieodporny na wstrząsy

W Tunezji kuskus przyprawia się harissą (ostrą pastą) i dodaje do niego owoce morza. W Algierii i Maroku istnieje słodka odmiana kuskusu, posypana migdałami, cynamonem i cukrem, zwana sfouf. W Maroku jada się też danie o nazwie tfaya, z karmelizowaną cebulą, rodzynkami i migdałami, podawane z jagnięciną lub kurczakiem i z kuskusem.

W Libii słodka odmiana kuskusu, nazywana maghrood, przygotowywana jest z daktylami, sezamem i miodem. Podobnie w Egipcie – kuskus jest podawany jako deser z masłem, cukrem, cynamonem, rodzynkami i orzechami oraz z bitą śmietaną.

Kuskus obecny jest nawet w Izraelu. Izraelczycy jedzą odmianę tego dania zwaną ptitim, przygotowywaną z większych kulek.

Spór o kuskus to przypomnienie, że nawet tradycje kulinarne nie są odporne na konflikty polityczne. W afrykańskich i francuskojęzycznych mediach można przeczytać krytyczne opinie na temat działań Algierczyków. Od kilku lat bowiem to Algieria prowadzi prawdziwą kampanię zawłaszczania kulturowego, wymierzoną w dziedzictwo marokańskie. Ukazuje ona głęboką polityczną i mentalną degrengoladę algierskiej klasy rządzącej, która kłóci się o błahostki, podczas gdy kraj stoi przed poważnymi wyzwaniami w sferze bezpieczeństwa.

Uznawanie przez kolejne kraje marokańskiego planu dla Sahary Zachodniej (ostatnio przez Wielką Brytanię), fatalne stosunki z Paryżem, ryzyko wojny handlowej z Unią Europejską, południowa flanka podburzana przez grupy dżihadystyczne i Rosję, rosnące wpływy Zjednoczonych Emiratów Arabskich w Maghrebie...

Algieria stoi w obliczu zagrożeń dla jej podstaw geopolitycznych – problemów znacznie poważniejszych niż walka o kuskus, który i tak został wpisany na listę UNESCO. ■

eprasa.pl 6f0099b9cf

Z biskupem w siódmym niebie

Waldemar Pytel potrafił się odnaleźć w trudnych przemianach społecznych i nowych realiach

Beata Dżon-Ozimek

W Świdnicy skończyła się pewna epoka. Mijają cztery dekady, odkąd pewien „góral niskopienny" zaczął tam pracować na rzecz Kościoła Pokoju i parafii luterańskiej. Bp Waldemar Pytel właśnie odszedł na emeryturę.

Młody teolog po studiach w Warszawie wyruszył na zachód, by wspólnie z żoną Bożeną objąć niezwykłą placówkę, słynny Kościół Pokoju w Świdnicy. Był rok 1986. Pierwsze, co powitało przybyszów na miejscu, to dźwięki muzyki dochodzące z zabytkowego kościoła, a obiekt liczył sobie wtedy 329 lat. Odtąd przez niemal 40 lat Waldemar Pytel troszczył się o materię największej barokowej drewnianej świątyni Europy i o ducha nie tylko przeszło setki miejscowych parafian Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ale też niezliczonych „parafian gościnnych", poszukujących natchnienia. Potrafił się odnaleźć w nowych ustrojach, trudnych przemianach społecznych i nowych realiach.

To miejsce pracy, a zarazem życia proboszcza, z czasem biskupa diecezji wrocławskiej, jest jak wszechświat możliwości i zadań. – Widzi pani te odrestaurowane obiekty? To nasza luterańska enklawa, taki mały Watykan w centrum miasta. Tu bardzo dużo rzeczy się działo, ale tak, żeby nikt nie czuł się zobowiązany do czegoś. Jestem daleki od „łowienia". Przed laty cały plac Pokoju był np. dziergany koronkami, a w budynku, gdzie dziś jest restauracja 7Niebo, odbywały się spotkania przy kawie i rodziły pomysły – opowiada biskup.

Siedzimy pod starymi drzewami, do kościoła ustawia się kolejka na koncert tenora Rolanda Villazóna, człowieka instytucji, gościa 26. edycji Festiwalu Bachowskiego. Co chwila ktoś podchodzi, by witać się z wieloletnim gospodarzem tego miejsca, m.in. Irena Santor czy premier Hanna Suchocka.

Bp Waldemar Pytel z żoną.

– Lata temu przy okazji rocznicy śmierci Jana Sebastiana Bacha wpadliśmy z Janem Tomaszem Adamusem na pomysł zorganizowania Festiwalu Bachowskiego. W naszym archiwum znajdował się list (niestety zginął, ale ktoś gdzieś go spisał, znalazł się w książce „Bach Dokumente"), w którym Christoph Gottlob Wecker, kantor Kościoła Pokoju, pisał do Bacha, swojego mistrza i nauczyciela, z prośbą o partyturę „Pasji według św. Mateusza", którą chciał w kościele wykonać. Dla nas to był świetny pretekst do tego, żeby coś organizować – biskup wspomina początki festiwalu. – Proszę sobie wyobrazić te tłumy na pierwszym koncercie: 32 osoby. Nie było to łatwe także ze względów finansowych. Zajmowałem się zdobywaniem funduszy. Wydawało mi się, że to nie ma sensu, ale sens był. Jak sobie coś postanowię – a jestem niskopiennym góralem z Jaworza ze Śląska Cieszyńskiego, więc trochę zadziornym – to się tego trzymam. Uznałem, że to zbyt wartościowa inicjatywa, a Adamus jest zbyt cennym człowiekiem, by rezygnować – mówi bp Pytel.

27 wejść i 200 na 200

7Niebo mieści się w dawnym domku stróża, ale mieszkał tam też w XVIII w. świdnicki pastor i poeta Benjamin Schmolck, autor 1,2 tys. pieśni, do dziś śpiewanych przez luteranów. Cały rok jest pełne ludzi, chętnie fotografowane, to jeden z pomysłów na ożywienie tego miejsca, dla gości – ucieczka od pośpiechu, dobre jedzenie, wino, rozmowy w przestrzeni otoczonej kilometrowym starym murem. Teren wyznaczony dla kościołów pokoju w XVII w. mierzył 200 na 200 kroków. Barokowy Zakątek, zabytkowy cmentarz, plac Pokoju, wszystko wiedzie do drewnianego kościoła z 27 wejściami, z drzwiami w kolorach zaskakująco intensywnej czerwieni i fioletu.

Za czasów proboszcza Pytla świdnicki Kościół Pokoju zyskał rzeczywiste zabezpieczenie jako dzieło architektury drewnianej, odzyskał blask, do tego zajął mocne miejsce na

eprasa.pl 6f0099b9cf

mapie kulturalnej Europy, no i trafił na listę UNESCO.

– Został wpisany na listę światowego dziedzictwa w 2001 r. jako „niepowtarzalne świadectwo wiary, wspólnoty religijnej oraz rozwiązań architektonicznych". Na Dolnym Śląsku mamy na liście jeszcze tylko Halę Stulecia we Wrocławiu i Kościół Pokoju w Jaworze – podkreśla duchowny.

Nie wyczuwam u bp. Pytla tęsknoty za szefowaniem parafii i kościołowi, który jest „modlitwą zamienioną w architekturę". Dzisiejszy stan miejsca to praca jego i żony. A w międzyczasie wprowadził następcę, ks. Pawła Melera, duchownego o pięknym głosie, czym także pozwala się delektować ta drewniana świątynia.

Kościół został wpisany na Listę światowego dziedzictwa UNESCO w 2001 r. jako „niepowtarzalne świadectwo wiary, wspólnoty religijnej oraz rozwiązań architektonicznych".

Za czasów proboszcza Pytla świdnicki Kościół Pokoju odzyskał blask.

– W tym roku chodzimy z nosami do góry, bo koncerty, które się odbywają poza Świdnicą, poza Kościołem Pokoju, przechodzą nasze wyobrażenie. Nie ma miejsc! To znaczy, że pośród tego bałaganu ludzie potrzebują dystansu, odniesienia, jakiegoś oparcia – cieszy się bp Pytel. I zaznacza, że gdyby nie mistrzostwo Jana Tomasza Adamusa, jego niezliczone znajomości artystyczne, ale też lata determinacji z obu stron, może festiwalu by nie było. – Przyznam, że i my z małżonką osłabliśmy w pewnym momencie, i Tomasz osłabł, ale nie daliśmy się i teraz to widać. Adamus powiada, że Kościół Pokoju to jedna z najpiękniejszych sal muzycznych w Europie. Uwielbia tu grać, artyści chętnie tu wracają. Czasami nie są w stanie tego zidentyfikować, ale gra im się tu świetnie i przekaz jest wyjątkowy. Muzyka to język, który mówi do ludzi, wycisza i zbliża. Może być też modlitwą w kontekście tego barokowego kościoła.

Rozmawiamy w sobotę, a w niedzielę, ostatni dzień Festiwalu Bachowskiego, zwykle odbywają się nabożeństwa kantatowe. – Okazało się, że ludzie nie wiedzą, dlaczego te kantaty powstawały, czemu Bach je pisał. Szukaliśmy pomysłu na nabożeństwa kantatowe, kolega wkładał szaty jak z XVIII w., ale uznałem, że liturgia będzie współczesna. Pierwsze zainteresowanie było takie sobie, ale od kilku lat są tłumy. Po wykonaniu kantaty jest kazanie na jej temat, tłumaczymy, że Bach miał niesamowitą robotę, pisał kantaty na każdą niedzielę i święto, mówimy o jego losie. Gdy ludzie znają kontekst, inaczej odbierają muzykę. Te kantaty są niezbywalną częścią Kościoła luterańskiego. Miałem nawet nieoficjalne wizyty z kurii Kościoła katolickiego, czy aby nie wykorzystujemy nabożeństw, żeby powiedzieć: „Chodźcie do nas, bo nasz Kościół jest cudowniejszy" – uśmiecha się duchowny.

Tajemnice i światło

– Oczywiście, że są miejsca, których nie dotknąłem, kościół nadal kryje wiele tajemnic. W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę z małżonką, że nie uda nam się zrobić wiele małymi krokami, że są potrzebne większe środki. Kiedyś zapytano nas podczas festiwalu, kiedy usłyszymy koncert organowy. Powiedziałem przy pełnym kościele, że w tym tempie zbierania środków zapraszam na inaugurację za 253 lata. Dzięki funduszom norweskim po dwóch latach restauracji organy brzmią, a mamy dwa instrumenty w kościele – przyznaje biskup odnowiciel.

Potem były inne fundusze europejskie, obecnie realizowany jest projekt dla obiektów UNESCO i pomników historii polskiej z funduszy FEnIKS. – Ciągle coś nowego się dzieje, coś nowego odkrywamy, choćby w czasie prac restauratorskich, np. pierwotną kolorystykę – jakiś fatalny brąz skrywał pierwotny fiolet. Albo ktoś odrywa deskę, a tam XVIII-wieczna batuta, którą otwieramy teraz festiwal. Kiedy chodzę po różnych zakamarkach,

FOT. BEATA DŻON, ARCHIWUM PRYWATNE, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 6f0099b9cf

dostrzegam kolejnego anioła. One są niepoliczalne.

A że to niezwykłe miejsce, świadczy chociażby droga słońca po wnętrzu. – Są takie momenty, że słońce przed południem idealnie oświetla ambonę, instrument organowy albo symbol Ducha Świętego. Późnym popołudniem latem oświetla poszczególne elementy, wielu uczestników koncertów myśli, że to reflektor, a to słońce przechodzi przez północno-zachodnie okna górne, oświetlając figury na ołtarzu. Tak to zostało zaplanowane i świadczy o zmyślności i perfekcji projektowania tego kościoła, ale i wysokości ołtarza.

W tak ciekawym wnętrzu pojawiają się wspaniali artyści, a publiczność ma odwagę reagować żywiołowo. – Artyści stają się naszymi przyjaciółmi, często siedzimy przy lampce wina do późna i rozmawiamy. Pozostawiam przestrzeń do kreowania tego festiwalu Adamusowi, bo wiem, że sztuka wymaga otwartości, a sacrum miesza się z profanum. Kościół jest dla wszystkich, ale nie dla wszystkiego i są oczywiście pewne granice, ale to granice estetyki i dobrego smaku. Wystąpił u nas Samuel Mariño – dla niektórych był dziwacznie ubrany, ale jeżeli czuł, że tak ma wyglądać, że to mu pozwalało na wydobycie ekspresji jego muzyki, nic nam do tego – mówi współtwórca Festiwalu Bachowskiego. Sam nie pyta też, kto do kościoła wchodzi, wierzący czy niewierzący. – Nie segregujemy ludzi. Oczywiście nie ma wejścia do Kościoła Pokoju dla Bąkiewicza i jemu podobnych, te słowa padają jasno z ambony. Z takimi poglądami kościół walczy – neguje je i głośno o tym mówi. Nawołujemy do budowania pokoju, a nie robienia bałaganu między ludźmi.

Budowanie i burzenie

Bp Pytel od 1989 r. bierze udział w budowie relacji polsko-niemieckich w nowych warunkach ustrojowych. Nie zawsze było łatwo, i ze strony polskiej, i z niemieckiej. Usłyszał, że póki będzie się mówić po polsku w Kościele Pokoju, wsparcia z danego miejsca nie będzie.

– Kiedyś podczas oprowadzania grupy po kościele pewna pani zapytała, skąd znam tak dobrze język polski. Podziękowałem, to naprawdę miłe, ponieważ uważam, że mówienie w naszym ojczystym języku jest skomplikowane i trudne. „No bo ksiądz jest Niemcem”, dodała kobieta. „O, to pani wie więcej niż ja. A skąd to przekonanie?”. „Stąd, że to jest kościół niemiecki”. „Wie pani, jesteśmy w Świdnicy na Dolnym Śląsku. Dolny Śląsk należy do Polski, o ile się nie mylę”. Moja rodzina z dziada pradziada była rodziną polską, z małej ojczyzny na Śląsku Cieszyńskim. Kiedy jechałem do Warszawy, rzeczywiście babcia mnie pytała: „Synku, a kany ty jedziesz tam do tej Polski?”. Bo dla niej ojczyzna to było to miejsce, gdzie ona mieszkała.

> Sztuka wymaga otwartości, a sacrum miesza się z profanum. Kościół jest dla wszystkich, ale nie dla wszystkiego.

Burzenie stereotypów okazuje się jednym z najtrudniejszych zadań. – Kościół Pokoju był kiedyś otoczony płotem z bramą wjazdową, były tylko kościół i plebania. Enklawa z placem Pokoju należała do miasta, tu mieszkali ludzie. Przejęliśmy i odrestaurowaliśmy budynki, zburzyliśmy płoty, ale to nic w stosunku do tego, jak walczyliśmy o zmianę mentalności i sposobu myślenia – przyznaje biskup.

Gościł tutaj Tadeusza Mazowieckiego, Helmuta Kohla, szwedzką parę królewską czy Dalajlamę XIV, który odmówił siadania na specjalnym tronie, chciał być na równi z innymi. – To nie była modlitwa, ale nasza wspólna myśl i wspólne bycie w miejscu, które powstało po okropnej wojnie, jednej z najtragiczniejszych, żeby było przestrogą i punktem, gdzie ludzie doświadczą pokoju. Także Festiwal Bachowski jest przestrzenią do tego.

Zresztą społeczność luterańska bardzo się zaangażowała od początku wojny w pomoc Ukraińcom. – Oddaliśmy jeden budynek mamom i dzieciom, 22 osobom. Przygotowaliśmy pomieszczenia w ciągu trzech nocy. To była też praca z tymi ludźmi, niektórzy wyjeżdżali, jedni dziękowali, drudzy nie, ale nie o to chodzi. Dostali pomoc. Zapewniliśmy im zatrudnienie, są solidni, pracowici, nie chcą wracać, czują, że tu dostali serce.

Społecznik bp Pytel postawił sobie przed laty trudne zadanie, żeby kościół, zbudowany celowo poza murami miasta, stał się częścią jego tkanki i centrum życia kulturalnego. – Ta praca długo trwała, czy przyniosła efekt, trudno mi powiedzieć. Mam wątpliwości, ale co miałem uczynić, to uczyniłem.

Kilka lat temu zaczął z ciekawości liczyć na nabożeństwach osoby spoza parafii. Czasami ludzie wchodzili, wychodzili, robili zdjęcia, proboszcz przerywał kazanie, prosił, by uszanować nabożeństwo. Po pandemii sporo osób zaczęło przychodzić rzeczywiście na nabożeństwa.

– Mam zwyczaj, jak wielu luterańskich duchownych, żegnania osób wychodzących z kościoła, zamiany kilku słów, jeżeli ktoś chce rozmawiać. Czasami widziałem, że ktoś wychodzi wcześniej, szanujemy anonimowość, przyświeca nam to, że kościół jest tylko wtedy kościołem, jeżeli jest dla innych. I ta inność nie powinna nikogo z niego wykluczać. Mając taki skarb, jakim jest Kościół Pokoju, w dzisiejszym świecie, gdzie ludzie czują się zagubieni, poranieni, szukają intymności, duchowości, powinniśmy to dać na tyle, na ile potrafimy.

Pobycie w luterańskiej enklawie, wypicie kawy z biskupem, i to w 7Niebie, pozwala poczuć, że państwo Pytlowie ze swoją wspólnotą i przyjaciółmi stworzyli inne centrum Świdnicy. Marzy im się zresztą dalszy rozwój Kościoła Pokoju, to poniekąd ich dziecko. – Dzieci się nie opuszcza. Oczywiście już nie w sposób formalny, administracyjny, ale taki od serca będziemy przy Kościele Pokoju, będziemy wspierać wszelkie działania. I proszę mi życzyć, żebyśmy mogli wreszcie żyć w pokoju i ten pokój między sobą budować – podsumowuje bp Pytel.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

Oko w oko

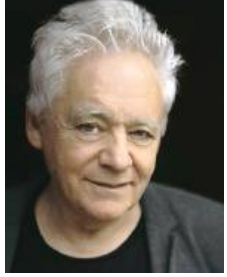

Tomasz Jastrun

Ser szwajcarski

Nysa, leżę na hotelowym łóżku przed ekranem telewizora i widzę, jak na Alasce Trump łazi na czworakach i rozściela czerwony dywan dla Putina. Potem Norymberga, miasto, które źle się kojarzy, bo ustawy norymberskie i procesy norymberskie. Hotel na obrzeżach, metrem do starego-nowego miasta. Niewiele ocalało z wojny, ale są piękne fragmenty, gotycka katedra, trochę kamienic, w tym Dürera, niebywała późnogotycka fontanna, całość pozszywana powojennymi budynkami, ale na starym planie, więc to się broni. Liczne promenady, ciasne uliczki tętnią życiem, tłumy młodych, bardzo dużo ludzi o różnym kolorze skóry, od brązu do czerni, uderza ta rozmaitość, to są ci obcy, którzy tak przerażają Polaków, a zdają się tu dobrze zadomowieni. Hitler przegrał tę wojnę podwójnie. W jakimś zaułku w czerwonym oknie wabi panienka lekkich obyczajów, to też jest wolność.

Na granicy niemiecko-szwajcarskiej nad Renem, po szwajcarskiej stronie, elektrownia atomowa. Jej ogromny komin o hiperbolicznym kształcie chłodzi wodę używaną do studzenia skraplacza turbiny. Uderzyło mnie, jak ten obiekt przypomina Świątynię Opatrzności Bożej, tylko że atomowy komin ma bardziej estetyczną formę niż kopuła naszej budowli. Ta katastrofa estetyczna wiele mówi o polskim Kościele.

Jeździmy po Szwajcarii, zapierające dech krajobrazy, miasteczka z czułymi rynkami, pływanie w Jeziorze Genewskim z widokiem na ośnieżone szczyty Alp. Wielka Przełęcz św. Bernarda opisana przez Słowackiego. W Lozannie tropię miejsca, gdzie chadzał na swoje wykłady Mickiewicz, tam pisał „Liryki lozańskie", ostatnie krótkie i piękne wiersze, tworzył je po latach milczenia, gdy miał stracić talent.

W panoramicznym oknie naszego domku wspaniały widok na muskularne Alpy w czapach śniegu podnosi na duchu. Kraj omijany przez wojny. To widać i to się czuje. Genewa biała, ładna, ale trochę nudna. Denens, wieś, w której mieszkamy, z rondem im. Ignacego Paderewskiego; na tym rondzie jego profil, w pobliżu miał posiadłość.

Byłem w Szwajcarii wiele razy, pierwszy w roku 1988. Dopiero teraz nie przeżywam tu szoku cywilizacyjnego i poczucia, że jesteśmy z innej planety, genetycznie gorsi. Zamieniło się to w poczucie, że jesteśmy niedorobieni, też z winy historii. To jednak się zmienia. Sklepy u nas często bogatsze, nowa architektura nie gorsza, tu także się zdarzają chamscy kierowcy. Jest nadzieja, że kiedyś dystans da się nadrobić. A jeśli nadrabianie się odwlecze, nawet o stulecie, to z winy zatęchłej polskiej prawicy.

Francja tuż-tuż, choćby po drugiej stronie jeziora; przekracza się granicę, nie zdejmując nogi z gazu. Zaniedbane pobocza, Francja jednak też jest zrobiona z gorszej materii niż Szwajcaria. Yvoire, malutkie, średniowieczne, kamienne miasteczko jak z bajki. Młoda, ładna kelnerka mówi po polsku. Tu się urodziła, jej mama jest Polką. I znowu pływanie, tym razem z widokiem na góry po drugiej stronie jeziora, nazywanego tu Lemańskim.

•

Odgłosy z Polski, ale nie burzy, wstyd powiedzieć, z czym się kojarzą. Nawrocki, błazen natchniony mocą, wywija cepem weta, który mu się zdaje świetlistym mieczem. Straszny widok. Jaka szkoda, że u nas wszystko się paskudzi. Odwieczna potęga polskiej autodestrukcji.

Nawrocki wywija cepem weta, który mu się zdaje świetlistym mieczem.

•

„Apelujemy, abyście nie wyrażali zgody na udział Waszych dzieci w tych demoralizujących zajęciach", przekazali w liście do rodziców biskupi, krytykując wprowadzenie edukacji zdrowotnej w szkołach. Święta racja. Edukować seksualnie dzieci powinni księża pedofile.

•

„Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Demokracja w Polsce, tak jak rozumie ją świat Zachodu, wisi na jednej nitce, na Donaldzie Tusku i kilku osobach podobnie jak on zdeterminowanych w staniu przy niej (…) i nic nie wskazuje, że się pojawi inna siła, która w tej roli KO zastąpi (…)". Tak pisze Waldek Kuczyński, tak ja też czuję. Tusk musi więc udowodnić, że jest genialnym politykiem, a czasami mam wrażenie, że on wie, że musi to udowodnić.

•

Popularność tekstu Jarosława Kurskiego z taką tezą: „Na nic się zdały ustępstwa, podlizywanie się prawicy i ciągłe gadanie o wspólnocie Polaków. Strategia ulegania presji prawicy jest bezowocna. Gorzej! Skłania ją do eskalowania kolejnych presji". Ale jeśli takim błędem był skręt w prawo, a nie na lewo, to czemu lewica uzyskała tak słaby wynik w wyborach? I dlaczego skręt na prawo jest tendencją światową?

•

Już widać, że PiS po fobii antyimigranckiej zaczyna budować niechęć do Ukraińców. Zniszczą wielki gest, który Polacy wykonali wobec zaatakowanych sąsiadów. Wszystko to, co w nas najlepsze, będzie poniżone, a co najgorsze – ukrzepione. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f0099b9cf

SIEKIERY, KAPLICZKI, ROWERY

CZYLI MUZEA DALEKO OD SZOSY

Anna Wyrwik

Jeżdżąc po Polsce, mija się przydrożne krzyże i obowiązkowe znaki drogowe, bilbordy, plakaty, szyldy, tablice. A na tych tablicach można czasem wyczytać, że gdzieś tam przy drodze jest muzeum, i to takie zupełnie nieoczywiste.

Gdyby takich wariatów było więcej

– Ten zrobiłem w 2018 r., by uczcić stulecie odzyskania niepodległości – Józef pokazuje biało-czerwony rower z pokręconą ramą. – Ręce trzymamy na białym, stopy na czerwonym, reszta na czerwonym, a rama to symbol naszej pokręconej historii.

Wieś Gołąb leży na prawym brzegu Wisły, w województwie lubelskim, 13 km na północny wschód od Puław i ok. 60 km od Lublina. Mieszka tu 2 tys. osób, a wśród nich Józef Majewski. Urodził się tutaj, potem wyjechał się kształcić i tak trafił na Politechnikę Warszawską. Później wrócił, by uczyć fizyki i techniki w technikum zawodowym w pobliskim Dęblinie. W okularach i z białą, kozią bródką wygląda jak podręcznikowy profesor.

Jako nauczyciel szukał pomysłu na temat uczniowskiego dyplomu i wtedy zobaczył projekt redaktora „Świata Młodych", Marka Utkina – rower poziomy, czyli taki, którym jeździ się w pozycji prawie leżącej, kręcąc pedałami zamontowanymi na przednim kole.

Wtedy, w latach 80., Józef zaczął tworzyć kolekcję. Muzeum Nietypowych Rowerów założył w roku 2006.

Siekiery są gotowe do pracy, więc gdy zaczęła się wojna w Ukrainie, Krzysztof mógł kilka podarować ukraińskiemu wojsku.

– Chcecie państwo obejrzeć rowery? – Józef pyta parę turystów, która podchodzi do furtki. Jako zawodowy przewodnik turystyczny tłumaczy im, że warto najpierw odwiedzić tutejsze Sanktuarium Matki Bożej Loretańskiej w stylu renesansowo-manierystycznym. Idą więc do kościoła, z którego znany jest Gołąb, a potem wracają do muzeum, z którego dzisiaj wieś jest znana jeszcze bardziej, i rozpoczyna się prezentacja. Józef zaczyna od historii roweru, opowiada o Karlu Draisie, który w 1816 r. skonstruował pierwszy rower, od nazwiska konstruktora nazwany drezyną. Jazda na nim polegała na odpychaniu się stopami od ziemi, ponieważ nie miał jeszcze pedałów. Można było osiągnąć jakieś 15 km/godz.

Następnie Józef pokazuje model, który sam zmontował na podobieństwo XIX-wiecznych bicykli, czyli małe koło z tyłu, duże z przodu i przy nim pedały. – Stawiamy nogę na pedale, który jest u góry, i nie kopiemy, bo wtedy rower skręci, ale odpychamy się i jedziemy – jak mówi, tak robi i jedzie dookoła podwórka.

Jesteśmy przed jego rodzinnym domem. Rowery stoją wszędzie, na drewnianej szopie wiszą ramy rowerowe, w jednym z budynków jest magazyn rowerów, a przed nim Józef siedzi na siodełku rowerowym, umocowanym na ramie postawionej na ziemi. Opowiada o Johnie Stanleyu, który w 1885 r. stworzył to, co dziś nazywamy rowerem, czyli jednoślad o dwóch równych kołach, z napędem na tylne i skrętną kierownicą.

– Większość starych marek samochodowych przed samochodami produkowała rowery – zwraca uwagę, pokazując 100-letnią szosówkę marki Mercedes. – I to jest koniec historii roweru, bo teraz będziemy mówić o przyszłości.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Kilka lat temu zbudowałem stolarnię, kupiłem trochę narzędzi, w tym parę siekier, dziś mam ich 2 tys. – mówi Krzysztof.

Klucz schowany jest w jednej z kapliczek. Każdy, kto przejeżdża, może otworzyć i wejść. Tak powinno wyglądać przydrożne muzeum.

Józef wyciąga z magazynu kolejne modele i jeździ na nich dokoła podwórka. Jest mały składak z ramami w trójkąt, czyli „tendencja do miniaturyzacji". Rower-hulajnoga, na której jadący się buja – „tego nie nazywam rowerem przyszłości, bo to taka zabawka". Rower dwuspadowy ze skrętnym tylnym kołem. Rower, który poskakuje, gdy się na nim jedzie, bo tak Józef zamontował koła. Rower ze zwiniętej blachy. Rower do transportu bańki z mlekiem, butli z gazem czy nawet pralki Frania. Rower, który skręca w prawo, gdy kierownicę skręci się w lewo, i na odwrót. Jest też ten niepodległościowy.

– Mam prawie 100 rowerów, a mniej więcej jedna trzecia została zrobiona przeze mnie lub pod moim nadzorem – wyjaśnia Józef. Po czym wyciąga niebieski rower z siodełkiem z tyłu, coś na kształt choppera. – Przejechałem nim ze Świnoujścia, wzdłuż wybrzeża, do Trójmiasta i dalej, łącznie 600 km, po 200 km dziennie – wspomina. – Udało się to dzięki temu, że jechałem na wschód, a wiatr wiał zachodni, że rowery z takimi siedzeniami stawiają mniejszy opór i że byłem młodszy o 20 kg.

Z rowerów fabrycznych Józef ma plastikowy rower ze Szwecji, 100-letni rower z Włoch, replikę powstałego w 1893 r. modelu Dursley-Pedersen, od nazwiska duńskiego wynalazcy Mikaela Pedersena i brytyjskiego miasta, gdzie te konstrukcje były produkowane, rower z wypożyczalni, składak…

– Nastawiam się na edukację, ale jednym z głównych celów istnienia muzeum jest chęć uatrakcyjnienia miejscowości – mówi Józef. – Gdyby takich wariatów było więcej…

Na szczególną uwagę zasługuje kapliczka pewnego Sybiraka, która z Syberii wróciła z nim do Polski.

Po czym stwierdza, że u niego jest największe zagęszczenie prywatnych muzeów na jedno podwórko, bo aż dwa. I pokazuje Muzeum Pijaństwa za drzwiami obok, gdzie stoją setki butelek, w tym zaprojektowana przez Salvadora Dalego butelka globus, butelka czaszka, butelka gitara, trąbka, skrzypce, saksofon, butelka w kształcie kolumny Zygmunta i nawet butelka z Korei Północnej.

Za każdą kryje się historia

Ponad 220 km na północ od podwórka Józefa Majewskiego, w dolinie górnej Narwi, w województwie podlaskim, pod Białymstokiem, leży Suraż. To niemal tysięczne miasteczko, w którym przy drodze stoi drewniany dom, a wokół niego i w nim jest Muzeum Kapliczek. Założył je w 2008 r. Ryszard Niedzielski. Był prawnikiem i muzykiem, a nie stolarzem, ale wykonał obudowy do wszystkich kapliczek w muzeum. W nich poumieszczał figury kupowane przez lata na targach staroci czy podarowane przez ludzi.

Zmarł w 2023 r. i dlatego o muzeum opowiada mi jego żona, Krystyna Niedzielska. – Inspiracją był wyjątkowy klimat kapliczek przydrożnych. Wszystkie są autorstwa mojego męża. Żadna nie jest przywieziona, ponieważ kapliczki powinny być tam, gdzie ktoś je ustawił z określoną intencją – podkreśla. – Głównym celem Ryszarda było ocalenie figur od wyrzucenia. Młodzi nie wiedzą, co z nimi zrobić. A przecież za każdą z nich kryje się jakaś historia. Te większe być może były nawet na wyposażeniu kościołów w Europie Zachodniej.

Z Krystyną Niedzielską rozmawiam zdalnie, bo gdy jestem w Surażu, jej akurat nie ma, ale jest numer telefonu. Przez telefon instruuje, że klucz do muzeum schowany jest w jednej z kapliczek. Każdy, kto przejeżdża, może otworzyć, wejść,

eprasa.pl 6f0099b9cf

obejrzeć i zamknąć. Tak powinno wyglądać przydrożne muzeum.

Chodzę i oglądam. Matki Boskie, Jezusy, święci i postacie z Biblii poumieszczane są w kolejnych kapliczkach, a one stoją i wiszą na ścianach domu; te większe wystają z trawy czy opierają się o drzewa. Krystyna opowiada dalej: – Na szczególną uwagę zasługuje kapliczka pewnego Sybiraka, która była na Syberii, a potem wróciła razem z nim do Polski i została odkupiona od jego wnuczka. Ciekawa jest też kapliczka z figurą Matki Boskiej przywiezioną z Maroka, wykonaną z drzewa arganowego.

Jak w każdym z przydrożnych muzeów, tak i tu jest księga gości, a w niej wpisy z Europy, USA, Azji, z całego świata. Ponoć na jednym Francuzie kapliczki zrobiły takie wrażenie, że po ich obejrzeniu – jak mówił – zrozumiał sedno zamkniętej w nich wiary.

Oddolna inicjatywa w każdej wsi

– Ktoś powie: co jest takiego ciekawego w muzeum siekier? To nie znaczki pocztowe czy obrazy – przyznaje Krzysztof. – Ale siekiera jest z człowiekiem od zarania dziejów, od samego początku! I jako jedno z najważniejszych narzędzi idzie z nim przez tysiące lat.

Jadąc dalej na północ województwa podlaskiego, można dotrzeć do gminy Knyszyn, a w niej do malutkiej wsi Wojtówce, gdzie głównie łąki i pagórki. Za jednym z nich stoi rodzinny dom Krzysztofa Mnicha, a za innym jest miejsce, które nazwał Wioską Mnicha, gdzie są domy z pokojami na wynajem i stolarnia, a wszystko to z nieprzypadkowych materiałów. Tu belki ze starego domu w Białymstoku, tam z Wysokiego Mazowieckiego, tu dachówka z pałacu spod Krakowa, tam elementy z kościoła w Serocku, tu z kolei z Krynek, a dalej z poniemieckich zabudowań. Wszystko jest naturalne – kamień i drewno. Stoi młocarnia przerobiona na domek dla dzieci, pojazd z wojskową radiostacją, który kiedyś ma być do zamieszkania, i jest sporo tablic, bo przy domu rodzinnym Krzysztof ma muzeum emalii.

Krzysztof jest prawnikiem ze stopniem doktora, menedżerem po MBA, z doświadczeniem w biznesie, inwestycjach, restrukturyzacjach, finansach itd. Cała reszta to jego hobby. Główne hobby to zaś siekiery. – Kilka lat temu zbudowałem stolarnię – opowiada. – Kupiłem trochę narzędzi, w tym parę siekier, i trafiłem na facebookową grupę „Siekierowy świat". Kupiłem lepszą siekierę, potem chciałem kolejną i tak się zaczęło. To był rok 2020. Dziś mam 2 tys. siekier.

Chodzimy po drewnianym budynku, w którym siekiery wiszą od podłogi do sufitu, na wszystkich ścianach, do których przymocowane są drewniane drzwi – na nich zresztą też wiszą, wewnątrz i na zewnątrz. Siekiery z Niemiec, Anglii, Norwegii, Hiszpanii, Portugalii, Japonii. Są siekiery z Kanady, Australii, są amerykańskie Black Raveny, które chodzą nawet po 2 tys. dol., bo to rzadkie okazy. Większość kosztuje od 100 do 400 dol.

– Najbardziej lubię siekiery ciesielskie – mówi Krzysztof. – Może moi pradziadowie mieli do czynienia z ciesielką, więc mam to w genach. Tak czy siak ciężko mi nie skorzystać z okazji, gdy do kupienia jest jakaś siekiera ciesielska. Zebrałem ich ok. 200.

Krzysztof pokazuje mi kolejne siekiery, polskie, szwedzkie arviki z połowy XX w., francuską siekierę winną z XIX w., siekiery z XVIII, XVII, a nawet z XI w. Prezentuje też siekiery nowozelandzkie, które – jak tłumaczy – są najlepsze do racingowych zawodów przerąbywania na czas.

W Wiosce Mnicha jest miejsce, gdzie można porzucać siekierą, więc próbuję, a podczas gdy kolejny raz nie trafiam do tarczy, Krzysztof opowiada, że będzie tu składał dom przywieziony z Puszczy Białowieskiej. W przyszłości ma również stanąć młyn. Mówi także o organizowanych w stolarni warsztatach. I przede wszystkim sensie oddolnej inicjatywy, bo ona według Krzysztofa ma tu największe znaczenie i przydałaby się w każdej polskiej wsi.

Wracając do siekier, Krzysztof najwięcej ma fińskich i uważa je za najlepsze na świecie. – Finowie od lat używają ich do budowania domów. Pewien Fin sprzedał mi kolekcję siekier, którą zbierał przez 30 lat. Pojechaliśmy po nią autem i przywieźliśmy 200 siekier, a do tego katalogi z XIX w., w których były opisane.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Po kolekcji aparatów Wiesława Borowskiego oprowadzają Karolina Pijewska (z lewej) i Renata Romańska.

Józef Majewski Muzeum Nietypowych Rowerów założył w 2006 r. Nz. z rowerem, który zrobił w 2018 r., by uczcić 100-lecie odzyskania niepodległości.

Każda siekiera jest odnowiona, naostrzona, ma założony trzon, a na ostrzu skórzany futerał. Są gotowe do pracy, dlatego gdy zaczęła się wojna w Ukrainie, Krzysztof mógł kilka siekier podarować ukraińskiemu wojsku. – Gdy trzeba być cicho, piły motorowej nie użyjesz, a siekiera jest idealna – podkreśla zalety sprzętu.

Każdy aparat ma duszę

Ponad 170 km od Wioski Mnicha na północny wschód, czyli już na Warmii, jest Biskupiec, a w nim Dom Pracy Twórczej Sorboma – od Henryka Sorboma, biskupa warmińskiego, który w XIV w. to miasto lokował. Sześć stuleci później w Biskupcu urodził się Wiesław Borowski. Gdy był uczniem szkoły średniej, dostał od mamy pierwszy aparat fotograficzny. Tak się zaczęła jego kolekcja, a doszła do 1,4 tys. eksponatów.

– Drugi aparat dostał od żony – opowiada Renata Romańska, która pracuje w tutejszej Informacji Turystycznej i oprowadza mnie po wystawie. – To Alfa 2. Borowski zawsze powtarzał, że to jego najcenniejszy aparat i że miłość do fotografii przyszła do niego razem z miłością do żony.

Kolejne aparaty wyszukiwał na pchlich targach w Szwecji, gdzie jeździł do pracy, ale i w Polsce. Kupował, sprowadzał, dostawał. Choć, jak mówi druga pracowniczka, Karolina Pijewska, zdjęcia robił amatorsko. W kolekcji miał m.in. kodaka z 1884 r. i modele kodaków z kolejnych lat. Miał też niezwykle cenne szwedzkie hasselblady, a do tego aparaty z Włoch, Brazylii, Niemiec, Anglii czy USA, nikony z Japonii i smieny z ZSRR.

Większość starych marek samochodowych wcześniej produkowała rowery.

– Kiedyś ludzie przychodzili do niego do domu, by oglądać te aparaty. Wyciągał je z pudełek. Już mu się nie mieściły. Wtedy podjęto decyzję, by udostępnić mu przestrzeń i pozwolić zaprezentować kolekcję w gablotach – Renata przypomina początki placówki.

Od 2019 r. ludzie oglądają zbiory Borowskiego na wystawie. Poukładane latami, krajami i rodzajami. Jest chociażby gablota z aparatami szpiegowskimi, takimi małymi albo schowanymi w długopisach. Są sprzęty śmieszne – aparat szminka czy aparat piłka. Poza tym stare, wielkie aparaty studyjne. A wśród gości przewijają się ludzie z całego świata, w tym wielu znających się na sprawie fotografów.

Wiesław Borowski zmarł w 2020 r., ale jego kolekcja wciąż się powiększa dzięki działaniom brata, a także ludziom, którzy przynoszą i przysyłają kolejne aparaty. Dziś ekspozycja Sorbomy i zawartość magazynów to ok. 2 tys. aparatów.

– Wystawa ma wartość sentymentalną – mówi Renata.

– Każdy aparat ma swoją duszę, bo każdy to jakaś osobna historia – dodaje Karolina. – W jednym aparacie może być 100-letnie życie od narodzin aż do śmierci. To piękne, że można tak zatrzymać czas.

Na koniec pytam je o nietypowe muzea.

– Najpiękniejsze muzea powstają dzięki ludziom z pasją – odpowiada Renata. – Myślę, że one mają przyszłość.

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (4)

eprasa.pl 6f0099b9cf

Kadry z filmu „Moi synowie".

ŻYCIE BEZ PERSPEKTYW

Przejmująca historia rodziny podzielonej przez ideologię

Co najbardziej zaciekawiło was w powieści Laurenta Petitmangina „Ce qu'il faut de nuit", na podstawie której powstał film „Moi synowie"?

Muriel Coulin: – Jeszcze przed przeczytaniem tej książki Delphine i ja dużo rozmawiałyśmy na ten temat. Każda z nas miała inną odpowiedź. Gdzie – jeśli w ogóle – leży punkt, z którego nie ma już powrotu? Czy miłość nie oznacza po prostu akceptowania wszystkiego, nawet tego, co najgorsze?

Delphine Coulin: – W powieści jeden z synów angażuje się w działalność skrajnej prawicy, dopuszcza się tego, co najgorsze, a ojciec nie wie, czy może mu to wybaczyć. Bazując na lekturze, chciałyśmy stworzyć film, który byłby zarówno uniwersalny, jak i osobisty.

Film pokazuje niesamowity wysiłek członków tej rodziny, aby pozostać razem mimo trudności i różnic.

MC: – Dokładnie tak. Trzech mężczyzn – ojca i synów – połączyło coś bardzo trudnego, czyli śmierć matki. Mimo wszystko starają się utrzymać rodzinę razem. Nie godzą się z utratą siebie nawzajem.

MURIEL I DELPHINE COULIN

– reżyserki filmu „Moi synowie"

Muriel Coulin – zaczynała jako asystentka przy filmach Akiego Kaurismäkiego („Życie cyganerii") i Krzysztofa Kieślowskiego („Podwójne życie Weroniki", trylogia „Trzy kolory"). Następnie reżyserowała filmy dokumentalne, w tym „L'homme sans douleur" dla Arte, zanim zajęła się filmami fabularnymi.

Delphine Coulin – pisarka i filmowczyni. Pracowała w Arte France, gdzie współprodukowała filmy społeczne i dokumentalne poświęcone sztuce współczesnej. Jest autorką sześciu powieści i zbioru opowiadań. Jej książki cieszą się uznaniem krytyków i publiczności. Zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

DC: – To rodzina, która stara się iść naprzód. Mówi się, że kierunek historii to postęp: każde pokolenie żyje lepiej niż poprzednie. Ale dziś sytuacja się odwróciła. Głosy na ekstremistów są związane z bardzo silnym poczuciem niesprawiedliwości.

MC: – Ta rodzina wiele przeszła. Nie mają innego wyboru, jak tylko przetrwać. Film pokazuje, jak bardzo są zżyci, połączeni silnymi więzami mimo braku matki. Ona zresztą jest zawsze obecna. W kuchni widzimy jej puste krzesło, które stanowi swego rodzaju centralny punkt domu.

DC: – Pierre stara się być dobrym ojcem, dlatego ciągle zadaje sobie pytanie, co sprawiło, czy wręcz czego nie mógł zrobić dla Fusa, że ten dołączył do prawicowej bojówki. Na ile jesteśmy odpowiedzialni za to, co robią nasze dzieci, jakie podejmują wybory?

Porozmawiajmy o obsadzie. Odtwórcy roli synów, Benjamin Voisin i Stefan Crepon, różnią się fizycznie, ale idealnie pasują do ról braci. Naprzeciw nich jest ojciec, grany przez Vincenta Lindona, który jest na tyle potężny, że wierzymy też

eprasa.pl 6f0099b9cf

w fizyczną konfrontację między nim a jego najstarszym synem na tle ideologicznym.

DC: – Na początku chciałyśmy znaleźć prawdziwych braci. Spotkałyśmy się z dziesiątkami aktorów. Ale potem okazało się, że Benjamin Voisin i Stefan Crepon są przyjaciółmi, byli bardzo blisko – i są świetnymi aktorami, którzy potrafią połączyć to, kim są, z postaciami, aby osiągnąć tę mieszankę dokumentu i fikcji, której zawsze szukamy. Jak tylko weszli na casting i zaczęli grać, stało się jasne, że to oni.

MC: – Gdy tylko przeczytałyśmy książkę Laurenta Petitmangina, pomyślałyśmy o Vincencie Lindonie i napisałyśmy scenariusz z myślą o nim. Jest jak ojciec, jest zaangażowany. A to, jak wygląda, sprawia, że jest całkowicie wiarygodny jako pracownik kolei. Potrafi być prawdziwym autorytetem dla kogoś takiego jak postać grana przez Benjamina Voisina, czyli Fusa – pamiętając jednak, że to nie siła fizyczna powstrzymuje syna przed podniesieniem ręki na ojca.

O wiele trudniej jest sfilmować miłość braterską lub miłość ojca do synów niż miłość romantyczną. Wasz film kładzie duży nacisk na milczenie.

DC: – W tej rodzinie wiele pozostaje niewypowiedziane. Nie ma słów uczucia, nie ma słów o matce: wszystko trzeba było przekazać za pomocą obrazów i gestów.

MC: – W „Moich synach" podobnie jak w naszych dwóch poprzednich filmach zadbałyśmy o to, aby aktorzy dobrze się poznali, tak aby relacje między nimi były naturalne. Wyjaśniamy wybory poszczególnych bohaterów naszym aktorom. Opowiadamy im historię rodziny. I stopniowo zaczynają żyć jak rodzina, mają swoje miejsca, swoje pokoje...

W filmie podkreślacie także kontrast między ciemnym wnętrzem ich domu a ostrym światłem na zewnątrz.

DC: – Chciałyśmy pracować z techniką światłocienia. W domu zostały zbudowane ażurowe panele i punkty świetlne, które poprzez kontrast sugerują zacienione strefy, z dużą ilością podświetlenia. Z zewnątrz wygląda to niemalże jak dziura w słońcu. Dla braci Fusa i Louisa jedyną możliwą przyszłością jest opuszczenie domu. Młodszy Louis wyjeżdża do Paryża, na uniwersytet. Starszy Fus również marzy o tym, by się wyprowadzić, ale nie ma na to perspektyw.

MC: – Chodzi też o kontrast. Ojciec pracuje w nocy, światło jego latarki prowadzi pociągi.

DC: – Przy tym pojawiają się też pytania: jak sobie radzisz, jak stajesz się przewodnikiem, gdy pogrążasz się w nocy? Jakie są światła, które nas prowadzą? Czy są to nasi rodzice?

Kiedy bracia przebywają w domu w swoich pokojach, ściana między nimi tworzy swego rodzaju naturalny podział ekranu, tak jakby dwie postacie były swoim lustrzanym odbiciem. W rzeczywistości każdy z trzech głównych bohaterów filmu jest odbiciem pozostałych, począwszy od Louisa i jego brata. Ojciec Pierre ma stabilną pracę i dobre relacje ze swoim zespołem. Z kolei Fus ma wykształcenie zawodowe, ale pozostaje bezrobotny.

Mówi się, że kierunek historii to postęp: każde pokolenie żyje lepiej niż poprzednie. Ale dziś sytuacja się odwróciła.

MC: – To fundamentalny motyw. W pewnym momencie Pierre mówi do prawnika: „Może mój syn wygląda tak jak ja, ale ja go już nie poznaję". Wizualnie inscenizacja wykorzystuje ten motyw, grając lustrami, odbiciami, spojrzeniami wymienianymi przez szybę, a także echami. Przyjaciel Louisa, który jest studentem, to także potencjalny awatar Fusa. Jest w tym samym wieku, urodził się w tym samym miejscu. Fus i jego ojciec pozostają w rzeczywistości, która nie daje wielu perspektyw. Fus marzy o innym miejscu. W scenie w kuchni ten młody student ogłasza, że zamierza odbyć staż w Nowym Jorku, a Fus, który ma pokój wyklejony plakatami z Nowego Jorku, jest tym zaszokowany. Jego brat Louis zamierza studiować w Paryżu. Przyjaciel zamierza odbyć staż w Nowym Jorku. A on sam jest tutaj, w Lotaryngii, i czuje, że nigdy stąd nie wyjedzie. Z tego punktu widzenia format *scope* pozwala nam uporządkować przestrzeń poprzez jej podział i stworzenie pustki. Na przemian z ujęciami sekwencyjnymi, kiedy bohaterowie próbują ponownie zbliżyć się do siebie.

Źródło: materiały prasowe Galapagos Films

FOT. GALAPAGOS FILMS (2)

eprasa.pl 6f0099b9cf

Uwięzieni w wolności?

W Muzeum Narodowym w Gdańsku, w zabytkowej Zielonej Bramie, trwa wyjątkowa wystawa prac młodych polskich malarzy

Daniel Wójtowicz

Prezentacje przeglądowe całego pokolenia są rzadkością. Ta stała się możliwa dzięki wielkiemu mecenatowi mBanku, który w latach 2020-2024 skupował prace malarskie twórców do 35. roku życia i tworzył ich kolekcję. Teraz, w akcie darowizny o bezprecedensowej skali na rzecz Muzeum Narodowego w Gdańsku, udostępnił ją szerokiej publiczności.

Wystawa „Opowiem Wam o sobie / o nas" podzielona jest na dwa etapy. W pierwszej odsłonie, trwającej do końca września, pokazywanych jest 150 prac ponad 80 artystów. Nie sposób opisać wszystkiego.

Wydarzenie przyciąga sporo zwiedzających, i to – jak zaobserwowały bileterki – najczęściej właśnie młodych. Starszych i nieprofesjonalnych odbiorców, takich jak ja, interesuje przede wszystkim to, w jakim stylu się wypowiada i co pragnie dziś wyrazić pokolenie naszych dzieci, jego twórcza reprezentacja.

Niestety, wiwisekcja ta nie wypada optymistycznie. Nie tylko dlatego, że ciąg wystawowy zaczyna się od „Śmierci malarza" – dużej pracy Michała Rostkowskiego (ur. w 1998 r.), ukazującej poprzez różne elementy symboliczne „natłok i ciężar otaczającej nas rzeczywistości". Bardziej dlatego, że podobnie pesymistyczny jest nastrój i koloryt całości. I to w obydwu częściach ekspozycji: zarówno w poświęconej wnętrzu człowieka „Opowiem Wam o sobie...", jak i w odnoszącej się do świata zewnętrznego „...o nas".

Jedną z dominujących na wystawie malarek jest Martyna Czech (ur. w 1990 r.), laureatka 42. Biennale Malarstwa „Bielska Jesień" w 2015 r., a w 2019 r. nominowana do Paszportu „Polityki". Artystka tworzy z dużą swobodą, jej prace cechuje nowatorstwo formy. Ekspresją nawiązuje może nawet do dzieł Muncha, np. w obrazie zadumanej dziewczyny naznaczonej spływającą krwią rozpaczy, zapewne z powodu miłosnego zawodu („Gwóźdź do serca"). Jej kolejna praca „Własne samoograniczenia" idzie w kierunku abstrakcji. Ukazuje ludzką, może własną samotność i niepewność, jednak z przyjazną dłonią na ramieniu. „Ciągle obwiniamy wszystkich dookoła o swoje porażki (...), zapominając, że to my sami wyznaczamy granice dostępu innych ludzi do nas", mówi artystka w komentarzu do obrazu.

Samotność jest w pracach młodych twórców wyraźnie obecna. W dużej części okazuje się pokłosiem niedawnej pandemii, która stała się, jak widać, pewnym kryterium prawdy o ich sytuacji. Pokazuje ją „Autoportret z widokiem na ścianę" Agnieszki Apoznańskiej, przedstawiający głowę w czarnej pustce, czy namalowany przez Ksenię Gryckiewicz portret kobiety zapalającej w samotności, niczym dziewczynka z zapałkami, jaskrawy ognik kadzidełka otuchy („Bez tytułu").

eprasa.pl 6f0099b9cf

Wyraźną przyczyną poczucia alienacji czy stresu tego pokolenia w malarskiej wykładni okazują się problemy tożsamości płciowej i przemocy w seksualności. Obraz szkicujący w żywych i alarmistycznych kolorach pogruchotanego mężczyznę z rozwalonym rowerem jest jedną z prac na ten temat. To „Rowerek: totalna katastrofa" Daniela Mikulskiego (ur. w 1998 r.), wyróżnianego już na licznych wystawach. Z komentarza dowiadujemy się, że określenie „spadł z rowerka" jest dla ludzi tego pokolenia synonimem całkowitej porażki, odrzucenia w środowisku, pewnie głównie w mediach społecznościowych. W tym obrazie przyczyną katastrofy miało być ujawnienie prawdziwej orientacji seksualnej.

Monika Falkus, Gdy przymykam czarne oczy

Grzegorz Pieniak, Fighters

Daniel Mikulski, Rowerek: totalna katastrofa

Na sąsiednim płótnie – „Fighters" Grzegorza Pieniaka (ur. w 1994 r.) – widać półnagie sylwety dwóch wspaniale zbudowanych mężczyzn, ukazane w ostrym zwarciu. Nieoczekiwanym dopełnieniem tego wizerunku są pończochy kabaretki oblekające ich mocne nogi. Uświadamia to charakter ukazanej walki, będącej zmaganiem z własną tożsamością płciową.

Na innym obrazie naga, odwrócona kobieta opleciona jest sznurkami, paskami i linami. Nie patrzy na nas, ale niemal namacalnie czujemy jej dyskomfort i sprzeciw. „Za tym kryje się moja osobista historia", wyznaje autorka obrazu „Ona", Monika Misztal (ur. w 1986 r.). „Wciąż jestem przyczajona, bo zawsze jest ktoś, kto w jakiś sposób chce mnie wykorzystać. Przez fizyczność pokazuję to, co kobieta ma atrakcyjnego, cennego, czego ktoś może pożądać. To może być jej ciało, ale także talent, pieniądze, pozycja, energia". I tym samym do kwestii seksualności jako źródła stresu i napięcia artystka dołącza nierówności i niesprawiedliwości funkcjonowania płci.

Przegląd tej współczesnej twórczości malarskiej nie pozwolił mi na uchwycenie jej konkretnego kierunku warsztatowego. Mam wrażenie dużej różnorodności formy i technik, co pewnie jest zgodne z cechami trwającej epoki postmodernizmu, który „zdystansowany w stosunku do awangardy, ale niekoniecznie z nią sprzeczny, z założenia wystrzega się zastygania w jednym skodyfikowanym sposobie uprawiania sztuki".

Pewna część prezentowanych prac zmierza do oryginalnych odmian abstrakcji, jednak jeszcze z odczuwalnym ukazaniem znaczeń. Na mnie największe wrażenie zrobiły obrazy Moniki Falkus (ur. w 1993 r.), która osiągnęła już własny, wyróżniający styl. W nieco nostalgicznym jasnokolorowym obrazie „Gdy przymykam czarne oczy" balansuje między kształtami kobiecego łona a spokojem rozmarzonej twarzy, co razem powoduje dychotomię doznań.

Podobnie oryginalnie ukazany jest akt zbliżenia w obrazie „Księżniczka głogu", który jest barwną parafrazą baśniowego ukłucia wrzecionem. A to, jak czytam w komentarzu, nawiązuje do wieloznaczności doświadczenia seksualnego i jest opowiedzeniem się przeciw przemocy w tej sferze życia.

Na obrazie Patryka Różyckiego (ur. w 1992 r.) widzimy trupioniebieską parę leżącą w łóżku w czarnej pościeli. Kobieta i mężczyzna są niby razem, ale w odczuwalnej odległości. Znaczenie sceny dopowiada tytuł pracy – „Skrępowany bliskością z kimś, zasłaniam sobie twarz i patrzę na nią, czy ona patrzy na mnie".

Malarstwo, zwłaszcza nowoczesne, nie musi prowadzić widza do konkretnych wniosków, jest bowiem wyrazem emocji i osobistego doznawania. Tutaj jednak odczuwalne i zastanawiające staje się pytanie, czy czasy wielkiej swobody obyczajów i pozornej wolności nie stały się czasami mocno ograniczającymi człowieka, czasami lęków i samotności? Wystawa młodego pokolenia „Opowiem Wam o sobie / o nas" swoim malarskim językiem wyraźnie to sugeruje.

Wystawa „Opowiem Wam o sobie / o nas"
Muzeum Narodowe w Gdańsku (Zielona Brama)
do 20 września

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (4)

eprasa.pl 6f0099b9cf

SERIAL

Wędrówki z dinozaurami, BBC Earth i BBC Player,
od 14 września, premierowe odcinki o godz. 11.00 i 21.00

BBC Earth przedstawia nową odsłonę jednej z kultowych produkcji telewizyjnych. Podróżując po całym świecie, będziemy śledzić losy dinozaurów, których szczątki przetrwały głęboko pod ziemią przez miliony lat. Dzięki naukowcom, którzy je odkryli, będziemy podążać pradawnymi śladami, pozwalającymi zrozumieć, jak te stworzenia żyły, polowały, walczyły o przetrwanie i ewoluowały. Od Sahary po stan Utah, od kanadyjskich lasów po wzgórza Portugalii – ze zlokalizowanych tam wykopalisk naukowcy czerpali wiedzę, by opowiedzieć historie rozgrywające się w ciągu 84 mln lat panowania dinozaurów. Poznamy m.in. spinozaura – największego mięsożernego dinozaura, jaki kroczył po Ziemi. Zobaczymy skrywającą się w subtropikalnych lasach Ameryki Północnej samicę triceratopsa stającą w szranki z wygłodniałym tyranozaurem. A także przemierzającego tereny dzisiejszej Portugalii olbrzymiego lusotytana, gotowego zaryzykować życie w poszukiwaniu partnerki.

(ag)

MIĘDZY OKŁADKAMI

Sławek Gortych
Schronisko, które zostało zapomniane
W.A.B., Warszawa 2025

Już wkrótce jesień pięknie pomaluje pejzaże, na szlakach i w schroniskach zrobi się luźniej, doskonały moment, by na własne oczy zobaczyć miejsce akcji czwartej książki Sławka Gortycha z cyklu schroniskowego. A mają te kryminały, zręcznie łączące historię ze współczesnością, to do siebie, że jakoś podsycają ciągoty krajoznawcze, akcentując odrębność i charakter Karkonoszy, tajemniczą atmosferę krainy Ducha Gór, który nie jest tu tylko legendą. Tym razem autor zwraca naszą uwagę na niegdyś luksusowy hotel Sanssouci w Karpaczu, zarekwirowany przez hitlerowców na potrzeby MSZ III Rzeszy i ambasady... Japonii, po wojnie dom wypoczynkowy Urocza, z latami popadający w ruinę, aż bardziej pasowałaby nazwa Upiorna. W sprawę odnalezionych tam zamurowanych zwłok wrobiony zostanie ekscentryczny a sympatyczny kustosz muzeum Hauptmanna w Jagniątkowie, który zwykle był źródłem cennych informacji dla bohaterów; na pomoc ruszy mu pisarz Wilczur, otrząsając się z traumy wydarzeń poprzedniego tomu. I przekonując się, że dobrze jest wrócić w Karkonosze.

Aleksandra Pańko

Juliusz Machulski,
Krzysztof Varga
3174 filmy mojego życia
Sonia Draga, Katowice 2025

Najnowszy wywiad rzeka z Juliuszem Machulskim to nie tylko gratka dla fanów „Vabanku", „Seksmisji" i „Vinci," ale też przejażdżka w głąb historii kina dla wszelkich entuzjastów tej sztuki. Machulski wraca do początków w branży, wspomina swojego mentora Jerzego Kawalerowicza, a przy tym nie boi się osądów – dla niektórych filmów okaże się bezlitosnym krytykiem, inne będzie wspominać z dozą dziecięcej tęsknoty. Być może książce przydałaby się nieco lepsza redakcja – co rozdział zdarzają się powtórzenia, wracają wątki obszernie omówione już wcześniej. Czujniejsze oko redakcyjne znalazłoby przestrzeń dla jeszcze jednego spotkania obu panów, dzięki czemu mogliby porozmawiać o nieporuszonych wcześniej tematach. Jednak to drobiazgi. Bo choć Machulski nie wymienia wszystkich 3174 filmów, to zdradza praktycznie wszystko o swojej karierze i filmografii.

Jan Tracz

ZASŁUCHAJ SIĘ

Agnieszka Kurowska
Mozart, Rossini
DUX

Płyta z ariami oraz scenami z oper Mozarta i Rossiniego jest świadectwem doskonałej szkoły wokalnej i perfekcji wykonawczej pokazywanej bez specjalnego

retuszu, tzn. na zwykłych przedstawieniach. Publiczność wynagradza oklaskami Agnieszkę Kurowską oraz jej znakomitych partnerów za każdy pięknie wykonany fragment muzyczny. Jesteśmy więc świadkami autentycznych, bardzo udanych spektakli na różnych scenach operowych.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BBC EARTH (3), MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 6f0099b9cf

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

W „Gazecie Wyborczej" trwa dyskusja o pacyfizmie dzisiaj, w obliczu prawdopodobnej inwazji wroga na ojczyznę, w przededniu możliwej wojny: mądrzą się tutaj wszyscy w czysto teoretycznych rozważaniach, większość podchodzi do tematu ostrożnie, jakby się bała, że gloryfikacja pacyfizmu w czasie wojny jest szkodliwa, nie przystoi, zalatuje zdradą. Ja tam twierdzę, że to wojna śmierdzi obłędem, nigdy nie byłem podatny na patriotyczną propagandę i nie wyobrażałem sobie, że poszedłbym na rzeź tylko dlatego, że tak trzeba, bo psychole rządzący państwami nie potrafią się dogadać ani poskromić swoich chorych żądz. Jestem urodzonym dezerterem, jednym z tych, którzy nie oddaliby ani paznokcia za swój kraj, albowiem życie jest dla mnie wartością wyższą niż idea państwa, zwłaszcza narodowego – zawsze będę uciekał przed wojną w stronę pokoju, nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej.

Gry wojenne

Skądinąd pomnę, jak podczas jednego z bogoojczyźnianych wzmożeń propisowskich dziennikarzy wojny jako „męskiej przygody" najgłośniej bronili ci, których na żadną wojnę nigdy by nie puszczono chociażby z racji ich kłopotów zdrowotnych (patrz P. Semka).

Owóż, wiedziony ciekawością i chęcią zagospodarowania czasu wakacyjnego atrakcjami dla dziesięcioletniego syna udałem się z nim do beskidzkiej Porąbki na rekonstrukcję walk ulicznych z II wojny światowej. Zlot militarystów i rekonstruktorów trwa tam kilka dni pod nazwą „Historie Frontowe" i jest sowicie dofinansowany przez MON. Gawiedź zjeżdża się, aby podziwiać chłopców paradujących w mundurach sprzed lat, przejeżdżające czołgi, transportery, i brać udział w prezentacjach historycznej broni. Antek z przejęciem pozował do zdjęć z pancerfaustami i granatami w ręku, a nawet fotografował się z „naszymi chłopcami" w mundurach SS (dziadek Passent, ocaleniec z Holokaustu, przewraca się w grobie), nieświadom jeszcze do końca, że nawet ta maskarada wygląda złowieszczo. Zwłaszcza że pod płaszczykiem rekonstrukcji przeżywa swoje rozkosze całkiem sporo autentycznych neonazioli, mogących wreszcie legalnie paradować w swoich wypicowanych mundurach hitlerowców, obnosić się ze swoimi fetyszami (na przedramieniu jednego przyuważyłem tatuaż „Meine Ehre heißt Treue", a to już raczej nie tymczasowy element przebrania. Kręciło się tam mnóstwo młodzieży w koszulkach husarskich i patriotycznej odzieży, ale i zwykłych turystów zwabionych tym wojskowym zamieszaniem.

Trzeba przyznać, że widowisko było efektowne, pełne pirotechniki i hałasu, komentowanego na bieżąco przez historyka, który tłumaczył, kto akurat do kogo strzela i dlaczego. Chłopaki naturalistycznie „umierali", zrobiłem nawet zdjęcie „trupa" leżącego pod żołnierskim butem obok kolorowego baneru reklamującego żłobek Przygoda Maluszka – tak to się cywilność z wojskowością przeplata. Strzelano ślepakami, sztucznej krwi na szczęście nie rozlewano, ale i tak robiło to wrażenie profesjonalnej „zabawy żołnierzykami". Widać, niektórzy z tego nie wyrastają nigdy. A że wojna to nie zabawa, większość sobie uświadamia, kiedy jest już po ptokach.

Wpadła mi w ręce napisana przed nieomal ćwierćwieczem książeczka Jonathana Littella „Suche i wilgotne", czyli, jak ją podtytułuje autor, „Krótka wyprawa na terytorium faszysty". Eseik ów pisał Littell na marginesie swojego monstrualnego fabularnego studium faszyzmu, czyli „Łaskawych". Rzeczonym faszystą był Léon Degrelle, wyjątkowa kanalia, belgijski nazista, który pomimo wyroku śmierci za kolaborację dożył późnej starości na emigracji, co rusz dając o sobie znać światu negowaniem Holokaustu, istnienia komór gazowych i zbrodniczych praktyk dr. Mengele. Wypisz wymaluj Grzegorz Braun, tyle że w przeciwieństwie do konfederackiego harcownika miał okazję wykazać się nie z gaśnicą, ale z karabinem w ręku – skądinąd wykazywał się tak zajadle na froncie wschodnim, że Hitler osobiście odznaczył go w Wilczym Szańcu Rycerskim Krzyżem Żelaznym.

Degrelle trzepnął wspomnienia z frontu, jakby chciał napisać własną „Armię konną" na wzór Babla – faktycznie okrucieństwa tam nie brakuje, czasem nawet dość malowniczego, prawie jak u Malapartego w „Kaputt": „Wszystkie trupy Rosjan, które dwa dni wcześniej unosiły się na wodzie, teraz ściął lód. Znad tafli wystawały to ręka, to but, to głowa. Płozy sań powoli niwelowały te przeszkody, rozjeżdżając nosy i policzki, które rozsypywały się jak trociny. Po kilku dniach tafla była równiutka: połówki rąk i twarzy tkwiły pod powierzchnią białego lodu jak potworne ryby tuż przy szybie akwarium". Wyłowiłem też kilka celnych uwag ze wstępu Jeana Mabire'a: „Nagle wszystko staje się możliwe. Wystarczy się ośmielić. (…) Człowiek walczący odnajdzie tu swoje miejsce, miejsce, które mu przysługuje, miejsce pierwsze, na pohybel wartościom mieszczańskim i kupieckim, na pohybel wygodzie. Wielkość człowieka wiernego surowej moralności objawia się najwyraźniej w działaniu". Sam Degrelle dodawał: „Lubiłem żołnierskie życie proste jak drut, z dala od spraw tego świata, ambicji i interesów".

Fascynacja tym teatrem przemocy dowodzi, że ludzkość tęskni do życia poza prawem, moralnością, do czasu igrzysk śmierci, w których zostają zawieszone zasady i można po prostu zabijać, torturować, krzywdzić. Ja się z tej ludzkości wypisuję; nikt mnie w kamasze nie zaciągnie, trudno – nie jestem patriotą, ale idiotą też nie mam zamiaru być. ■

eprasa.pl 6f0099b9cf

Suchary z karasiami

Sztandarowe gatunki Wigier to sielawa i sieja, nazywane reliktem epoki lodowcowej

Wojciech Misiukiewicz

Wigry przez wieki karmiły, chroniły, uczyły, bawiły i transportowały. Wigry to oczywiście woda – dająca, ale też odbierająca życie. Woda przyciąga, a w szczególności żyjące w niej ryby, a z wodą i połowami ryb są związane losy ludzkie. Bo, jak przyznaje Jan Andruszkiewicz, urodzony w czasie ostatniej wojny w Rosochatym Rogu: „Żeby nie jezioro Wigry, to i nie wiadomo, czy ja bym żył. Chodził i z wędką, i siatkę jakąś tam miał...". Eugeniusz Dzienisiewicz z Leszczewka, urodzony jeszcze przed wojną, wspomina, że „każdy tu mieszkający człowiek to musiał złapać. Bo z czegoś musiał żyć".

Akcja zarybiania przyniosła też negatywne skutki – zastąpienie siei rasy wigierskiej formą obcą, sieją pejpuską.

Wigry żywiły. W czasach biedy i niedostatku łowiono w jeziorze wszelkimi sposobami. Dziś już tylko w muzeach rybackich można zobaczyć wykute przez kowali ościenie i wyplecione z wikliny bucze oraz żaki. Rybę uważano za pokarm biedoty. Niegdyś jadano to, co pospolite, a ryby pospolicie występowały w jeziorach, rzekach, wiosną zaś nawet w rowach i rozlewiskach. Gdy poprawił się stan majątkowy miejscowych włościan, ryba także nabrała wartości, a gdy pojawiło się większe zainteresowanie rybami, rozpoczęły się konflikty. Spory o nielegalne połowy ryb na Wigrach trwają od lat.

W suwalskim archiwum można odnaleźć wiele dokumentów z rozpraw sądowych dotyczących kłusownictwa rybackiego. Konflikty te nie wybuchły w chwili przejęcia nadzoru nad jeziorami przez polskie władze po I wojnie światowej czy później przez park narodowy – wcześniej to kameduli strzegli wigierskich ryb, co z pewnością budziło niezadowolenie okolicznych chłopów.

Dziś ryby wciąż cieszą się sporym zainteresowaniem obywateli regionu – i jak to czasem bywa, nie zawsze osób uprawnionych do ich połowu. Dawniej wielokrotnie uczestniczyłem w patrolach straży parku prowadzonych w łodzi motorowej. Nie byłem wtedy zainteresowany samym w sobie patrolowaniem, a raczej obserwacją świata zwierząt żyjących na Wigrach. Czasem podczas takiej przejażdżki można było spotkać ciekawe gatunki ptaków żerujących na wodzie albo łosie akurat płynące przez jezioro. (...)

Kiedyś mówiło się, że gdyby ryba nie miała tylu ości, byłaby pokarmem bogaczy. Dziś także możni z lubością objadają rybie kostki. Zwłaszcza sielawy, sieje i węgorze zyskały dużą wartość, która wynika także z ich ograniczonej dostępności. Nie są to przecież ryby żyjące we wszystkich jeziorach. Można śmiało powiedzieć, że sielawa i sieja to sztandarowe gatunki Wigier. Są one często nazywane reliktem epoki lodowcowej. To ryby zimnolubne żyjące w jeziorach głębokich, zimnych, z dobrze natlenioną wodą, a także zasobnych w plankton skorupiakowy. Wody Wigier są głębokie, tworzą więc doskonałe środowisko życia dla tych gatunków.

Odmiana siei występująca dawniej w Wigrach była niezwykła, bo osiągała imponujące rozmiary – waga poławianych ryb nierzadko przekraczała 6 kg. Pod koniec XIX w. liczebność siei w Wigrach była tak niska, że władze zakazały połowu ryb tego gatunku.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Sytuacja zmieniła się dopiero po wybudowaniu w 1928 r. wylęgarni ryb w Tartaku nad Wigrami. Dziś hoduje się tam rocznie ok. 25-30 mln sztuk narybku sielawy oraz 3 mln siei. Oprócz tego jest tam inkubowany materiał zarybieniowy szczupaka. Wylęg ten trafia do wielu jezior – zarówno położonych na terenie parku narodowego, jak i znajdujących się w innych regionach Polski, nierzadko odległych o kilkaset kilometrów. Dzięki ciągłym zarybieniom odbudowano liczebność siei, a także zanikającej niegdyś w Wigrach sielawy. Niestety, akcja zarybieniowa przyniosła też negatywne skutki – spowodowała zastąpienie siei rasy wigierskiej formą obcą – tzw. sieją pejpuską, która w porównaniu z poprzedniczką osiąga dwa razy mniejszą wagę.

Inna ceniona ryba – tak kiedyś, jak i współcześnie – to węgorz. Mimo że nie jest to rodzimy gatunek, występuje w Wigrach od pokoleń. Jak wspomina rybak Jan Korsakowski: „Mój ojciec mówił, że Niemiec tutaj węgorzem to dobrze zarybiał. Niemiec gospodarz był lepszy jak te Żydy. Który miał jeziora Niemiec, no to zarybiał. I byli czasy ochronne (…). Kiedyś płotka miała tarliska, to tablicy stojeli. Nie było jak teraz. Tu pan nie miał prawa cały maj żadnych rybów łowić na Zadworzu. Wędkować i sieciami. I za to było tej płotki”. (…)

Wigierskie jeziora były też – i nadal są – ostoją wodnego ptactwa. W 2002 r. Wigierski Park Narodowy został wpisany na listę konwencji ramsarskiej, której celem jest ochrona i utrzymanie obszarów określanych jako wodno-błotne, a także populacji ptactwa wodnego zamieszkującego te obszary lub okresowo na nich przebywającego. Przed powołaniem parku narodowego polowano tu jednak na kaczki i czaple. Dawne powojenne łowy wspomina Jan Korsakowski mieszkający we wsi Wigry: „Przyjeżdżała przeważnie milicja, bo to takich myśliwych to nie było. Wojskowe. Taką porą, kiedyś jak w zimę, to na rzece jak zaczną strzelać… Bo oni się tutaj zbierali, jezioro zamarznięte, do cholery było tych kaczek. To przyjadą, jak natłuką ich. No a potem w lato to ze ślizgacza policyjnego tak jeździli, tak walili”. Dziś już nikt nie wali…

•

Wigry i okolice to także rzeki i suchary. Suchar – choć niektórych ta nazwa śmieszy – nie oznacza wcale dowcipu z brodą. Są też tacy, którzy nazwę tę odnoszą wyłącznie do wyrobów piekarniczych i żołnierskich racji żywnościowych. Ale suchar to także regionalna nazwa śródleśnych jeziorek, malowniczo posadowionych we wnętrzu Puszczy Augustowskiej. W okolicy Wigier jest ich aż 19 – w całej Polsce nie ma drugiego podobnego nagromadzenia na tak niewielkiej przestrzeni.

Węgorz nie jest rodzimym gatunkiem, ale występuje w Wigrach od pokoleń.

Suchary nieużytkowane przez człowieka zachowują swoiste, naturalnie ukształtowane zespoły roślin i zwierząt, dzięki czemu stają się niezwykle cennym elementem przyrody. A nie są one użytkowane, ponieważ albo nie ma w nich ryb, albo jest ich niewiele. W większości sucharów przeżywają jedynie okonie i karasie, w niektórych zdarzają się szczupaki, płocie, a nawet leszcze. Warunki dla ich rozwoju są jednak bardzo trudne, a krytycznym momentem są zimowe przyduchy.

Dla rybaków oznacza to posuchę – niewykluczone, że właśnie od niej wzięła się nazwa suchar. Inna hipoteza dotycząca etymologii nazwy odsyła do uschniętych drzew, stojących jeszcze bądź już wywróconych, nad brzegami tych zbiorników.

Fakt, że w sucharach żyje niewiele ryb, jest skutkiem wysokiej kwasowości wody. Odczyn ten wynika ze stałego dopływu substancji humusowych – kwaśnych produktów rozkładu materii, głównie ściółki leśnej. Część związków humusowych rozpuszcza się w wodzie, nadając jej żółtawą, a czasem brunatną barwę. Ten herbaciany kolor i związany z nią odczyn wody nie sprzyjają rozkwitowi życia. Nie oznacza to jednak, że go tu nie ma. Wiedzą o tym najlepiej mieszkańcy Puszczy Augustowskiej, którzy chwiejnie wędrując po pływającym, uginającym się pod stopami kożuchu roślinności torfowiskowej, zbierają borówki bagienne i żurawiny albo zrywają bagno zwyczajne. Warto dodać, że bagno jest rośliną trującą. Liście i pędy zawierają olejek eteryczny, który poraża układ nerwowy. Przy słonecznej, parnej pogodzie powietrze jest przesycone jego intensywnym aromatem. Odurzająca woń kwiatów jest trująca dla niektórych owadów, ludzie mogą zaś odczuwać zawroty głowy po dłuższym pobycie na torfowisku. Zjedzenie dużej ilości owoców rosnącej obok borówki bagiennej, przesyconych aromatem trującego bagna, może wywołać osłabienie, a podobno nawet omamy. Jeśli to prawda, odnosi się do niej miejscowa nazwa borówki bagiennej, którą tubylcy ochrzcili pijanicą. (…)

W najbliższym sąsiedztwie Wigier płyną aż cztery rzeki. Różnią się wielkością, szybkością przepływu wody, ukształtowaniem koryta. Fragmenty dolin Wiatrołuży, Maniówki i Kamionki znajdujące się w Wigierskim Parku Narodowym zostały objęte ochroną ścisłą dla zachowania ich pierwotnego charakteru. Ta ostatnia jest chyba najbardziej urocza. Na niektórych odcinkach płynie z szumem pośród kamieni, przez co przypomina górski potok. Gdzie indziej rozdziela się na kilka odnóg wijących się leniwie pośród turzycowisk. Są miejsca, gdzie niemal się zatrzymuje, przeciskając swoje wody przez tamy, które na jej drodze postawiły pracowite bobry.

Najbardziej rozpoznawalną rzeką w regionie jest jednak Czarna Hańcza. W swoim górnym biegu, po opuszczeniu najgłębszego w Polsce jeziora Hańcza, płynie w kierunku południowo-wschodnim, przepływa przez Suwałki i od zachodu wpada do Wigier. Fragment od jeziora do Kanału Augustowskiego to piękny i dobrze znany w Polsce szlak kajakowy. (…)

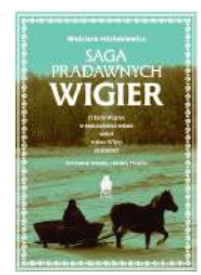

Fragmenty książki Wojciecha Misiukiewicza *Saga pradawnych Wigier*, Paśny Buriat, Suwałki 2025

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f0099b9cf

JOLKA

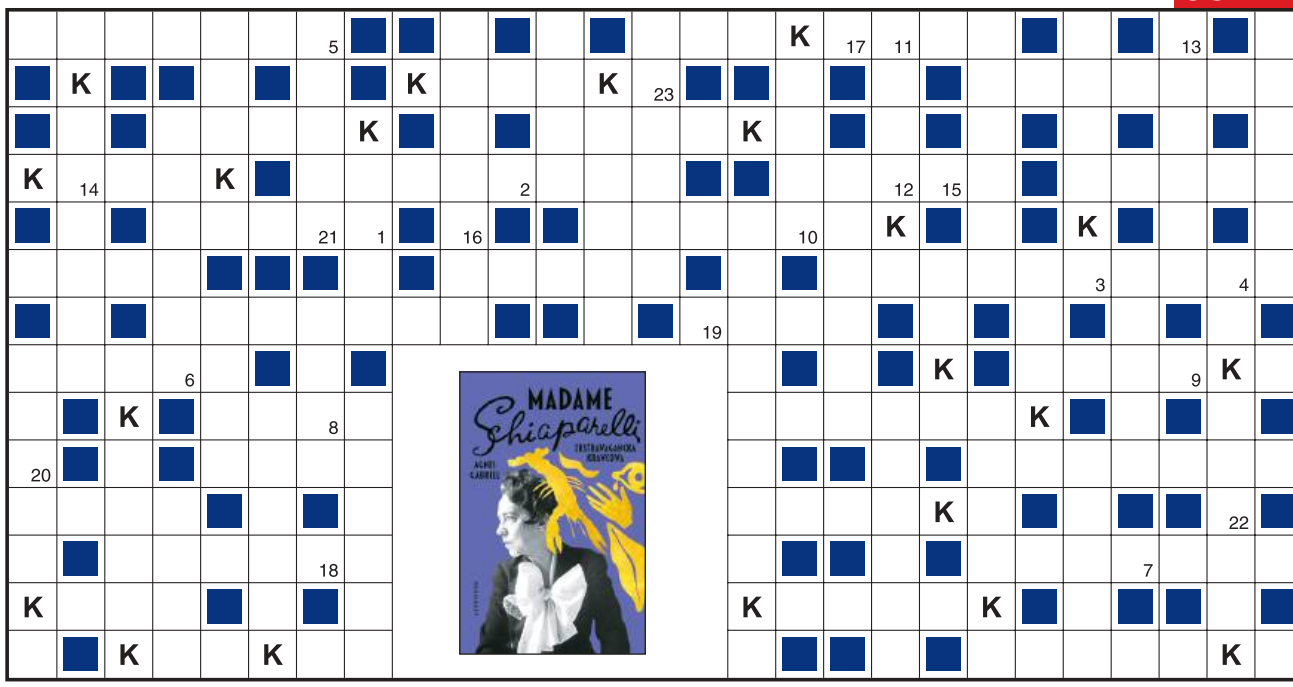

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12

13	14	15	16

17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- służąca Arnolfa ze „Szkoły żon”
- niejedna pędzla Juliana Fałata
- nieco większa od skrzypiec
- jednostka natężenia prądu
- wojskowa honorowa przy uroczystościach
- aktor Bielenia, żużlowiec Zmarzlik
- eksperci ustanowieni przy sądach
- kula wbijana do łuzy
- nakrycie głowy profesora
- chwilowa ochota na coś
- do niego po torty, ciastka
- rosną od niego odsetki
- literatura narracyjna
- rzeźbiony lub malowany poziomy pas
- …García Márquez, pisarz
- przednia część męskiej koszuli
- jej poglądy zbyt śmiałe, sprzeczne z dogmatami
- …ksiąg zakazanych
- pluskwa, pchła lub wesz
- lekkie, nieprzemakalne włókno puchowca
- narkotykowy z Medellín
- budzi lęk koulrofoba
- miasto w stanie Alaska i niedźwiedź
- „Słodkiego, miłego życia” hitem tego zespołu
- cechy budzące wesołość
- tęczowy lub wełnistoszczypcy
- wypadek z uszkodzeniem pojazdów
- malec ją rysuje i życzenia wypisuje
- Szekspirowski król Brytanii
- wykwit na skórze lub ślad zacieku
- sprzedawca zimnych gałek
- w parze z leninizmem
- rodzaj karabinu, pistoletu automatycznego
- siłacz, silny władca
- soczewka na jedno oko
- James, piąty prezydent Stanów Zjednoczonych
- podłużny pęczek wełny
- przeciwległy zenitowi
- czynszowa umowa
- z uszkiem pod łóżkiem
- inwazyjny gryzoń ziemno-wodny
- interna, kardiologia lub OIOM
- podwalina, solidne wsparcie
- uzbrojenie, siły zbrojne
- rozwiązła zabawa, bachanalia
- miejscowość z twierdzą nad rozlewiskiem Biebrzy
- …z Tarsu, zwany Apostołem Narodów
- opiekunka wycieczki lub za sterami samolotu
- …majątku po rozwodzie
- z rybami i żabami w wierszu Brzechwy
- wojskowa do ćwiczeń, w lunaparku z nagrodami
- …Płaczu w Jerozolimie
- zakamuflowany policjant
- ciernisty krzew śliwy
- z maturą i zawodem
- kolejna grupa na wczasach, kursie
- gwałtowny, rzęsisty deszcz
- łączyła Polskę i Litwę
- płaski, imbusowy lub krzyżowy do śrub
- oprych, bandyta
- angielskie w rosole
- mieszkaniec białowieskiego rezerwatu pokazowego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1237”. Do rozlosowania książki „Madame Schiaparelli. Ekstrawagancka krawcowa” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 września 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1234” z nr. 33: *Sroka słowika zagłusza.*
Nagrody otrzymują: Krystyna Jóźwik z Legnicy, Jacek Sawicki z Wydmin, Teresa Szukiełowicz z Międzyrzecza.

eprasa.pl 6f0099b9cf

Pieniądze

Przez lata w MSZ było tak, że w centrali się pracowało, a zarabiało na placówkach. To był relikt dawnej Polski – tzw. przelicznik dolarowy. Owo przeświadczenie, że można w centrali zarabiać niewiele, bo człowiek się odkuje na placówce, było tak mocne, że MSZ w III RP było ministerstwem, które oferowało relatywnie niskie pensje.

To się w końcu zmieniło. I wyższa kadra zaczęła zarabiać pieniądze, których już nie trzeba było się wstydzić. Czyli jakie? W roku 2021 dyrektor generalny MSZ zarabiał 25 tys. zł miesięcznie. Ale od 1 lipca 2021 r., gdy weszła w życie ustawa o służbie zagranicznej, zakres jego obowiązków został przejęty przez dwóch pracowników – dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej. Szef służby przejął sprawy osobowe i kierowanie Akademią Dyplomatyczną. Dyrektor – nadzór nad biurami MSZ, czyli komórkami typu administracja, finanse czy Biuro Kontroli, Audytu i Ewaluacji. Ich wynagrodzenie oscylowało wokół 29-30 tys. zł miesięcznie. Innymi słowy, robotę, którą wcześniej wykonywał jeden urzędnik za 25 tys. zł, teraz wykonywało dwóch, co MSZ kosztowało 59 tys. zł miesięcznie.

Po wyborach z 2023 r., gdy ministrem został Radosław Sikorski, nastąpiła zmiana. Sikorski na nowo połączył oba stanowiska, ale na zasadzie „unii personalnej". W ten sposób Rafał Wiśniewski został orłem dwugłowym – jest jednocześnie i dyrektorem generalnym, i szefem służby zagranicznej.

A za ile? Bardzo to interesowało posła Szymona Szynkowskiego vel Sęka, ostatniego pisowskiego szefa MSZ. Zwrócił się więc w tej sprawie do MSZ z oficjalnym pytaniem. I odpowiedź otrzymał. Otóż Rafał Wiśniewski nie dostał dwóch pensji, choć tytułowany jest podwójnie. Ustalono mu bowiem w grudniu 2023 r. pensję w wysokości 24 tys. zł z drobnym kawałkiem, plus dodatki. Są to: dodatek funkcyjny w wysokości 4139,96 zł brutto, dodatek zadaniowy w wysokości 1500,00 zł brutto, dodatek stażowy w wysokości 20% wynagrodzenia zasadniczego i dodatek służby zagranicznej w związku z posiadanym stopniem ministra pełnomocnego, w wysokości 5105,94 zł brutto.

Oprócz dodatków przysługują mu nagroda kwartalna (8 tys. zł) oraz bony socjalne (700 zł) i karty podarunkowe (500 zł).

W ten sposób Rafał Wiśniewski zarobił w 2024 r., jak dokładnie mu policzono razem z dodatkami i nagrodami, 408 817 zł brutto. Czyli ok. 34 tys. zł brutto miesięcznie. Na rękę było to w zależności od miesiąca od 16,5 tys. zł do 26 tys. zł.

I teraz – czy to dużo, czy mało? Bo w końcu mówimy o członku kierownictwa MSZ, i to takim, który nie ma szans, by złapać chwilę oddechu. Obszar odpowiedzialności wiceministra to dwa-cztery departamenty, w przypadku dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej równocześnie – biura i cała kadrówka. Wiele zatem od niego zależy i ważne, żeby pewnej granicy nie przekraczał.

Mieliśmy przecież, za PiS, dyrektora generalnego Andrzeja Papierza, który był niezależny od ministra, więc zbudował swoje kadry i to od niego zależało, kto na placówkę jedzie, a kto z niej jest cofany. Z takiego poziomu polska dyplomacja była zarządzana. Źle to się skończyło dla MSZ, dla niego też nie najlepiej… Ale to już inna historia.

Attaché

Najwyższy Przywódca KRLD, Przewodniczący Komisji Spraw Państwowych, Przewodniczący Partii Pracy Korei, Marszałek Korei oraz Prezes Biura Politycznego Partii Pracy Korei w jednej osobie, Kim Dzong Un, zwiedza wzorcową osadę rybacką w prowincji Hamgyŏng Południowy. Mieszkańców jeszcze brak. 26 sierpnia 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6f0099b9cf

TYGODNIK POWSZECHNY

MARIUSZ SZCZYGIEŁ,
REPORTER

Gdy zorientowałem się, że jestem gejem, wiedziałem, że i w tej sprawie muszę kłamać. Zwłaszcza w kościele. Chociaż raz spróbowałem powiedzieć prawdę. Gdy miałem 19 lat, za namową przyjaciółki Teresy zdecydowałem się pójść do księdza w Legnicy i powiedzieć mu, że jestem gejem. Ona twierdziła, że to taki fajny ksiądz. Jedyne, co usłyszałem od tego księdza, to pouczenia. Nieakceptowalne. Gdybym miał je wprowadzić w życie, musiałbym zabić moją orientację seksualną. Kościół zaczął mi się więc kojarzyć z koniecznością kłamania i oszukiwania. Mimo to chodziłem przez wiele lat z ojcem na mszę w każdą niedzielę.

wysokieobcasy

ZOFIA ZEMBRZUSKA,
DYREKTORKA FILHARMONII NARODOWEJ

Kiedy zaczynasz być osobą odpowiedzialną za instytucję i zyskujesz dostęp do pewnych informacji, do których nie mają dostępu inni pracownicy, masz inną perspektywę. Wiesz, że musisz dbać o dobro instytucji. W związku z tym zaczynasz zadawać sobie pytania. Na przykład, czy dany pracownik sprawia, że instytucja się rozwija? Jak ta osoba wpływa na kolegów w zespole? Czy chce wspólnie coś tworzyć, czy jest „blokerem"? Czy motywuje innych do działania, czy zgoła odwrotnie? Wciąż uczę się oddzielać własne emocje od funkcji, którą sprawuję. Szef nie zawsze może być kochany przez pracowników, często bywa pod obstrzałem jako ktoś, kto podejmuje niełatwe decyzje. Ale podejmuje je jako dyrektor, a nie jako osoba prywatna.

TPR Tygodnik Poradnik ROLNICZY

PAWEŁ KUROCZYCKI,
REDAKTOR NACZELNY

Komisja Europejska, czyli władza wykonawcza, finansowała działania mające wywierać wpływ na Parlament Europejski, czyli władzę ustawodawczą. W latach 2019-2024 kosztowało to 7 mld euro, czyli niemal 30 mld zł. Większość działań wymierzona była pośrednio lub bezpośrednio w rolnictwo. Chodziło o przekonywanie posłów, choć nie tylko, do projektów zgłaszanych przez Komisję. Dotyczyły one głównie wprowadzania Zielonego Ładu, ale i umowy z państwami Mercosur. Dziś odpowiedzialnością za ten proceder obciążany jest Holender Frans Timmermans, ówczesny wiceprzewodniczący Komisji, oraz Litwin Virginijus Sinkevičius, komisarz ds. ochrony środowiska.

Twój STYL

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA,
AKTORKA

W Szwecji na planach seriali spotkałam świetne koleżanki. Chodziłyśmy do teatru, kina, restauracji. Czasami dołączali do nas mężczyźni, wtedy kobiety siedziały po jednej stronie stołu, faceci po drugiej. Śmiałam się, że urządzają tureckie przyjęcia. Pytałam, dlaczego. Tłumaczyły, że w damsko-męskim towarzystwie obie strony natychmiast zaczynają rozkładać pawi ogon. W babskim towarzystwie można szczerze pogadać o wszystkim. Mówiły, że facet w życiu kobiety to przejściowa historia. Natomiast przyjaciółka jest zawsze. Szwedki dbają o swoje siostrzane relacje z liceum, z pracy, z jogi. Tego się od nich nauczyłam. Oraz że w knajpie każdy płaci za siebie.

FOT. SARKA FARKA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 6f0099b9cf

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* w wierszu wpadła do fartuszka	A	G	K	R	U	Z	⬡
* czy to wąż, czy to but?	A	K	N	O	S	Y	⬡
* schronisko przy szlaku wodnym	A	A	C	N	S	T	⬡
* pomieści kilkunastu gości	A	I	K	L	L	O	⬡

M K S I

ROZWIĄZANIA: GRUSZKA, MOKASYN, STANICA, LOKALIK

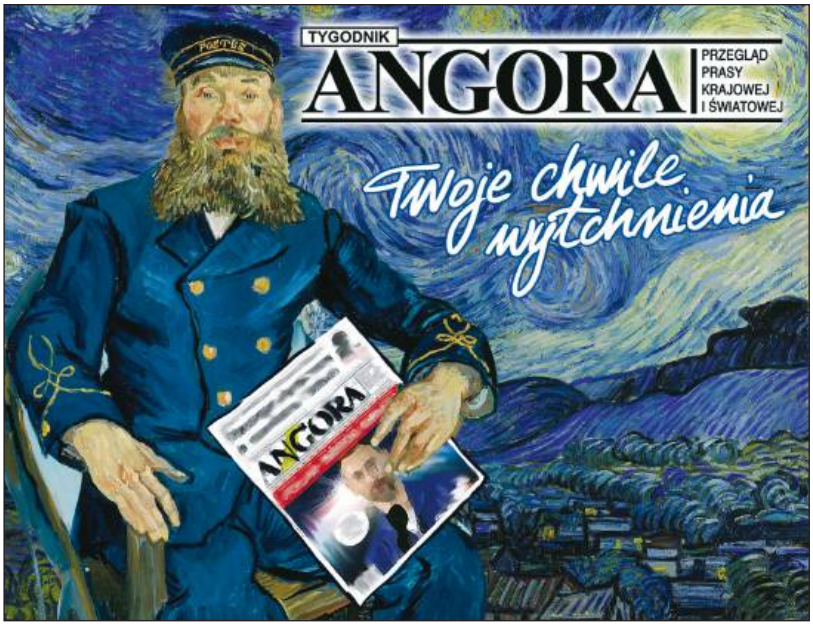

Aby język giętki…

PROF. JACEK RACIBORSKI
O WYNIKU WYBORÓW PREZYDENCKICH

Przeliczenie głosów było możliwe. I należało tak postąpić. Nie jest zbrodnią przeciwko demokracji. Jest dość częste.

WALDEMAR ŻUREK
O KAROLU NAWROCKIM

Wypowiedzi prezydenta, że będzie decydować, kto w Polsce może być sędzią, świadczą, że chyba on uważa, że jest Królem Słońce.

PROF. TOMASZ NAŁĘCZ
O RADZIE GABINETOWEJ

Ten przepis jest jak zęby u kury, które są organem zupełnie zbędnym, bo kura nie gryzie, tylko łyka.

ADAM BODNAR O AFERZE HEJTERSKIEJ

Sprawa trafiła do sędziego Wiesława Kozielewicza, który nie jest w stanie dotąd podjąć ostatecznej decyzji.

NINA TERENTIEW
O PROF. JERZYM BRALCZYKU

Na polonistyce, na naszym roku były 23 osoby i tylko kilku chłopaków, oczywiście wybitnych, jak np. prof. Jerzy Bralczyk.

KAMILA URZĘDOWSKA O ZAROBKACH

Ludzie myślą, że aktorzy mają mnóstwo pieniędzy, tymczasem większość żyje od pierwszego do pierwszego.

MELA KOTELUK O TATUAŻACH

Nie mam żadnego i tak już zostanie. Choć przez lata rozważałam, żeby sobie jakiś zrobić. Tylko nie mogłam się zdecydować jaki.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 6f0099b9cf

POD SKÓRĄ

Adam i Ewa

Maria Magdalena

Cykl prac **Tomasza Poznysza**, artysty o konserwatorskim wykształceniu, łączy malarstwo klasyczne ze współczesną ikonosferą tatuażu. „Przechwytując" przestrzeń skóry mitologicznych i biblijnych postaci, Poznysz wypowiada się na tematy związane z nierównościami, dyskryminacją, przemocą instytucjonalną czy kryzysem klimatycznym. Wiele miejsca w jego rozważaniach zajmują kwestie związane z feminizmem. Sięgając do psychoanalitycznych refleksji nad modyfikacją ciała, traktuje tatuaże jako komentarz nadpisany na historii, ujawniający to, co ukryte, oraz jako nośniki nowych znaczeń, prywatnych i uniwersalnych.

Galeria Miejska
Wrocław, ul. Kiełbaśnicza 28
do 25 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zuzanna i starcy

Portret kobiety

eprasa.pl 6f0099b9cf

XVII KONGRES KOBIET

6-7.09.2025

MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KONGRESOWE W KATOWICACH

ZAPRASZAMY

wstęp bezpłatny

rejestracja na www.kongreskobiet.pl

ZAREJESTRUJ SWÓJ UDZIAŁ!

ORGANIZATOR

KONGRES KOBIET

WSPÓŁGOSPODARZ WYDARZENIA

KATOWICE dla odmiany

PATRONAT HONOROWY

Wojewoda Śląski Marek Wójcik

Województwo Śląskie

Honorowy patronat Marszałka Województwa Śląskiego Wojciecha Saługi

Patronat Honorowy Prezydenta Miasta Katowice Marcina Krupy

PARTNER INSTYTUCJONALNY

Śląskie. DLA KOBIETY

PARTNER INSTYTUCJONALNY WYDARZENIA

Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia

PARTNER GŁÓWNY KONGRESU:

Enea

PARTNER

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY WSPIERAJĄCY

TAURON

EC ZAGŁĘBIE DĄBROWSKIE

PARTNER WYDARZENIA

Akademia WSB
WSB University

KULCZYK FOUNDATION

STANDUP Sprzeciw się molestowaniu w miejscach publicznych od L'ORÉAL PARIS

RIGHT TO BE

femino-teka

PATRONATY MEDIALNE

Forbes Women

GAZETA wyborcza

GS GRUPA SFERA

pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

Polskie Radio Katowice

Przegląd

ŚLĄZAG

W KATOWICACH.EU

TVP info

eprasa.pl 6f0099b9cf

FILM.ORG.PL
SPIDER'SWEB
KINO
zwierciadło
eprasa.pl 6f0099b9cf